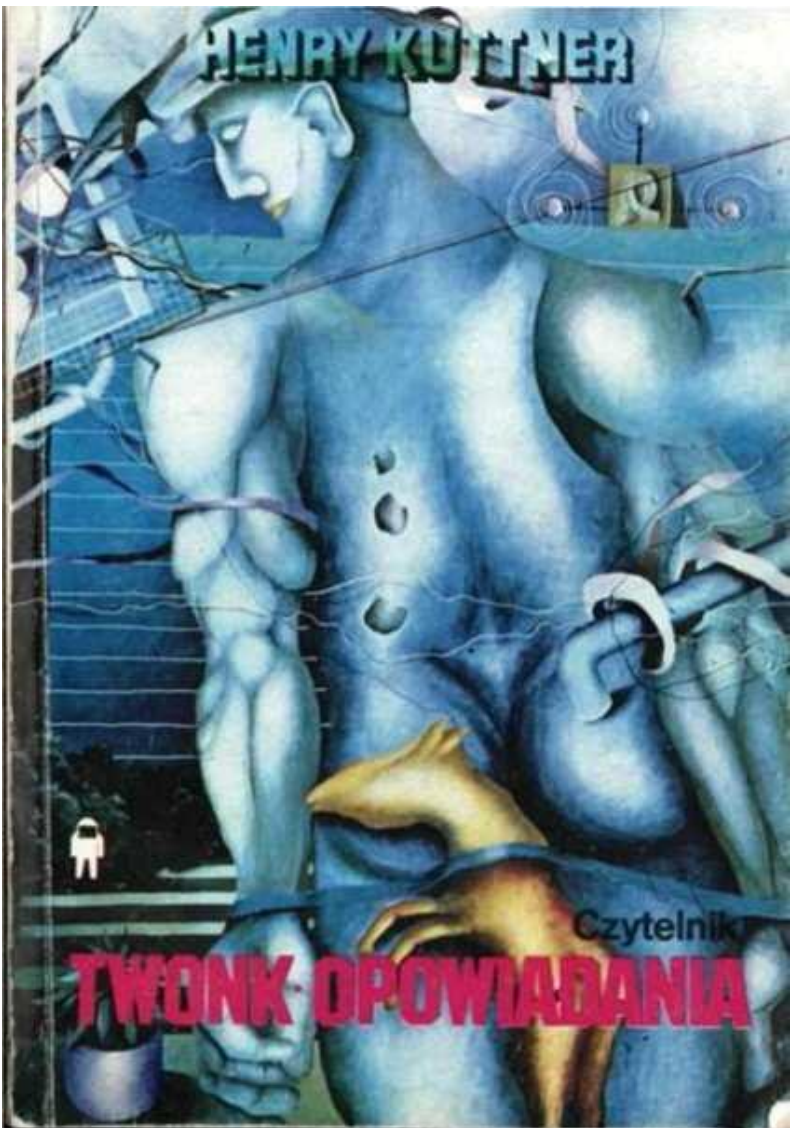


HENRY KUETNER



Czytelnik

TWONK OPOWIADANIA

HENRY KUTTNER



TWONK OPOWIADANIA

Przełożyły Monika Dutkowska, Jolanta Kozak, Anna Wiśniewska - Walczyk
Czytelnik 1988

Tytuły oryginałów angielskich

The Best of Henry Kuttner

Bypass to Otherness i inne

Okładkę i kartę tytułową projektował Witold Popiel

© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,

Warszawa 1988

„Czytelnik”. Warszawa 1988. Wydanie I.

Nakład 50 320 egz. Ark. wyd. 12,4; druk. 12,3 A,. Papier offset, kl. III.

80 g, 70 cm. Oddano do składania 30IV1987 r.

Podpisano do druku 18 VII 1988 r. Druk ukończono w listopadzie 1988 r.

Olsztyńskie Zakłady Graficzne

im. Seweryna Pieniężnego

Zam. wyd. 224; druk. 683/R. K-24/143.

Printed in Poland

ISBN 83-07-01624-X

NOCNE STARCIE

WSTĘP

Na dnie, pół mili pod powierzchnią płytkiego Morza Wenusjańskiego, spoczywa pomarszczona, czarna kopuła z impervium, która osłania Twierdzą Montana. Wewnątrz trwa karnawał. Montańczycy świętują czterechsetną rocznicę lądowania Ziemiaków na Wenus. Pod ową wielką kopułą chroniącą miasto wszystko jest świetliste, kolorowe i wesołe. Mężczyźni i kobiety w maskach, w błyszczących celoflexach i jedwabkach, wędrują szerokimi ulicami śmiejąc się i popijając mocne wino wenusjańskie. Dno morza, podobnie jak zbiorniki hydroponiczne, zostało oczyszczone z rzadkich specjalów dla uświetnienia stołów szlachetnie urodzonych.

Poprzez karnawał przemykają ponure cienie - to mężczyźni, których twarze nieomylnie świadczą, iż należą oni do Wolnych Oddziałów. Strojny ubiór nie jest w stanie ukryć tego piętna krwawo zdobytego w latach walki. Pod maskami domino mają zacięte i surowe usta. W przeciwieństwie do mieszkańców podwodnych kopuł ich skóra jest ogorziała od promieni ultrafioletowych przenikających przez pokrywą chmur nad Wenus. Są niemiłym akcentem karnawału. Szanowani, lecz traktowani z niechęcią. Są Wolnymi Żołnierzami...

Znajdujemy się na Wenus dziewięć wieków temu, pod powierzchnią Morza Płycizn, nieco na północ od równika. A przecież to wielka odległość w czasie i przestrzeni. Cała planeta chmur usiana jest podwodnymi Twierdzami, życie nie zmieni się przez wiele stuleci. Patrząc wstecz, tak jak my teraz, z perspektywy cywilizowanych lat trzydziestego czwartego wieku, łatwo można dostrzec, iż

mieszkańcy Twierdz byli dzikusami, głupimi, brutalnymi i zaślepienymi. Już dawno zniknęły Wolne Oddziały. Ujarmiono wyspy i kontynenty Wenus, nie ma wojen.

Natomiast w okresach przemian i zawziętej rywalizacji zawsze trwa jakaś wojna. Twierdze walczyły między sobą, każda dokładała wszelkich starań, by wybić jadowite kły drugiej, pozbawiając ją zapasów korium - źródła siły owych dni. Studenci zajmujący się ową epoką znajdują wiele przyjemności w odsiewaniu legend i wyławianiu podstawowych społecznych i geopolitycznych prawd. Doskonale wiadomo, że tylko jeden czynnik uchronił Twierdze od wzajemnego unicestwienia. Było to dżentelmeńskie porozumienie, iż wojna jest sprawą żołnierzy. Pozwoliło to podwodnym miastom rozwijać naukę i kulturę. Ten osobliwy kompromis był prawdopodobnie nieunikniony. Spowodował on utworzenie Wolnych Oddziałów, wędrownych grup wysoko wyszkolonych w swoim fachu najemników, którzy wynajmowali się, by walczyć, gdy którakolwiek z Twierdz została zaatakowana lub chciała zaatakować inną.

Ap Town, w swoim wiekomopomnym *Cykle Wenus*, poprzez symboliczne legendy przekazuje tę sagę. Wielu historyków utrwaliło czystą prawdę, która na nieszczęście często wydaje się być zbyt okrutna. Jednakże zwykle nie zdajemy sobie sprawy, iż nasz - obecny wysoki poziom kultury zawdzięczamy prawie wyłącznie Wolnym Żołnierzom. Dzięki nim właśnie wojna nie miała prawa zająć miejsca pokojowej społecznej i naukowej pracy. Walka była wysoko wyspecjalizowana, a z powodu zaawansowanej techniki siła ludzka nie

miała już większego znaczenia. Oddziały Wolnych Żołnierzy liczyły po kilka tysięcy ludzi, rzadko więcej.

Odcięci od normalnej egzystencji w Twierdzach, musieli wieść dziwne, samotne życie. Byli z góry skazani na zagładę, jednak niezbędni, jak przedpotopowe zwierzęta, z których w końcu wykształcił się homo sapiens. Lecz bez owych żołnierzy Twierdze pogrążyłyby się w totalnej wojnie, z fatalnymi dla siebie skutkami.

Wolni Żołnierze - szorstcy, rycerscy, nieposkromieni, służący bogowi wojny tak, aż w końcu go unicestwili, działający na własną zgnębę - przedzierali się poprzez karty historii, a ponad nimi w mglistym powietrzu Wenus płynął sztandar Marsa. Byli przeznaczeni na zatrącenie jak Tyranosaurus rex i walczyli tak jak on, służąc w swój osobliwy sposób wyobrażeniu Minerwy stojącej za Marsem.

A teraz już odeszli. Warto jednak przyjrzeć się ich miejscu, które zajmowali w Erze Podmorskiej. Dzięki nim cywilizacja osiągnęła i znacznie przekroczyła poziom, jaki nigdy miała na ziemi.

Wolni Żołnierze zajmują ważną pozycję w literaturze międzyplanetarnej. Teraz już przeszli do legendy, osobliwej i zamierchłej. Byli bowiem wojownikami, a wojna zniknęła wraz ze zjednoczeniem. Lecz my jesteśmy w stanie zrozumieć ich lepiej niż ludzie z Twierdz.

Ta historia oparta na legendach i faktach opowiada o typowym żołnierzu swoich czasów - kapitalnie Brianie Scotcie z Wolnego Oddziału Doone. Mógł on jednak nigdy nie istnieć...

Scott wypił pałacy uisqueplus i rozejrzał się po zadymionej tawernie. Był silnym, barczystym mężczyzną o brązowych włosach lekko przyprószonych siwizną i o podbródku nieco zniekształconym blizną po starej ranie. Miał ponad trzydzieści lat, wyglądał jak weteran, którym w istocie był, i wykazywał dość rozsądku, by nosić skromne ubranie z celoflexu, a nie krzykliwe jedwabie i tęczowe tkaniny, które widziało się wokół.

Na zewnątrz, za przezroczystymi ścianami, rozbawiona ciżba przemieszczała się w tę i z powrotem wzdłuż ruchomych Szlaków. Ale w tawernie panowała cisza, słysząc było tylko zniżony głos harfiarza śpiewającego starą balladę i akompaniującego sobie na skomplikowanym instrumencie. Pieśń dobiegła końca. Nastąpiły słabe brawka, po czym z zawieszonych wysoko głośników wybuchnęła ogłuszająca melodia grana przez orkiestrę. Natychmiast zmienił się nastrój. Mężczyźni i kobiety w łóżach i przy barze zaczęli śmiać się i rozmawiać z niedbałym ożywieniem. Pary ruszyły do tańca.

Siedząca obok Scotta szczupła i opalona dziewczyna o czarnych lśniących lokach opadających na ramiona skierowała ku niemu pytające spojrzenie.

- Chcesz, Brian?

Usta Scotta wykrzywiły się w wymuszonym uśmiešku.

- Chyba tak, Jeana. Można?

Wstał, a ona z wdziękiem wsunęła się w jego ramiona. Brian nie tańczył zbyt dobrze, lecz brak umiejętności nadrabiał dopasowując się do dziewczyny. Twarz Jeany, w kształcie serca, o wysokich kościach

policzkowych i jaskrawopurpurowych ustach, uniosła ku niemu.

- Zapomnij o Bienne'ie. On zwyczajnie stara się ciebie wkurzyć.

Scott zerknął w stronę oddalonej łoży, gdzie dwie dziewczyny siedziały w towarzystwie mężczyzny - porucznika Fredericka Bienne z Oddziału Doone. Był to kościsty wysoki człowiek o zgorzkniałej twarzy, której regularne rysy stale wykrzywiał sarkastyczny grymas. Nad jego chmurnymi oczami wyrastały ciemne, krzaczaste brwi. Właśnie wskazywał na tańczącą parę.

- Wiem - powiedział Scott. - Udaje mu się. Ale do diabła z nim. Teraz ja jestem kapitanem, a on wciąż porucznikiem. Jego pech. Następnym razem posłucha rozkazu i nie wyłamie się z szyku próbując atakować taranem.

- Ach, to było tak? - spytała Jeana. - Nie byłam pewna. Sporo się o tym mówi.

- Jak zawsze. Och, Bienne nienawidzi mnie od lat. Z wzajemnością. Po prostu się nie znosimy. Zawsze tak było. Za każdym razem, kiedy awansowałem, ogryzał paznokcie. Jak dobrze policzyć, ma więcej lat służby ode mnie i zasługiwałby na szybszy awans. Tylko że jest zbytnim indywidualistą - w niewłaściwych momentach.

- Dużo pije - stwierdziła Jeana.

- Niech tam. Od trzech miesięcy jesteśmy w Twierdzy Montana. Chłopców męczy bezczynność - i takie właśnie traktowanie. - Scott kiwnął głową w stronę drzwi, gdzie Wolny Żołnierz spierał się z właścicielem. - Podoficerom wstęp wzbroniony. Szlag by to trafił.

Z powodu gwaru nie mogli dosłyszeć rozmowy, ale znaczenie jej było jasne. Po chwili żołnierz wrzucił ramionami, zmęł w ustach

jakieś przekleństwo i wyszedł. Opasły facet w szkarłatnych jedwabiach wykrzykiwał słowa poparcia: - ...nie chcemy tu... żadnych... żołdaków!

Scott dostrzegł, jak porucznik Bienne wstał ze zmrużonymi oczami i podszedł ku łożu tłuszciocha. Jego ramiona drgały prawie niedostrzegalnie. Swoją drogą, do diabła z cywilami. Dobrze zrobi tej glicie, jeśli Bienne rozkwasi mu tłustą gębę. A tak się prawdopodobnie stanie. Grubasowi towarzyszyła bowiem dziewczyna i najwyraźniej nie miał on zamiaru rejterować, gdy stojący tuż przy nim Bienne mówił coś najwidoczniej obraźliwego.

Pomocniczy głośnik wyrzucił z siebie kilka szybkich sylab, które zaginęły w ogólnym tumultcie. Ale wyćwiczone ucho Scotta uchwyciło ich sens. Skinął Jannie, cmoknął znacząco i rzekł: - No, tak.

Dziewczyna także usłyszała. Pozwoliła Scottowi odejść. Skierował się w stronę łoża grubasa akurat w chwili, gdy rozpoczęła się bójka. Cywil, czerwony jak indor, uderzył nagle, trafiając przypadkiem w chude policzki Bienne'a. Porucznik, uśmiechając się nieprzyjemnie, zrobił krok w tył zaciskając pięść. Scott chwycił go za ramię.

- Spokojnie, poruczniku.

Bienne obrócił się patrząc z wściekłością.

- To nie twój interes. Pozwól...

Grubas spostrzegł, że jego przeciwnik ma odwróconą uwagę, poczuł przypływ męstwa i zaatakował. Scott sięgnął przed Bienne'em, waląc cywila na odlew w twarz i popychając energicznie. Grubas zatoczył się na swój stolik. Kiedy się pozbierał, ujrzał w rękę Scotta broń.

- Niech się pan lepiej zajmie robieniem na drutach - poradził mu oschle kapitan.

Tłusty mężczyzna oblizał wargi, zawahał się i usiadł. Pod nosem

mamrotał coś na temat tych przeklętych sukinsynów, Wolnych Żołnierzy.

Bienne starał się oswobodzić, gotów uderzyć kapitana. Scott schował broń do kabury.

- Rozkazy - powiedział wskazując głową głośnik. - Słyszałeś?

- ...mobilizacja. Ludzie Doone mają zameldować się w sztabie.

Kapitan Scott w Administracji. Natychmiastowa mobilizacja...

- Tak - rzekł Bienne, choć wciąż wściekły. - Okej, zrozumiałem. Było jednak dość czasu, by rozgnieść tę gnidę.

- Wiesz, co znaczy natychmiastowa mobilizacja - mruknął Scott.

- Może będziemy musieli od razu wyjechać. To rozkazy, poruczniku.

Bienne zasalutował niechętnie i odmaszerował. Scott skierował się ku swojej łóż. Jeana zebrała już rękawiczki i sakiewkę i właśnie malowała usta.

Całkiem spokojnie popatrzyła mu w oczy.

- Będę w mieszkaniu, Brian. Powodzenia.

Pocałował ją szybko, świadom narastającego podniecenia, jakie powodowała perspektywa nowego starcia. Jeana rozumiała jego uczucia. Uśmiechnęła się do niego przelotnie, pogłaskała lekko po włosach i wstała. Wyszli prosto w wesoły rozgardiasz Szlaków.

Perfumowany wietrzyk owionął twarz Scotta, który skrzywił się z obrzydzeniem. Podczas karnawałów Twierdze były dla Wolnych Żołnierzy jeszcze mniej przyjemne niż zwykle. Bardziej dotkliwie odczuwali przepaść dzielącą ich od mieszkańców podmorskich miast. Scott utorował sobie drogę przez tłum, ciągnąc Jeanę Szlakami ku najszybszemu, centralnemu pasmu. Znaleźli miejsca siedzące.

Przy skrzyżowaniu w kształcie liścia koniczyny Scott opuścił dziewczynę kierując się w stronę Administracji, czyli grupy wysmulonych budynków w centrum miasta. Mieściły się tutaj główne biura techniczne i polityczne. Tylko laboratoria znajdowały się na przedmieściach blisko podstawy Kopuły. W odległości około mili od miasta stało kilka małych kopulek badawczych, ale te używane były jedynie dla co bardziej niebezpiecznych eksperymentów. Popatrzawszy do góry Scott przypomniał sobie katastrofę, która zjednoczyła naukę w coś w rodzaju wolnomularstwa. Ponad nim, nad centralnym placem, unosił się wolny od grawitacji globus Ziemi na wpół przykryty czarnym, plastikowym całunem. W każdej Twierdzy na Wenus znajdowała się identyczna, wieczna pamiątka po utraconej macierzystej planecie.

Spojrzenie Scotta powędrowało wyżej, ku Kopule, jak gdyby mogło przeniknąć impervium, głęboką na pół mili warstwę wody i pokrywą chmur aż ku zawieszonej w przestrzeni białej gwieździe, w jednej czwartej jaśniejszej jak Słońce. Gwiazda - oto wszystko, co pozostało z Ziemi od czasu, gdy dwa wieki temu wyzwolono siłę atomową. Plaga szerzyła się jak ogień, mieszając kontynenty i zrównując góry. W bibliotekach znajdowały się audiowizualne zapisy Apokalipsy. Powstała sekta religijna - Ludzie Nowego Sądu - która nawoływała do całkowitego zniszczenia nauki; do dziś jeszcze tu i ówdzie egzystują naśladowcy tego dogmatu. Ale sekcje wytrącono broń z ręki, kiedy technicy się zjednoczyli, zakazując raz na zawsze eksperymentów z siłą atomową i postanawiając, że użycie jej będzie karane śmiercią. Nie zezwalali też nikomu na przyłączenie się do ich społeczności bez uprzedniego złożenia „Przysięgi Minerwy”.

„...pracować dla maksymalnego dobra ludzkości. .. przedsiębrać wszelkie środki ostrożności przed krzywdzeniem ludzi i nauki... używać od władz zezwolenie na podejmowanie ryzykownych eksperymentów niosących niebezpieczeństwo ludzkości... nie zapominać nigdy o rozmiarach pokładanego w nas zaufania i na zawsze pamiętać o śmierci macierzystej planety spowodowanej niewłaściwym użyciem wiedzy...”

Ziemia. Scott pomyślał, że musiał to być dziwny świat. Na przykład światło słoneczne nie przefiltrowane przez pokrywą chmur. W dawnych czasach na Ziemi pozostało niewiele niezbadanych obszarów. Ale tutaj, na Wenus, gdzie nie opanowano jeszcze kontynentów - oczywiście nie było takiej potrzeby, skoro wszystko, co potrzebne do życia, mogło być wytworzone pod Kopułami - tutaj na Wenus, było jeszcze pogranicze. W Twierdzach królowała wysoko wyspecjalizowana kultura społeczna. A na powierzchni istniał pierwotny świat, gdzie tylko Wolni Żołnierze mieli swoje forty i flotę. Flota służyła do walki, a w fortach mieszkali technicy, którzy dostarczali najnowszych środków do prowadzenia wojen, nauki zamiast pieniędzy. Twierdze tolerowały wizyty Wolnych Oddziałów, ale nie zapewniały im miejsc na kwatery główne, tak gwałtowna była niechęć ludzi, tak ostry w ich umysłach rozłam między wojną a postępem kultury.

Ruchomy Szlak pod stopami Scotta zmienił się w ruchome schody unosząc go ku budynkowi Administracji. Scott przeszedł na inny Szlak, który zawiózł go do windy, i w kilka chwil później stanął przed kotarą, na której widniała podobizna Dane'a Crosby'ego, prezydenta Twierdzy Montana.

- Proszę wejść, kapitanie - powiedział głos Crosby'ego i Scott, przeszedłszy przez kotarę, znalazł się w niedużym pokoju o ścianach

pokrytych freskami i z wielkim oknem, za którym widać było miasto. Crosby, siwowłosa, szczupła postać w niebieskich jedwabkach, siedział przy biurku. Wygląda jak stary, zmęczony urzędnik z kart Dickensa, całkowicie przeciętny i zwykły, pomyślał niespodziewanie Scott. A jednak Crosby był jednym z największych socjopolityków na Wenus.

Cinc Rhys, dowódca Wolnego Oddziału Doone, siedział w fotelu. Stanowił on zdecydowane przeciwieństwo Crosby'ego. Zdawało się, że cała wilgoć z ciała Rhysa wyparowała już lata temu pod wpływem promieni ultrafioletowych, zostawiając mumię z brązowej skóry i mięśni. W mężczyźnie tym nie było śladu miękkości. Jego uśmiech był grymasem. Muskulary pod śniadymi policzkami napinały się niczym druty.

Scott zsalutował. Rhys skinieniem dłoni skierował go ku fotelowi. Widok tłumionego zapału w oczach cinca był znaczący - orzeł upajający się zapachem krwi. Crosby wyczuł to i na jego bladej twarzy pojawił się kostyczny uśmieszek.

- Każdy powinien wykonywać swoją robotę - powiedział na wpół ironicznie. - Sądzę, że gdybym miał przydługi urlop, to byłbym znudzonym sztywniakiem. Ale tym razem, cinc Rhys, przed panem całkiem niezła bitwa.

Muskularne ciało Scotta automatycznie zeszywniało. Rhys zerknął na niego.

- Atakuje Twierdza Wirginia. Wynajęli Morskich Diabłów, oddział Flynna.

Zapadła cisza. Obaj Wolni Żołnierze gorąco pragnęli omówić każdy aspekt tej sprawy, ale nie chcieli tego robić w obecności

cywila, nawet jeśli był nim sam prezydent Twierdzy Montana. Crosby wstał.

- Więc kwestia pieniędzy uzgodniona?
- W porządku. - Rhys przytaknął. - Spodziewam się, że bitwa nastąpi za kilka dni. Według ostrożnych przypuszczeń w pobliżu Głębiny Wenusjańskiej.

- Dobrze. Chciałbym spytać, czy byliby panowie tak uprzejmi i pozwolili mi odejść na kilka minut, będę... - nie dokończywszy zdania wyszedł przez kotarę. Rhys poczęstował Scotta papierosem.

- Czy pan wie coś o Morskich Diablach, kapitanie?
- Dziękuję. Tak. Sami nie damy rady.
- Słusznie. Brakuje nam i ludzi, i uzbrojenia. A Morskie Diabły połączyły się ostatnio z Legionem O'Briana, po tym jak O'Brian został zabity w tej polarnej awanturze. Tworzą silny oddział, bardzo silny. A jeszcze mają swoją specjalność - atak okrętów podwodnych. Sądzę, że będziemy musieli zastosować plan H-7.

Scott przymknął oczy przywołując na pamięć kartotekę. Każdy oddział Wolnych Żołnierzy posiadał najnowsze plany ataków dostosowane do wartości innych Oddziałów na Wenus. Często je korygowano, kiedy dokonywano przegrupowań, kiedy jednostki militarne łączyły się ze sobą, kiedy zmieniała się równowaga sił którejs ze stron. Plany były tak szczegółowe, że można je było wprowadzić w życie dosłownie w każdej chwili. Plan H-7, jak sobie przypomniał Scott, zakładał skorzystanie z usług Gangu, małego, lecz świetnie zorganizowanego Oddziału Wolnych Żołnierzy dowodzonego przez cinca Toma Mendeza.

- W porządku - powiedział Scott. - Możemy ich wynająć?

- Chyba tak. Nie uzgodniliśmy jeszcze ceny. Kontaktowałem się z nimi przez teleaudio na tajnym kanale, ale wciąż mnie zbywają. Mendez wyczekuje do ostatniej chwili, by móc podyktować własne warunki.

- Czego żąda?
- Pięćdziesiąt tysięcy gotówką i pięćdziesiąt procent łupu.
- Uważam, że trzydzieści powinno wystarczyć.

Rhys przytaknął i odrzekł:

- Zaproponowałem mu trzydzieści pięć. Mogę posłać cię do ich fortu dając wolną rękę. Moglibyśmy też zwrócić się do innego Oddziału, ale Mendez ma znakomite okręty z detektorami podwodnymi, które doskonale nadawałyby się przeciwko Morskim Diabłom. Może ustalę wszystko przez teleaudio. Jeśli nie, będziesz musiał polecieć do Mendeza i kupić jego usługi za niecałe pięćdziesiąt procent, jak zdołasz.

Scott zgrubiałym palcem potarł starą bliznę na brodzie.

- Tymczasem porucznik Bienne będzie odpowiedzialny za mobilizację. Kiedy...

- Połączyłem się z naszym fortem. Transportowce powietrzne już są w drodze.

- To będzie całkiem niezła bitwa - odrzekł Scott i oczy obydwu mężczyzn spotkały się w doskonałym porozumieniu.

Rhys zachichotał cicho.

- I niezły dochód. Twierdza Wirginia ma sporo korium... nie wiem ile, ale dużo.

- Co tym razem spowodowało tę awanturę?

- Normalna rzecz, jak sądzę - odparł obojętnie Rhys. - Imperializm. Ktoś w Twierdzy Wirginia opracował nowy plan zawładnięcia resztą Twierdzy. Jak zwykle.

Gdy uchyliła się kotara w drzwiach, wstali witając prezydenta Crosby'ego, jakiegoś mężczyznę i dziewczynę. Mężczyzna wyglądał młodo, jego chłopięca twarz nie stężała jeszcze pod wpływem palących promieni. Dziewczyna była urocza, w typie plastikowej figurynki rozświetlonej od wewnątrz tętniącym życiem. Włosy miała ostrzyżone zgodnie z panującą modą, a oczy, jak spostrzegł Scott, o niespotykanym odcieniu zieleni. Jej uroda należała do nieprzeciętnych - dziewczyna była niezwykle pociągająca od pierwszego wejrzenia.

- Moja siostrzenica, Ilene Kane - rzekł Crosby - i siostrzeniec, Norman Kane. - Dopełnił prezentacji i wszyscy zajęli miejsca.

- A może byśmy się czegoś napili? - zaproponowała Ilene. - Tu jest obrzydliwie oficjalnie. A poza tym, walka się jeszcze nie zaczęła.

Crosby pokręcił głową.

- Nikt cię tu przecież nie prosił. Nie staraj się zrobić z tego przyjęcia, w obecnych okolicznościach nie mamy zbyt wiele czasu.

- Dobrze - mruknęła Ilene. - Mogę poczekać. - Z zaciekawieniem przypatrywała się Scottowi.

- Chciałbym zaciągnąć się do Wolnego Oddziału Doone - wtrącił Norman Kane. - Złożyłem już podanie, ale teraz, kiedy zbliża się wojna, strasznie nie chciałbym czekać do czasu, aż zostanie rozpatrzone. Sądziłem więc...

Crosby spojrział na Rhysa.

- Osobiście popieram prośbę, ale decyzja należy do pana. Mój siostrzeniec jest inny niż wszyscy - jest romantykiem. Nigdy nie lubił życia w Twierdzy. Rok temu wyjechał i zaciągnął się do oddziału Starlinga.

- Do tej bandy? - Rhys uniósł brwi. - To żadna rekomendacja,

Kane. Oni nawet nie są sklasyfikowani jako Wolny Oddział. Raczej jako banda terrorystów całkowicie pozbawionych etyki. Mówi się nawet, że mają coś wspólnego z bronią atomową.

Crosby popatrzył zdumiony.

- Nie słyszałem o tym.
- To tylko pogłoski. Jeżeli kiedykolwiek zostaną udowodnione, Wolne Oddziały - wszystkie - zjednoczą się i natychmiast rozniosą Starlinga w pył.

Norman Kane wyglądał na lekko zaniepokojonego.

- Zdaje mi się, że byłem głupcem. Ale chciałem brać udział w walkach, grupa Starlinga zaś zafascynowała mnie...

Cinc odchrząknął.

- Mogła. Zawadiaccy romantycy bez pojęcia, czym jest wojna. Mają najwyżej kilkunastu techników. I żadnej dyscypliny - jak banda piratów. Współczesna wojna, Kane, nie może być wygrana przez romantycznych dzikusów goniących za beznadziejnymi złudzeniami. Współczesny żołnierz jest taktykiem, który wie, jak myśleć i składać wszystko w jedną całość, i który jest zdyscyplinowany. Jeżeli wstąpisz do naszego Oddziału, musisz zapamiętać, czego się nauczyłeś u Starlinga.

- Czy pan mnie przyjmie?
- Obawiam się, że byłoby to nierozsądne. Najpierw powinieneś odbyć przeszkolenie.
- Mam doświadczenie...
- Zrobiłby mi pan tym osobistą przysługę, cinc Rhys - rzekł Crosby - gdyby wyraził pan zgodę. Doceniłbym to. Skoro mój siostrzeniec chce być żołnierzem, najchętniej widziałbym go właśnie w Oddziale Doone.

Rhys wzruszył ramionami.

- Więc dobrze. Kapitan Scott wyda ci rozkazy, Kane. Pamiętaj, że dyscyplina ma dla nas decydujące znaczenie.

Chłopak usiłować opanować radosny uśmiech.

- Dziękuję panu.

- Kapitanie...

Scott wstał, skinął na Kane'a. Wyszli razem. W poczekalni znajdował się odbiornik teleaudialny. Scott wywołał lokalny sztab Doone w Twierdzy Montana. Twarz operatora, który odpowiedział na wezwanie, patrzyła pytająco z ekranu.

- Tu kapitan Scott. Wprowadzam podmiot.

- Tak, kapitanie. Gotów do notowania.

Scott wypchnął do przodu Kane'a, po czym rozkazał:

- Zrób zdjęcie tego człowieka. Zamelduje się niezwłocznie w sztabie. Imię Norman, nazwisko Kane. Wciągnij go na listę bez przeszkolenia - specjalny rozkaz cinca Rhysa.

- Przyjąłem, kapitanie.

Scott przerwał połączenie. Kane nie mógł całkowicie stłumić uśmiechu.

- W porządku - mruknął kapitan z błyskiem sympatii w oczach.

- Wszystko załatwione. Odeślą cię do dowództwa. Jaką masz specjalność?

- Wodoloty, kapitanie.

- Dobrze. I jeszcze jedno. Nie zapominaj, Kane, co powiedział cinc Rhys. Dyscyplina jest cholernie ważna, a możesz sobie jeszcze nie zdawać z tego sprawy. To nie jest wojenka płaszcza i szpady. To nie Szarża Lekkiej Brygady. Nie wspaniała przygoda - tamto odeszło wraz z krzyżowcami. Słuchaj tylko rozkazów, a nie będziesz miał kłopotów. Powodzenia.

- Dziękuję, kapitanie. - Kane zasalutował i odmaszerował wielkimi krokami, wyraźnie się kołysząc. Scott uśmiechnął się. O tym, to ten dzieciak bardzo szybko zapomni.

Jakiś głos dobiegający z boku sprawił, że się prędko odwrócił. Stała tam Ilene Kane, szczupła i śliczna w szacie z celoflexu.

- A jednak mimo wszystko wydaje się pan całkiem ludzki, kapitanie - stwierdziła. - Słyszałam, co powiedział pan Normanowi.

Scott wzruszył ramionami.

- Zrobiłem to dla jego dobra i dla dobra Oddziału. Jeden nierozważny facet może narobić wiele kłopotów, panno Kane.

- Zazdroszczę Normanowi - orzekła. - Zapewne prowadzi pan fascynujące życie. Ja też bym chciała przez chwilkę. Niezbyt długo. Jestem jednym z tych bezużytecznych odpadków cywilizacji, nie nadaję się specjalnie do niczego. Z tego też powodu jeden talent doprowadziłam do perfekcji.

- Jaki?

- Otóż hedonizm. Sądzę, że tak by pan to nazwał. Używam życia. Rzadko bywa to przyczyną znudzenia, ale ja właśnie je trochę odczuwam. Chciałabym z panem porozmawiać, kapitanie.

- Słucham więc - rzekł Scott.

Ilene Kane skrzywiła się lekko i powiedziała:

- Zły termin semantyczny. Chciałabym się dostać, do pana wewnątrz psychologicznie. Ale bezboleśnie. Kolarcja i tańce. Da się zrobić?

- Teraz nie ma czasu - odpowiedział Scott. - W każdej chwili możemy otrzymać rozkaz. - Nie był tak całkiem pewien, czy chciałby pójść z tą dziewczyną z Twierdzy, choć najwyraźniej subtelnie go fascynowała, wywierała urok, którego nie mógł zanalizować. Reprezentowała najprzyjemniejszą część nie znanego mu świata. Inne

aspekty tego świata nie interesowały go zupełnie; geopolityka czy nauka nie związana z wojskiem nie przemawiały do Scotta, były mu zbyt obce. Ale wszystkie światy stykają się w jednym punkcie - w przyjemności. Scott mógł zrozumieć rozrywki podmorskiego społeczeństwa, tak jak nie mógł zrozumieć lub poczuć sympatii dla ich pracy czy zachowań społecznych.

Przez kurtynę w drzwiach wszedł cinc Rhys, zmrużył oczy.

- Mam coś do nadania, kapitanie - oznajmił.

Scott wiedział, jakie jest znaczenie tych słów: wstępne porozumienie z cincem Mendezem. Skinął głową.

- Tak jest. Czy mam zameldować się w sztabie?

Surowa twarz Rhysa nagle jakby się odprężyła, gdy popatrzył na Ilene i potem na Scotta.

- Jesteś wolny do świtu. Do tego czasu nie będę cię potrzebował, ale zamelduj się u mnie o szóstej rano. Nie wątpię, że masz jeszcze do załatwienia parę drobnych spraw.

- Zrozumiałem, cinc. - Scott przyglądał się, jak Rhys wychodzi. Cinc oczywiście miał na myśli Jeanę. Ale Ilene o tym nie wiedziała.

- Więc? - spytała. - Czy zostanę odrzucona? Swoją drogą mógłby mi pan postawić drinka.

Czasu było mnóstwo.

- Z przyjemnością - odpowiedział Scott, Ilene podała mu ramię. Zjechali windą na poziom ziemi.

Kiedy wyszli na jeden ze Szlaków, Ilene odwróciła głowę i pochwyciła spojrzenie Scotta.

- Zapomniałam o czymś, kapitanie. Mógł pan być wcześniej umówiony. Nie zdałam sobie sprawy...

- Nic nie planowałem - odrzekł. - Nic istotnego.

Była to prawda. Kiedy ją zrozumiał, poczuł wdzięczność dla Jeany. Związek z nią był dość szczególny, niewątpliwie rozsądny przy jego zawodzie. Nazywało się to wolnym małżeństwem. Jeana nie była ani jego żoną, ani kochanką, lecz czymś pośrednim. Wolni Żołnierze nie mieli trwale osadzonej podstawy dla życia rodzinnego. W Twierdzach byli gośćmi, a w swoich nadbrzeżnych fortach - żołnierzami. Wziąć kobietę do fortu, to jak ustawić okręt na linii ognia. Tak więc kobiety Wolnych Żołnierzy żyły w Twierdzach, przeprowadzając się z jednej do drugiej w ślad za swoimi mężczyznami, a ponieważ ciągle obecny był między nimi cień śmierci, celowo wchodzili tylko w luźne związki. Jeana i Scott żyli w wolnym małżeństwie od pięciu lat. Nigdy nie stawiali sobie wzajemnie żądań. Nikt nie spodziewał się wierności po Wolnym Żołnierzu. Byli poddani tak żelaznej dyscyplinie, że kiedy zwalniano ich podczas krótkich chwil pokoju, ramię wahała często wychylało się w przeciwnym kierunku.

Dla Scotta Ilene była kluczem, który mogłby otworzyć drzwi Twierdzy - drzwi prowadzące do świata, do którego nie należał i którego nie mógł całkiem pojąć.

II

Scott odkrył takie niuanse, których istnienia nie podejrzewał, Ilene, jako zagorzała hedonistka, poświęcała swe życie tym właśnie niuansom, one stanowiły treść jej działań. Takie blahe sprawy, na

przykład, jak uczynienie smaczniejszym mocnego, mdłego koktajlu Księżycowy Kwiat, dzięki przesączeniu go przez nasycony cytryną cukier trzymany między zębami. Scott należał do ludzi pijących uisqueplus i jak każdemu przeciętnemu żołnierzowi smakowało mu to, co nazywał hydroponicznymi trunkami. Jednakże koktajle, proponowane przez Ilene, były równie skuteczne, jak cierpki, palący, o bursztynowym kolorze uisqueplus. Tej nocy nauczyła go takich sztuczek, jak robienie między drinkami przerw na wdychanie gazu szczęścia, jak łączenie podniecenia zmysłowego z psychicznym przy wykorzystaniu atrakcji wesołego miasteczka wywołujących psychiczne oszołomienie zapierającym dech pędem. Wszystkie niuanse, które znać mogła tylko dziewczyna o pochodzeniu Ilene. Nie była ona typową przedstawicielką Twierdz. Jak sama mówiła, była odroślą, przypadkowym i bezużytecznym kwiatkiem na wielkiej winorośli, która pięła się w górę pędami - naukowcami, technikami i socjopolitikami. Ilene, tak jak Scott, była na swój sposób skazana na zagładę. Podmorscy mieszkańcy służyli Minewrze, Scott - Marsowi, Ilene zaś Afrodycie - nie tylko jako bogini miłości, ale jako patronce sztuki i radości. Między Scottem a Ilene zachodziła taka różnica jak między Wagnerem a Straussem, różnica między grzmiącymi akordami a dźwięczącymi arpeggiami. W obojgu tkwił przytłumiony gorzkosłodki smutek, z którego rzadko sobie zdawali sprawę. Łączyło ich poczucie nieokreślonej beznadziejności.

Podczas karnawału ani Ilene, ani Scott nie nakładali masek. Ich twarze, same w sobie, były jakby maskami. Oboje wyćwiczyli się w powściągliwości, choć każde w inny sposób. Zacięte usta Scotta

utrzymywały swój silny grymas, nawet gdy się uśmiechał. A Ilene uśmiechała się tak często, że nie miało to żadnego znaczenia.

Dzięki niej Scott mógł lepiej pojąć podmerskie życie. Była jakby katalizatorem. Zapanowało między nimi ciche porozumienie, w którym słowa były zbędne. Oboje zdawali sobie sprawę, że w miarę postępu tacy jak oni wymrą. Ludzkość tolerowała ich, ponieważ w krótkim czasie problem zaakceptowania ich czy też odrzucenia i tak miał przestać istnieć. Każde z nich wybrało w tej sytuacji inną drogę. Scott służył Marsowi, służył czynnie. A pasywną dziewczynę pociągała tego antyteza.

Oszołomienie alkoholowe przeniknęło psychikę Scotta. Nie okazywał tego. Jego sztywne, siwobrazowe włosy pozostały ułożone, a męska opalona twarz tak beznamiętna jak zawsze. Lecz kiedy piwne oczy Scotta spotkały się z oczami dziewczyny, przeskoczyła między nimi... iskierka... czegoś nieuchwytnego.

Barwy i światło, i dźwięk. Zaczynały teraz przybierać kształt, zaczynały przemawiać do Scotta. Długo po północy siedzieli na Olimpie, gdzie znaleźli swój prywatny kosmos. Ściany pokoju, w którym przebywali, jakby nie istniały. Gnane szybko fale szarych, lekko podświetlonych chmur wydawały się przepływać wokół nich bezładnie. Niewyraźnie dochodziło przytłumione wycie sztucznego wiatru. Jak bogowie, przebywali w osamotnieniu.

„A Ziemia była pustkowiem i chaosem, ciemność była nad otchłanią”... Było to oczywiście wyobrażenie miejsca na Olimpie. Poza tym pomieszczeniem nie istniał żaden człowiek, nie istniał żaden świat; automatycznie zmieniły się wartości, a hamulce psychiczne zdawały się nie mieć sensu.

Scott ułożył się wygodnie na półprzezroczystym fotelu przypominającym chmurę. Z boku Ilene uniosła pojemnik z gazem szczęścia ku jego nozdrzom. Pokręcił przecząco głową.

- Nie teraz, Ilene.

Pozwoliła stoczyć się swobodnie pojemnikowi.

- Ja też nie. Nadmiar powoduje przesyt, Brian. Powinno zawsze pozostać coś nieznanego, coś, na co się czeka. Ty to masz. Ja nie.

- Jakim cudem?

- Przyjemności... tu są pewne granice. Granice ludzkiej wytrzymałości. I w efekcie wytworzyłam sobie odporność tak psychiczną, jak fizyczną na wszystko. A jeśli chodzi o ciebie, to zawsze masz tę ostatnią przygodę. Nigdy nie wiesz, kiedy nadejdzie śmierć. Nie możesz tego zaplanować. Plany są nudne, ważne są rzeczy nieoczekiwane.

Scott pokręcił lekko głową.

- Śmierć także nie jest ważna. To automatyczne przekreślenie wartości. Albo... - zawahał się szukając słów. - W tym życiu możesz planować, możesz wypracowywać wartości, ponieważ są one oparte na pewnych podstawach. Na, powiedzmy, arytmetyce. Śmierć jest przejściem w inną płaszczyznę wartości, całkiem nieznaną. Reguły arytmetyczne, jako takie, nie mają zastosowania w geometrii.

- Myślisz, że śmierć ma swoje reguły?

- To może być całkowity brak reguł, Ilene. Człowiek żyje wierząc, że życie jest podporządkowane śmierci, na tym opiera się cywilizacja. Dlatego też ta cywilizacja koncentruje się na rasie, a nie na jednostce. Społeczny instynkt.

Patrzyła na niego uważnie.

- Nie przypuszczałam, że Wolny Żołnierz może filozofować w taki sposób.

Scott zamknął oczy i rozluźnił się.

- Twierdze nic nie wiedzą o Wolnych Żołnierzach. Nie chcą wiedzieć. Jesteśmy ludźmi. Inteligentnymi ludźmi. Nasi technicy są równie dobrzy jak naukowcy spod Kopuła.

- Ale pracują na potrzeby wojny.

- Wojna jest konieczna - stwierdził Scott. - Przynajmniej teraz.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak się w to zaangażowałeś?

Roześmiał się.

- Och, nie mam żadnych mrocznych sekretów z przeszłości. Nie jestem zbiegłym mordercą. Człowiek żegluję. Urodziłem się w Twierdzy Australia. Mój ojciec był technikiem, natomiast dziadek żołnierzem. Myślę, że mam to we krwi. Próbowałem wielu zajęć i zawodów. Bez skutku. Chciałem czegoś, co... do diabła, sam nie wiem. Może czegoś, co każe dać z siebie wszystko. Jak walka. To prawie że religia. Ci sekciarze - Ludzie Nowego Sądu - są fanatykami, ale widać, że ta ich religia jest jedyną znaczącą dla nich rzeczą.

- To przecież brodaci, brudni i stuknięci faceci, co mają źle w głowach.

- Bo ich religia opiera się na fałszywych przesłankach. Są inne religie, przemawiające do innych ludzi. Ale dla mnie religia była zbyt bierna.

Ilene uważnie popatrzyła na jego surową twarz.

- Wolałbyś zakony mieczowe, na przykład Rycerzy Maltańskich walczących z Saracenami.

- Chyba tak. Nie miałem żadnego systemu wartości. A poza tym jestem żołnierzem.

- Jakie znaczenie mają dla ciebie Wolne Oddziały?

Scott otworzył oczy i uśmiechnął się do dziewczyny. Wyglądał nadspodziewanie chłopięco.

- W rzeczywistości niewielkie. Działają na emocje. Biorąc na rozum, wiem, że są wielką lipą. Zawsze były. Taką samą bzdurą jak Ludzie Nowego Sądu. Wojny są czymś przestarzałym. Przecież nie mamy żadnego prawdziwego celu. Myślę, że większość z nas zdaje sobie z tego sprawę, iż Wolne Oddziały nie mają przed sobą żadnej przyszłości. Za paręset lat... tak.

- A jednak tkwisz w tym. Dlaczego? Przecież nie dla pieniędzy.

- Nie... To jest... jak narkotyk. Starożytni Wikingowie ze swoją szaleńczą odwagą. Widzę coś wspólnego między nimi a nami. Dla ludzi z fortów ich Oddział jest ojcem, matką, dzieckiem i Bogiem Wszchemogącym. Walczy z innymi Wolnymi Oddziałami, kiedy mu za to płacą, ale nie nienawidzi ich. Służą bowiem temu samemu bożkowi na glinianych nogach. Każda wygrana czy przegrana zbliża nas do kresu. Walczymy, by ochronić kulturę, która nas w efekcie odrzuci. Twierdze - gdy się wreszcie zjednoczą - nie będą przecież potrzebować zbrojnego ramienia. Widzę w tym pewną prawidłowość. Gdyby wojny były niezbędną częścią cywilizacji, każda Twierdza trzymałaby własne wojsko. Ale one odcinają się od nas. Jesteśmy złem koniecznym. Gdybyż tylko mogli teraz skończyć z wojną! - Scott nieświadomie zacisnął pięści. - Tak wielu mężczyzn znalazłoby jakieś szczęśliwsze miejsce na Wenus, pod powierzchnią morza. Ale jak długo będą istnieć Wolne Oddziały, tak długo będą nowi ochotnicy.

Ilene sęczyła koktajl spoglądając na szary bezład chmur przepływających wokół nich jak fale. W przyćmionym, migotliwym świetle twarz Scotta przypominała czarną bryłę, poznaczoną jasnymi

plamkami pojawiającymi się w jego oczach. Delikatnie dotknęła jego dłoni.

- Jesteś żołnierzem, Brian. Nie mógłbyś się zmienić.

Uśmiech Scotta był bardzo gorzki.

- Pewnie, że nie, panno Ilene Kane! Czy uważasz, że walka to tylko naciskanie spustu? Jestem wojskowym strategiem. Zajęło mi to dziesięć lat cięższego wkuwania, niż miałbym w Instytucie Technicznym w Twierdzy. Muszę wiedzieć o wojnie wszystko, od trajektorii pocisku do psychologii tłumu. W tym tkwi największa gałąź nauki znana Systemowi. I najbardziej bezużyteczna. Ponieważ wojna umrze najdalej za kilka wieków, Ilene, nigdy nie widziałaś fortu Wolnych Żołnierzy. To nauka, wspaniała nauka skierowana wyłącznie na cele wojskowe. Mamy własnych specjalistów od psychologii. Mamy inżynierów, którzy projektują wszystko - od artylerii po współczynniki tarcia na wodolotach. Mamy odlewnie i młyny. Każdy fort jest miastem stworzonym dla wojny, tak jak Twierdze dla postępu technicznego.

- To aż tak skomplikowane?

- Cudownie skomplikowane i cudownie bezużyteczne. Wielu z nas to rozumie. Och, walczymy, bo to jest jak narkotyk. Wielbimy Oddziały, to narkotyk emocjonalny. Ale żyjemy tylko podczas wojny. Takie życie jest niepełne. A życie ludzi w Twierdzach jest pełne. Mają swoją pracę i rozrywki tak stworzone, by im odpowiadały. A my im nie odpowiadamy.

- Nie całej podmorskiej rasie - stwierdziła Ilene. - Zawsze znajdzie się margines tych nie pasujących. W końcu ty masz *raison d'être*. Jesteś żołnierzem. A ja nie umiem wieść życia składającego

się wyłącznie z przyjemności. Tylko że nie pozostaje mi nic innego. Palce Scotta zacisnęły się wokół jej dłoni.

- Ty przynajmniej jesteś wytworem cywilizacji. A ja stoję poza nią.

- Z tobą, Brian, wszystko mogłoby być lepsze.

- Przez chwilę. Nie sądzę, że przetrwałoby to długo.

- Mogłoby.

- Teraz tak myślisz. To okropne czuć się jak cień.

- Wiem.

- Pragnę cię, Brian - powiedziała Ilene zwracając ku niemu twarz. - Chcę, żebyś przyjechał do Twierdzy Montana i został tam. Aż skończy się nasz eksperyment. Przypuszczam, że niebawem się skończy. Ale może jednak nie tak szybko. Potrzebuję twojej siły. Mogę pokazać ci, jak najlepiej skorzystać z takiego życia, jak w nie wejść. Prawdziwy hedonizm. Mógłbyś mi na przykład ofiarować swoje towarzystwo. Bo nie wystarczy mi towarzystwo hedonisty, który poza tym nic innego nie potrafi.

Scott milczał, Ilene przypatrywała mu się przez chwilę.

- Czy walka aż tyle dla ciebie znaczy? - spytała w końcu.

- Nie - odrzekł. - Wcale nie. To balonik. Wiem, że jest pusty.

Honor regimentu! - roześmiał się. - Naprawdę, wcale się nie waham. Bardzo długo byłem odseparowany. Jednostka społeczna nie może bazować na tak jaskrawo skazanych na wymarcie mrzonkach. Myślę, że ważne są kobiety i ważni są mężczyźni, nic poza tym.

- Kobiety i mężczyźni czy ludzkość?

- Ludzkość nie - powiedział z nagłą gwałtownością. - Niech

diabli wezmą ludzkość. Nic dla mnie nie zrobiła. Mogę dopasować się do nowego stylu życia. Niekoniecznie do hedonizmu. Jestem ekspertem w wielu dziedzinach. Mogę znaleźć pracę w Twierdzy Montana.

- Jak chcesz. Ja nigdy nie próbowałam. Myślę, że w większym stopniu jestem fatalistką. Ale... co z nami, Brian?

W upiornym świetle, jakie na nich padało, jej oczy lśniły niemal tak połyskliwie jak szmaragdy.

- Tak - odpowiedział Scott. - Wróć. By zostać.

- Wrócisz? - spytała Ilene. - Dlaczego nie zostaniesz już teraz?

- Pewnie dlatego, że jestem kompletnym głupcem. Jestem niezbędny, a cinc Rhys właśnie mnie potrzebuje.

- Rhys czy Oddział?

Scott uśmiechnął się chytrze.

- Nie Oddział. Mam po prostu robotę, którą muszę wykonać. Kiedy pomyślę, jak wiele lat byłem niewolnikiem, udawałem, że oczywiście bzdury są istotne, wiedziałem, że biję pokłony słomianemu chochołowi... Nie! Chcę żyć tak jak ty, życiem, o którym nic nie wiedziałem, że może istnieć w Twierdzach. Wróć, Ilene. To coś ważniejszego niż miłość. Oddzielnie jesteśmy połówkami. Razem możemy stworzyć całość.

Nic nie odpowiedziała. Patrzyła na Scotta nieruchomo. Pocałował ją.

O świcie wrócił do mieszkania. Jeana spakowała już jego niezbędny lekki sprzęt. Spała teraz, jej ciemne włosy rozsypały się po poduszce. Scott nie budził jej. Cicho się ogolił, wziął prysznic i

ubrał się. Ciężka cisza wyczekiwania zdawała się wypełniać miasto, które przypominało filiżankę wypełnioną po brzegi bezruchem.

Kiedy wyszedł z łazienki dopinając bluzę, spostrzegł rozstawiony stół, a przy nim dwa krzesła. Zjawiała się Jeana ubrana w zwiewny szlafrok. Postawiła filiżanki i naląka kawę.

- Dzień dobry, żołnierzu - powitała go. - Znajdziesz na to czas?

- Uhm. - Scott po lekkim wahaniu pocałował ją. Aż do tej chwili zerwanie z Jeana wydawało mu się całkiem proste. Nie będzie się sprzeciwiać. W końcu o to głównie chodziło w wolnym małżeństwie. A jednak...

Usiadła w fotelu, posłodziła kawę i otworzyła świeżą celofanową paczkę papierosów.

- Wykończony?

- Nie. Nawitaminizowałem się. Czuję się całkiem dobrze. - Większość barów posiadała gabinety odświeżające, niwelujące efekty zbyt wielu bodźców. Scott naprawdę czuł się rześko i świeżo. Zastanawiał się, jak poruszyć z Jeana temat Ilene. Oszczędziła mu kłopotu.

- Jeśli to dziewczyna, Brian, to się nie przejmuj. Nie ma sensu podejmować decyzji, nim skończy się wojna. Jak długo to potrwa?

- Och, niedługo. Chyba z tydzień. Wiesz, że jedna bitwa może rozstrzygnąć wszystko. Ta dziewczyna...

- Nie jest chyba z Twierdzy?

- Jest.

Jeana popatrzyła zaskoczona.

- Zwariowałeś.

- Zacząłem ci wyjaśniać - odparł Scott niecierpliwie. - To nie tylko ona. Rzygam już Oddziałem Doone. Chcę z tym skończyć.

- Hm. W ten sposób?
- W ten sposób. Jeana potrząsnęła głową.
- Kobiety z Twierdz nie są twarde.
- Nie muszą być. Ich mężczyźni nie są żołnierzami.
- Rób, jak uważasz. Będę czekać, aż wrócisz. Może mam prze-

czucie. Widzisz, Brian, byliśmy razem pięć lat. Dopasowaliśmy się. Nie z powodu czegoś takiego jak filozofia czy psychologia - to jest o wiele bardziej osobiste. To jesteśmy my. Jako mężczyzna i kobieta dalej możemy całkiem nieźle dawać sobie radę. Istnieje także miłość. Te specjalne uczucia są naprawdę ważniejsze niż coś, tam, w perspektywie. Możesz podniecać się przyszłymi doznaniem, ale nie możesz ich przeżywać.

Scott wzruszył ramionami.

- Możliwe, że zaczynam zapominać o planach na przyszłość. Koncentruję się na Brianie Scotcie.

- Jeszcze kawy... proszę. Tak, od pięciu lat jeżdżę za tobą od Twierdzy do Twierdzy, za każdym razem, jak idziesz na wojnę, czekam, zastanawiając się, czy wrócisz, wiedząc, że jestem po prostu częścią twojego życia. Czasami zdawało mi się, że najważniejszą. Bycie żołnierzem to siedemdziesiąt pięć procent. Ja - pozostałe dwadzieścia pięć. Sądziłam, że potrzebujesz tych dwudziestu pięciu procent, że rzeczywiście potrzebujesz takiej całości w tych proporcjach. Możesz znaleźć inną kobietę, ale ona będzie żądała owych dwudziestu pięciu procent dla siebie.

Scott nic nie odpowiedział. Jeana wypuściła przez nozdrza dym z papierosa.

- Okej, Brian. Ja poczekam.

- To nie chodzi tylko o tę dziewczynę. Przypadkiem pasuje ona do modelu, którego potrzebuję. Ty...

- Ja nigdy nie mogłabym się dostosować do takiego modelu - stwierdziła miękko Jeana. - Wolni Żołnierze potrzebują kobiet, które są gotowe być ich żonami. Nieślubnymi żonami, jak wolisz. Głównie polega to na tym, by nie być zbyt wymagającym. Ale są też i inne czynniki. Nie, Brian. Nawet gdybyś chciał, nie mogłabym się zmienić w jedną z mieszkanek Twierdzy. To nie byłabym ja. Nie czułabym dla siebie szacunku, gdybym prowadziła fałszywe w swoim mniemaniu życie. Ty także byś mnie takiej nie lubił. Nie potrafiłabym się zmienić i nie zrobię tego. Muszę pozostać tym, kim jestem. Żoną żołnierza. I jak długo ty będziesz należał do Oddziału Doone, będziesz mnie potrzebował. Ale jeśli się zmienisz... - nie dokończyła.

Scott, nachmurzony, zapalił papierosa.

- Trudno to tak dokładnie przewidzieć.

- Może cię nie zrozumiałam, ale nie zadaję pytań i nie staram się na ciebie wpłynąć. Jak długo będziesz mnie potrzebował, będziesz mnie miał. Nic więcej nie mogę ci zaofiarować. Ale dla Wolnego Żołnierza to wystarczy. Natomiast dla mieszkańca Twierdzy - to za mało albo za dużo.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział.

- To także zależy. To mnie będzie brak ciebie. - Chociaż pod stołem wyłamywała sobie palce, twarz jej nie zmieniła wyrazu. - Robi się późno. Pokaż, sprawdzę twój chronometr. - Jeana przechyliła się nad stołem, podniosła rękę Scotta i porównała czas na jego zegarku z zegarem na ścianie, na którym był czas centralny. - Okej. W drogę, żołnierzu.

Scott wstał, zacisnął pas. Pochylił się, by ucałować Jeanę, która,

choć zaczęła odwracać twarz, po chwili uniosła ku niemu usta.

Żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Scott szybko wyszedł. Dziewczyna siedziała bez ruchu, między jej palcami tlił się zapomniany papieros. W jakiś sposób to, że Brian opuścił ją dla innej kobiety i innego życia, przestało być istotne. Jak zawsze i teraz jedyną ważną rzeczą było to, że miał znaleźć się w niebezpieczeństwie.

„Wybaw go od wszelkiego złego - myślała nie zdając sobie sprawy, że się modli. - Wybaw go od wszelkiego złego”.

A teraz nastąpiła cisza i oczekiwanie. Przynajmniej to jedno się nie zmieniło. Spojrzała na zegar.

Minuty już zaczynały się dłużyć.

III

Kiedy Scott przybył do sztabu, porucznik Bienne nadzorował zaokrępowanie ostatnich ludzi Donne. Rażno zasalutował kapitanowi, najwyraźniej wcale nie zmęczyła go nocna praca przy kierowaniu rytmicznym załadunkiem.

- Wszystko w porządku, kapitanie.
- Dobrze. - Scott kiwnął głową. - Czy jest cinc Rhys?
- Właśnie przyjechał. - Bienne wskazał kurtynę w drzwiach.

Kiedy Scott ruszył w tamtym kierunku, Bienne podążył za nim.

- Co tam, poruczniku?

Bienne zniżył głos.

- Bronsona rozłożyła epidemiczna gorączka. - Zapomniał dodać „kapitanie”. - Miał dowodzić lewym skrzydłem floty. Chciałbym dostać tę robotę.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Bienne zacisnął usta, ale nie powiedział nic więcej. Zawrócił do swoich ludzi, Scott zaś wszedł do biura cinsa. Rhys właśnie rozmawiał przez teleaudio. Podniósł wzrok, zmrużył oczy.

- Dzień dobry, kapitanie. Akurat negocjowałem z Mendezem.

- Tak?

- Dalej upiera się przy pięćdziesięciu procentach z ewentualnego okupu z korium od Twierdzy Wirginia. Będziesz musiał się z nimi zobaczyć. Postaraj się pozyskać Gang za mniej niż pięćdziesiąt, jeśli dasz radę. Skontaktuj się ze mną przez teleaudio z fortu Mendeza.

- Załatwione, cinc.

- Jeszcze jedno. Bronson jest w lazarecie.

- Słyszałem. Jeśli mogę coś zaproponować, to porucznik Bienne mógłby objąć dowództwo nad lewym skrzydłem...

Ale cinc Rhys uniósł dłoń.

- Nie tym razem. Nie możemy pozwolić sobie na indywidualizm. Podczas ostatniej wojny porucznik próbował działać na własną rękę. Wiesz, że nie możemy ryzykować, aż wróci do szyku. Myśl o Doone zamiast o poruczniku Fredericku Bienne.

- To dobry facet. Doskonały strateg.

- Ale jeszcze niezbyt dobry we współdziałaniu. Może następnym razem. Niech lewe skrzydło obejmie porucznik Geer. Bienne'a zatrzymaj przy sobie. Potrzebuje dyscypliny. I weź wodolot do Mendeza.

- Nie samolot?

- Jeden z naszych techników skończył właśnie opracowywanie nowej wiązki promieni maskujących dla celów komunikacyjnych. Mam zamiar natychmiast to zainstalować we wszystkich naszych samolotach i szybowcach. Weź łódź, do fortu Gangu nie jest zbyt

daleko. To ten długi półwysep na skraju Południowego Piekla.

Ów kontynent z oczywistych powodów nawet na mapach był nazywany Piekłem. Upała to tylko jeden z czynników. Tak więc nawet najlepiej wyposażone grupy eksplorujące dżunglę szybko zaczynały cierpieć męki potępieńcze. Na lądzie Wenus flora i fauna połączyły się diabolicznie uniemożliwiając Ziemianom zamieszkanie tego kontynentu. Wiele roślin wydzielalo nawet trujące gazy. Istnieć mogły jedynie chronione przybrzeżne forty - a to dlatego właśnie, że były fortami.

Cinc Rhys zmarszczył brwi patrząc na Scotta.

- Jeśli uda się nam wynająć Gang, to zastosujemy plan H-7. W przeciwnym razie będziemy musieli skorzystać z usług jakiegoś innego oddziału. Wolałbym jednak tego nie robić. Diabły Morskie posiadają zbyt wiele okrętów podwodnych, a my nie mamy wystarczająco dużo detektorów. Zrób więc, co tylko w twojej mocy.

Scott zasalutował.

- Postaram się, cinc.

Rhys skinął ręką, by Scott wyszedł. Udał się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie trafił na siedzącego samotnie porucznika Bienne. Oficer spojrzał na niego pytająco.

- Przykro mi - powiedział Scott. - Tym razem dowództwo lewego skrzydła obejmie Geer.

Zgorzkniała twarz Bierme'a silnie poczerwieniała.

- Żałuję, że nie strzeliłem cię w mordę przed mobilizacją - stwierdził. - Nie znosisz rywali, co?

Nozdrza Scotta rozszerzyły się.

- Gdyby to zależało ode mnie, otrzymałbyś to dowództwo, Bienne.

- Pewnie. Mogę się założyć. Wszystko w porządku, kapitanie. Gdzie jest moja koja? Gdzie mój wodolot?

- Będiesz razem ze mną na prawym skrzydle. Na statku do-wódczym *Skalkówka*.

- Z tobą? Miałeś na myśli, że raczej pod tobą - rzucił szybko Bienne. Czy mu płonęły. - Taaa...

Ciemne policzki Scotta także pokrył rumieniec.

- To rozkaz, poruczniku - warknął. - Przyślij do mnie pilota wo-dolotu. Jadę na powierzchnię.

Bienne bez słowa odwrócił się ku nadajnikom teleaudialnym. Scott, sztywny, z żołądkiem ściśniętym z wściekłości, wymaszerował ze sztabu, starając się pohamować złość. Bienne był kretynek. Dużo mu zależało na Doone...

Scott opamiętał się i uśmiechnął z zakłopotaniem. No tak, jego samego przecież mało obchodził Doone. Dla indywidualistów nie ma miejsca. On i Bienne mieli jedną wspólną cechę - żaden z nich nie darzył Oddziału sentymentem.

Podjechał windą pod pokrywą Kopuły. W dole malała w oczach Twierdza Montana, kurczyła się do rozmiarów domku dla lalek. Pomyślał, że gdzieś tam, w dole, jest Ilene. Wróci do niej. Może ta woj-na trwać będzie krótko - nie zdarzało się, by wojny kiedykolwiek trwały o wiele dłużej niż tydzień, chyba że w tych rzadkich przypadkach, kiedy Oddział rozwijał nową taktykę.

Przez właz powietrzny przeprawił się w czymś w rodzaju pęche-rza. W mocnej, błyszczącej kuli z liną u szczytu, poprzez którą prze-chodził kabel. W środku nie było nikogo prócz Scotta. Po chwili kula ruszyła z lekkim zgrzytem. Woda na zewnątrz zakrzywionych ścian zmieniała się stopniowo z czarnej w zieloną, a potem przeszła w

prześwitującą szarość. Widać było morskie stwory, ale te nie stanowiły dla Scotta nowości, ledwie je w ogóle dostrzegali.

Pęcherz wypłynął na powierzchnię. Ponieważ ciśnienie atmosferyczne było stałe, nie zachodziła obawa przeciążenia. Scott otworzył właz. Wyszedł na jedną z pływających platform, które były rozsiane na wodzie ponad Twierdzą Montana. Paru turystów wtoczyło się do pomieszczenia, które opuścił, i właśnie teraz kula opadała w dół w wodę, znikając z pola widzenia.

W oddali Oddział Wolnych Żołnierzy przeładowywał się z większej platformy na prom powietrzny. Scott uważnie popatrzył w górę, aby zorientować się w sytuacji pogodowej. Sztorm nie nadciągał, chociaż warstwa chmur była jak zwykle rozdarta i powykręcana wiatrami we wrzące wiry. Nagle Scott przypomniał sobie, że bitwa prawdopodobnie nastąpi nad Głębiną Wenusjańską. To może sprawić nieco kłopotu szybowcom - na przykład nad Morzem Płycizn bywają ciepłe wiry.

Wodolot, krępy, szybki i cudownie dający się manewrować, wystrzelił w kierunku mola. Pilot odsunął górną kopułę i zaszutował. Był nim Norman Kane, schludnie wyglądający w dopasowanym uniformie. Widać było, że jest gotów się uśmiechnąć, jeśli tylko miał po temu najmniejszą zachętę.

Scott wskoczył z wianem na okręt i usiadł obok pilota. Kane zasunął przezroczystą kopułę i popatrzył na niego.

- Jakie rozkazy, kapitanie?
- Wiesz, gdzie jest fort Gangu? Dobrze. Płyn więc tam. Szybko.

Kane wystartował z platformy. Kurtyna z kropelek wody, kształtem przypominająca literę V, uniosła się z tyłu. Mające niewielką wyporność, łatwe w manewrowaniu, nadzwyczaj szybkie, te małe

okręty były niezastąpione w bitwie morskiej. Poruszały się tak błyskawicznie, że trudno było w nie trafić. Nie miały żadnego opancerzenia, które czyniłoby je wolniejszymi. Wyposażone były w pociski o dużej sile rażenia, wystrzeliwane z małokalibrowych działek. Miały dwuosobową załogę. Uzupełniały cięższą artylerię transporterów bojowych i niszczycieli.

Scott poczęstował Kane'a papierosem. Chłopak zawahał się.

- Nie jesteśmy pod ostrzałem - roześmiał się kapitan. - Podczas walki dyscyplina jest bezwzględnie konieczna, ale teraz możesz ze mną zapalić. Weź. - Przypalił biały rulonik dla Kane'a.

- Dziękuję, kapitanie. Chyba jestem trochę... nadgorliwy.

- No cóż, wojna ma swoje prawa. Niewiele, ale nie wolno ich łamać. - Obaj mężczyźni ucichli na chwilę przypatrując się pustej, szarej powierzchni oceanu przed nimi. Nad ich głowami nisko przeleciał samolot transportowy.

- Czy Ilene Kane jest twoją siostrą? - spytał po kilku minutach Scott.

Kane przytaknął. - Owszem, kapitanie.

- Tak też myślałem. Gdyby była mężczyzną, to sądzę, że zaciągnęłyby się do Wolnych Oddziałów.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Och, nie wiem. Ona nie ma... jakby to powiedzieć... Uważałaby to za zbyt duży wysiłek. Nie znosi dyscypliny.

- A ty?

- Dla mnie ważna jest walka, kapitanie. - A po namyśle: - Tak naprawdę to odnoszenie zwycięstw.

- Można przegrać bitwę, nawet jeśli się zwyciężyło - orzekł ponuro Scott.

- A jednak wolę być Wolnym Żołnierzem niż kimkolwiek innym.

Nie to, żebym miał zbyt wiele doświadczenia...

- Praktykę wojenną zdobywałeś w bandzie Starlinga, więc prawdopodobnie nabrałeś tam wiele groźnych nawyków. Wojna w dzisiejszych czasach nie jest romantycznym piractwem. Gdyby żołnierze Doone chcieli wygrywać bitwy przy pomocy takich nawyków, to po tygodniu nie byłoby już żołnierzy Doone...

- Ale... - Kane zawahał się. - Czy takie rzeczy nie są w pewnym stopniu konieczne? Myślę o ślepym trafie...

- Są straceńcze szanse - przerwał mu Scott. - Ale na wojnie dla dobrego żołnierza nie ma ślepych trafów. Kiedy byłem jeszcze nowicjuszem, wyłamałem się swoim krążownikiem z szyku, by zaatakować taranem. Słusznie zostałem zdegradowany. Nieprzyjacielska jednostka, którą staranowałem, nie była dla nich aż tak ważna jak krążownik dla nas. Jeśli zostałbym w szyku, to pomógłbym zatopić trzy albo cztery okręty, zamiast uszkodzić jeden i wycofać własny z walki. Cenimy sobie bardzo sztukę współdziałania, Kane. To o wiele ważniejsze teraz, niż było kiedykolwiek na Ziemi, ponieważ armia się zintegrowała. Wojska lądowe, marynarka wojenna, powietrze i działania podmorskie - wszystko to obecnie jest całością. Myślę, że jedyna istotna zmiana zaszła w powietrzu.

- Chodzi panu o szybowce? Wiem, że samoloty silnikowe nie mogłyby być użyte podczas bitwy.

- Nie w atmosferze Wenus - zgodził się Scott. - Kiedy samoloty silnikowe dostają się w warstwę chmur, to muszą zmagać się z krzyżującymi się prądami i dziurami powietrznymi, tak że nie mają zbyt wiele czasu na walkę. Bezsilnikowe szybowce cenne są nie przy bombardowaniu, ale przy naprowadzaniu ataków. Wlatują w chmurę,

kryją się tam, używają telekamer na podczerwień, które przesyłają obraz na kanale wysokiej częstotliwości do okrętów dowodzenia. Są oczami floty. Mogą powiedzieć nam... Wrząca woda przed nami, Kane! Skręcaj w bok!

Pilot już dostrzegł złowieszczą wrzącą kipieli pieniającą się przed dziobem. Instynktownie skręcił. Okręt zakołysał się na boki, załoga niemal wyleciała ze swoich miejsc.

- Potwór morski? - Scott zadał pytanie i sam sobie odpowiedział. - Nie, nie z takim bryzgiem. To od wulkanu. Błyskawicznie się rozszerza.

- Mogę go okrążyć, kapitanie - zaproponował Kane.

Scott pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne. Zawracaj.

Chłopak natychmiast posłusznie wycofał wodolot z zagrożonego miejsca. Scott miał rację co do rozmiarów niebezpieczeństwa. Wrzący wir rozprzestrzenił się tak szybko, że ich mały okręt z trudem uciekał. Nagle dosięgnęła ich krawędź spienionej wody, podrzuciła wodolot jak kawałek drewna, omal nie wyrwała z zaciśniętych rąk Kane'a koła sterowego. Scott chwycił je i pomógł utrzymać bez ruchu. Nawet kiedy obaj mężczyźni trzymali koło, zachodziło niebezpieczeństwo, iż może się ono wyrwać im z rąk. Przed przezroczystą osłoną unosiły się welony pary. Pod warstwą piany woda zmieniła się w brunatną zawiesinę.

Kane gwałtownie nacisnął dźwignię mocy. Wodolot wystrzelił do przodu jak rykoszetująca kula, tańcząc na powierzchni wrzących fal. Raz dziobem uderzyli w falę i jęk gwałconego metalu rozdzwijał się

przenikliwie po okręcie. Kane, z zaciśniętymi ustami, natychmiast włączył silnik pomocniczy, eliminując z pracy zmiażdżoną jednostkę napędową. Potem niespodziewanie znaleźli się na spokojnej wodzie, cofając się ku Twierdzy Montana. Scott uśmiechnął się.

- Dobra robota. Szczęście, że nie próbowałeś tego okrążyć. Nigdy nie dalibyśmy rady.

- Tak, kapitanie. - Kane odetchnął głęboko. Oczy jaśniały mu podnieceniem.

- Teraz zawróć. Trzymaj. - Włożył w usta chłopaka zapalonego papierosa. - Będiesz dobrym żołnierzem Doone, Kane. Reagujesz sprawnie i szybko.

- Dziękuję, kapitanie.

Scott przez chwilę palił w milczeniu. Spoglądał na północ, ale z powodu złej widoczności nie mógł odróżnić wznoszących się wulkanicznych stożków, które tworzyły kręgosłup Południowego Piekla. Wenus była stosunkowo młodą planetą, nadal niespodziewanie wybuchały tu podziemne ognie. Dlatego też nigdy nie budowano fortów na wyspach - miały one niemiły zwyczaj znikania bez uprzedzenia.

Wodolot ciężko płynął z tą samą szybkością, mimo iż był wyposażony w izolacyjny system resorów i amortyzatorów. Po przejeździe jedną z tych „brygantyn” - jak je pogardliwie nazywali żołnierze - człowiek wymagał arniki lub kręgarza. Scott wyciągnął się na miękkim fotelu poduszkowym, który dla niego był twardy jak cement.

Pod nosem mrucał rytmiczną piosenkę.

Wodolot pruł do przodu otoczony monotonnym morzem i chmurami, aż w końcu przed dziobem wyrósł obszerny wał wybrzeża, wynurzając się nagle spoza spowitego mgłą horyzontu. Przyjechali w

dobrym czasie, mimo niewielkiego opóźnienia spowodowanego przez podwodny wulkan.

Fort Gangu był wielkim metalowo-kamiennym zamczyskiem na krańcu półwyspu. Wąskie pasmo ziemi, które oddzielało go od lądu, było oczyszczone, poznaczone lejami jak śladami po ospie w miejscach, gdzie działa odepchnęły wściekły napór dżungli - gadów, płodnych gigantów Wenus, inteligentnych w pewien sposób, lecz absolutnie nie dających się tolerować z powodu przepaści, jaka dzieliła ich sposób myślenia od kultury człowieka. Często nawet próbowano nawiązać z nimi kontakt, ale okazało się, iż plemię gadów lepiej zostawić samo sobie, gdyż nie przejawiało ono ochoty do pertraktacji. Niemożliwe było przeprowadzenie zawieszenia broni z tymi zaślepionymi, okrutnymi dzikusami. Pozostały w dżungli, wyłaniając się jedynie po to, by rozwijać zaciekle ataki na forty - ataki skazane na klęskę, gdyż pięściom i pazurom przeciwstawione były ołowiane pociski i kruszące materiały wybuchowe.

Podczas gdy wodolot pędził ku nadbrzeżu, Scott patrzył wprost przed siebie. Okazywanie zbytniego zaciekawienia podczas odwiedzin fortu innego Oddziału nie należało wśród Wolnych Żołnierzy do dobrego tonu. Po przystani kręciło się kilku mężczyzn, którzy najwyraźniej na niego czekali. Kiedy Scott wyskoczył z łodzi, zasalutowali.

Podał swoje nazwisko i stopień. Do przodu wysunął się jakiś kapral.

- Cinc Mendez oczekuje pana, kapitanie. Jakaś godzinę temu mieliśmy teleaudio od cinca Rhysa. Jeśli pan pozwoli tędy...

- W porządku, kapralu. Mój pilot...
- Zaopiekujemy się nim, kapitanie. Masaż i może drink po przejażdżce na tej brygantynie.

Scott skinął głową i podążył za tamtym ku bastionowi, sterczącemu z wiszącej ściany fortu. Wrota od strony morza były otwarte. Przeszedł szybko przez dziedziniec śladem kaprała, potem przez kurtynę drzwi, wjechał na górę windą i znalazł się przed kolejną kurtyną, na której widniała twarz cinca Mendeza - okrągła twarz wieprza, łysa jak pocisk.

Wchodząc ujrzał Mendeza we własnej osobie u szczytu stołu. Wokoło niego siedziało także kilkunastu oficerów. Twarz żywego Mendeza była jakby bardziej ujmująca niż na wizerunku. Przypominał raczej niedźwiedzia niż wieprza. Wojownika, a nie żarłoka. Jego świdrujące czarne, oczy zdawały się przenikać Scotta z siłą fizycznego ciosu.

Wstał, oficerowie poszli za jego przykładem.

- Niech pan siada, kapitanie. U krańca stołu jest miejsce. Nie odpowiada ono pańskiej randze, wolę jednak mieć na wprost człowieka, z którym coś załatwiam. Ale najpierw - pan dopiero co przy był... Gdyby miał pan ochotę na błyskawiczny masaż, poczekam z przyjemnością.

Scott zajął wskazane miejsce.

- Dziękuję, cinc Mendez, ale nie. Wolalibyśmy nie tracić czasu.
- Nie traćmy go więc na przedstawianie się. Jednakże pewnie nie odmówi pan drinka. - Skinął głową na ordynansa przy drzwiach i po chwili Scott miał pod ręką napełnioną szklanekę.

Szybkim spojrzeniem obrzucił wszystkie twarze. Dobrzy żołnierze, pomyślał, twardzi, świetnie wyszkoleni i doświadczeni. Ostrzeżani. Gang to mała grupa, ale silna.

Cinc Mendez pociągnął ze swojej szklanki.

- Do rzeczy. Oddział Doone chce nas wynająć do pomocy w walce przeciw Diabłom Morskim. Usługi Diabłów Morskich kupiła Twierdza Wirginia, by zaatakować Twierdzę Montana. - Wylizwał na grubych palcach. - Proponujecie nam pięćdziesiąt tysięcy gotówką i trzydzieści pięć procent okupu z korium. Czyż tak?

- Dokładnie tak.

- Żądamy pięćdziesięciu procent.

- To dużo. Doone mają większą siłę w ludziach i w sprzęcie.

- W stosunku do nas, a nie do Diabłów Morskich. Swoją drogą, ten procent jest palcem na wodzie pisany. Jeśli przegramy, to otrzymamy tylko gotówkę.

Scott przytaknął.

- To prawda, ale jedynym realnym niebezpieczeństwem ze strony Diabłów Morskich są ich okręty podwodne. Doone posiadają wiele sprzętu do walki na powierzchni i w powietrzu. Możemy pokonać Morskie Diabły i bez was.

- Nie sądzę. - Mendez pokręcił przecząco głową. - Mają jakieś nowe torpedy, które roznoszą w proch grube płyty pancerne. A my mamy nowe podwodne detektory. Możemy zniszczyć te okręty Morskich Diabłów dla was, zanim będą w stanie użyć torped.

- Zaniża pan nasze możliwości, cinc Mendez - stwierdził Scott bez ogródek. - Nie jesteśmy aż tak słabi. Jeśli pan się do nas przyłączy, poszukamy innego Oddziału.

- Z podwodnymi detektorami?

- W walce podwodnej niezły jest Oddział Yardleya.

- To prawda, kapitanie - odezwał się major siedzący tuż przy szczycie stołu. - Mają samobójcze okręty podwodne, co prawda zbytnio nie można na nich polegać, ale mają je, to fakt.

Cinc Mendez pocierał dłońmi łysą głowę wolnym, kolistym ruchem.

- Hmm. Tak, kapitanie, sam nie wiem. Oddział Yardleya nie dorównuje nam w tej robocie.

- W porządku - powiedział Scott. - Mam wolną rękę. Nie wiemy, ile korium posiada Twierdza Wirginia w swoich podziemiach. Jak by panu odpowiadała taka propozycja: Gang otrzyma pięćdziesiąt procent łupu w korium, jeśli okup będzie wynosił do 250 000, a trzecieści pięć procent z tego, co przewyższy ową sumę.

- Czterdzieści pięć.

- Czterdzieści z ponad 250 000, czterdzieści pięć procent poniżej tej sumy.

- Panowie? - spytał cinc Mendez patrząc wzdłuż stołu. - Wasze głosy?

Odezwały się liczne „tak” i garstka „nie”. Mendez wzruszył ramionami.

- A więc decydujący głos należy do mnie. Dobrze. Otrzymamy czterdzieści procent z okupu od Twierdzy Wirginia od sumy do 250 000, czterdzieści pięć procent od sumy powyżej. Zgoda. Opijmy to.

Ordynansi podali drinki. Gdy Mendez wstał, inni podążyli za jego przykładem.

- Może pan wzniesie toast, kapitanie?

- Z przyjemnością. Proponuję toast Nelsona - „za chętnego do walki przeciwnika i miejsce na morzu”.

Wzniesli toast, jak czyniły to wszystkie Wolne Oddziały w przededniu bitwy. Gdy panowie usiedli, odezwał się cinc Mendez:

- Majorze Matson, proszę porozumieć się przez teleaudio z cincem Rhysem i ustalić szczegóły. Musimy poznać jego plany.

- Tak jest.

Mendez spojrział na Scotta.

- A teraz co jeszcze możemy dla pana zrobić?

- Już nic. Wracam do fortu. Detale można dopracować przez te-
leaudio na tajnym kanale.

- Jeśli pan wraca tym wodolotem - zauważył Mendez ironicznie
- to gorąco polecałbym panu masaż. Teraz, gdy doszliśmy już do
porozumienia, znajdzie się nieco czasu.

Scott zawahał się.

- Dobrze. Zaczyna mnie... uh... pobolewać. - Wstał. - Och, był-
bym o czymś zapomniał. Doszły nas słuchy, że banda Starlinga
stosuje broń atomową.

Usta Mendeza wykrzywiły się w grymasie niechęci.

- Nic nie słyszałem. A wy, panowie, wiecie coś o tym?

Pokręcili przecząco głowami. Tylko jeden oficer rzekł:

- Słyszałem jakieś plotki, ale to tylko plotki, jak dotąd.

- Po tej wojnie przeprowadzimy dalsze dochodzenie - stwierdził
Mendez. - Jeśli w tej plotce tkwi prawda, to wtedy oczywiście przyłą-
czymy się do was, by zniszczyć oddział Starlinga. W tej sprawie nie-
potrzebny jest żaden sąd wojenny!

- Dziękuję. Nawiążę kontakt z innymi Oddziałami i zobaczę, czy
oni coś słyszeli. Teraz, jeśli panowie pozwolą...

Zasalutował i wyszedł zadowolony z pertraktacji. Transakcja była
korzystna - bo Oddział Doone niewątpliwie potrzebował pomocy
Gangu przeciw Morskim Diabłom. Cinc Rhys będzie zadowolony z
umowy.

Ordynans zaprowadził go do łaźni, gdzie masaż przyniósł ulgę je-
go bolącym mięśniom. Teraz znów znalazł się na nadbrzeżu i począł
wspinać się do wodolotu. Rzut oka od tyłu przekonał go, że już ruszyła

machina wojenna. Niewiele mógł zobaczyć, ale mężczyźni poruszali się po dziedzińcu dobrze odmierzonymi krokami, do magazynów, administracji, laboratoriów. Okręty stały na kotwicy wzdłuż nadbrzeża. Scott wiedział, że w chronionej zatoce. Wkrótce jednak wyruszą na spotkanie Doone.

- Zreperowali nam pomocniczy napęd, kapitanie - powiedział Kane znad deski rozdzielczej wodolotu.

- To uprzejmie ze strony sojuszników. - Scott uniósł dłoń w przyjacielskim geście ku ludziom na nadbrzeżu, gdy okręt wypływał na otwarte wody. - Teraz do fortu Doone. Wiesz gdzie?

- Jasne, kapitanie. Czy... czy mogę o coś zapytać?... Czy Gang będzie walczył razem z nami?

- Tak. A są to doskonali żołnierze. Zobaczysz bitwę, Kane. Kiedy w pobliżu usłyszysz odgłosy walki, będzie to oznaczać jedno z największych starć, jakie zdarzyły się na Wenus. Dodaj gazu - musimy się pospieszyć!

Wodolot ruszył jak strzała w kierunku południowo-zachodnim, jego ślady znaczyły rozpryskujące się w kształcie litery V krople wody.

To ostatnia walka, pomyślał Scott, ciesząc się, że będzie tak ostra.

IV

Kiedy znajdowali się około ośmiu mil od fortu Doone, wysiadł silnik.

To już nie była awaria, to była katastrofa. Przeciążony i przegrzany silnik pracujący na najwyższych obrotach eksplodował. Poprzednia awaria przy podwodnym wulkanie powiększyła ukryte pęknięcia w metalu, a mechanicy Gangu nie zdołali ich wykryć, kiedy

wymieniali zniszczony zespół. Szczęśliwy przypadek sprawił, że kiedy nastąpił wybuch, wodolot ustawił się na fali. Silnik wyskoczył w górę, potem opadł na dół, rozszarpując dziób statku na strzępy. Gdyby dziób był zanurzony, wybuch miałby o wiele tragiczniejsze skutki dla Scotta i dla pilota.

Znajdowali się może pół mili od brzegu. Eksplozja ogłuszyła Scotta, który jednocześnie dostrzegł, że horyzont rozhuśtał się jak pijany. Łódź obróciła się do góry dnem, pokrywa plusnęła w wodę z głośnym trzaskiem. Ale plastik wytrzymał. Obaj mężczyźni skłębili się na czymś, co kiedyś było sufitem, ześlizgując się w przód, kiedy dziób wodolotu zaczął pogrążyć się w wodzie. Ze zniszczonego silnika z sykiem wydobywała się para.

Kane zdołał wcisnąć jeden z alarmowych guzików. Kopuła była oczywiście zmiażdżona, ale parę segmentów rozsunęło się na boki, wpuszczając falę gorzkiej morskiej wody. Przez chwilę miotali się wewnątrz, walcząc z prądem, aż powietrze zostało wypchnięte na zewnątrz. Scott, starając się przeniknąć wzrokiem chmurę mętnej wodnej zieleni, ujrzał ciemny cień Kane'a, który przekręcił się i przecisnął przez szczelinę. Poszedł w jego ślady.

Pod nim czarne cielsko łodzi opadało w dół, aż wreszcie zniknęło. Głowa Scotta wynurzyła się na powierzchnię. Zacerpnął powietrza i zamrugał powiekami, by strząsnąć wodę z rzęs. Rozejrzał się. Gdzie był Kane?

Chłopak wypłynął bez hełmu, z gładkimi włosami przyklejonymi do czoła. Scott napotkał jego wzrok, nacisnął wyzwalacz pneumatycznej kamizelki ratunkowej, którą zawsze noszono pod bluzą podczas służby na morzu. Gdy zmieszały się chemikalia, lekki gaz wypełnił kamizelkę unosząc Scotta wyżej na wodzie. Poczul, jak z tyłu

nadał się kołnierzyk-poduszka pasujący kształtem do czaszki i pozwalający rozbitkom dryfować i odpoczywać bez groźby zatonięcia podczas snu. Ale teraz nie było mu to potrzebne.

Dostrzegł, jak Kane przycisnął wyzwalacz swojej własnej kamizelki. Scott podciągnął się do góry szukając jakichś oznak życia. Nie było żadnych. Szarozielone morze świeciło pustkami aż po zamglony horyzont. Oddalona o pół mili widniała skłębiona ściana zieleni, która oznaczała dżungle. Nieco wyżej, w tle, przyćmiona jaskrawa czerwień rozpałała chmury.

Scott wyciągnął swoją maczetę o ostrzu w kształcie liścia, gestem nakazując Kane'owi, aby zrobił to samo. Chłopak nie wyglądał na przestraszonego. Scott pomyślał kwaśno, że bez wątplenia była to dla niego tylko pasjonująca przygoda. No, zobaczymy.

Ściskając maczetę w zębach, kapitan począł płynąć do brzegu. Kane trzymał się u jego boku. W pewnej chwili Scott ostrzegł swego towarzysza, by ten się nie ruszał, a sam pochylił się do przodu zanurzając twarz w wodzie i starając się przyjrzeć wielkiemu, niewyraźnemu cieniowi, który skręcił w bok i odpłynął. To wąż morski, ale szczęśliwie niegłodny. Oceany Wenus były groźne, roiły się od krwiożerczego życia. Środki ostrożności stawały się prawie bezużyteczne. Jeśli człowiek raz znalazł się w wodzie, to powinien się jak najszybciej stamtąd wydostać.

Scott namacał małą fiolkę przyczepioną do pasa i poczuł, jak o jego dłoń odbijają się bąbelki. Przyniosło mu to pewną ulgę. Kiedy bowiem kamizelka była już napęczniona, z owego pojemnika zaczął się

automatycznie wyzwałać cuchnący stężony gaz, którego zapach przenikał wodę na pewną odległość. Skutek był taki, jak gdyby skunks zanieczyścił środowisko kałamarnicy. Należało oczekiwać, że groźne morskie potwory będą się trzymać z daleka od pojemnika Mellisona. Ale nie zdawało to egzaminu wobec takich padlinożerców jak węże. Scott uśmiechnął się. Urządzenie nazwane zostało „tubą Mellisona”, ale ludzie mówili o nim „Śmierdziel”, co było dużo bardziej trafne.

Na Wenus nie dało się przewidzieć pływów morskich. Planeta spowita chmurami nie miała księżyca, za to była bliżej Słońca niż Ziemia. Z reguły pływy były łagodne, tylko podczas wybuchów wulkanów fale zalewały nadbrzeża. Scott, rozglądając się bacznie dookoła, płynął poprzez fale w kierunku plaży, wypatrując w paśmie mrocznej ciemności śladów życia.

Nic.

Wygrzebał się wreszcie na brzeg, otrząsnąwszy się jak pies, i natychmiast wymienił magazynek w swoim automacie na ten z pociskami burzącymi. Broń była oczywiście wodoszczelna - to konieczność na Wenus. Kiedy Kane usiadł obok, odchrząknął i wypuścił gaz z kamizelki, Scott stał patrząc na ścianę dżungli odległą o trzydzieści stóp. Zatrzymała się tam raptownie, bo na czarnym piasku nic nie mogło wyrosnąć.

Jedynym dźwiękiem był szum nadbiegających i cofających się fal. Większość drzew przypominała liany, przedłużające swe nietrwale życie, jak powiadano, wykorzystując słabość innych. Gdy któreś drzewo zdradzało oznaki stabilności, było natychmiast atakowane przez pasożytnicze pnącza rzucające się szaleńczo w górę, by schwycić przefiltrowane światło słoneczne Wenus. Liście pojawiały się dopiero

trzydzieści stóp nad ziemią. Tworzyły tutaj prawdziwy dach, układając się jak dziwaczne gonty, i odcinały wszelki dopływ światła, ponieważ nie były przezroczyście zielone. Białawe wici pełzały jak węże od drzewa do drzewa - macki roślinnych ośmiornic. Na Wenus występowały dwa rodzaje przedstawicieli fauny: giganty, które przedzierały się przez las miażdżąc go, i karzelki, małe stworzenia chodzące po ziemi - głównie insekty i gady, których istnienie zależało od torebek wypełnionych trucizną umożliwiającą im samoobronę. Żaden z owych gatunków nie zaliczał się do miłego towarzystwa.

Były także stwory fruwające, ale te żyły w górnym piętrze. I były zagadkowe monstra mieszkające głęboko w mule i stojącej wodzie jeziorok pod warstwą lasu, ale nikt o nich nie wiedział zbyt wiele.

- Tak - powiedział Scott. - To jest to.

Kane kiwnął głową.

- Myślę, że powinienem był sprawdzić silniki.

- Nic byś nie znalazł. To ukryte pęknięcia. Żeby je zobaczyć, trzeba by ciemnej nocy. Po prostu. Trzymaj teraz maskę gazową pod ręką. Kiedy znajdziemy się w pobliżu trujących kwiatów, a wiatr wieje w naszą stronę, musimy je mieć w pogotowiu. - Scott otworzył wodoszczelną torbę i wyjął pasek czułego lakmusu, który przykleił do przegubu dłoni. - Jeśli zrobi się niebieski, będzie to oznaczać gaz, nawet gdybyśmy go nie poczuli.

- Tak jest, kapitanie. Co teraz?

- No, łodzi już nie ma. Nie możemy wezwać pomocy przez teleaudio. - Scott wypróbował ostrze maczety i wsunął ją do pochwy przy pasie. - Pójdziemy pieszo do fortu. Osiem mil. Dwie godziny, jeśli będziemy się trzymać brzegu i nie wpadniemy w tarapaty. Więcej, jeśli przed nami jest Skala Sygnałowa, ponieważ w tym wypadku

będziemy musieli obejść ją lądem. - Wyciągnął składany prosty teleskop i popatrzył wzdłuż brzegu w kierunku południowo-zachodnim. - Aha. Obchodzimy.

Tchnienie oszałamiającej słodkości spłynęło z dachu dżungli. Scott wiedział, że z góry dżungla wygląda zadziwiająco ładnie. Przypominała mu zawsze antyczną kapę na łożko, którą kupił kiedyś Jeanie - fantastyczna tęcza kwiatów na tle bladej zieleni. Nawet pomiędzy poszczególnymi gatunkami flory panowało ostre współzawodnictwo. Rośliny rywalizowały w wytwarzaniu kolorów i zapachów, które byłyby w stanie przyciągnąć skrzydlatych roznosicieli pyłków.

Zawsze będą jakieś pogranicza, pomyślał Scott. Ale tutaj, na Wenus, zapewne pozostaną one nieujarzmione jeszcze przez długi czas. Podwodnym mieszkańcom wystarczały Twierdze, były samowystarczalne. Wolnym Żołnierzom natomiast nie zależało na podbijaniu imperium kontynentów. Byli wojownikami, nie rolnikami. Głód ziemi nie stanowił już cechy typowej dla tej rasy. Może znowu nadejdzie, ale nie za panowania Twierdz.

Dżungle Wenus kryły tajemnice, których on nigdy nie pozna. Ludzie mogą podbijać krainy z powietrza, ale nie mogą ich w ten sposób utrzymać. Będzie to długi, powolny proces wdzierania się, podczas którego dżungla i wszystkie gatunki zwierząt zostaną odepchnięte, krok za krokiem, boleśnie. To jednak należy do przyszłości, do tego czasu, którego Scott nie pozna. Dziki świat będzie ujarzmiony. Ale jeszcze nie teraz - nie teraz.

W tej chwili był nieujarzmiony i bardzo groźny. Scott ściągnął kurtkę i wyjął z niej wodę. W tym wilgotnym klimacie nie było nadziei, żeby ubranie wyschło, mimo że był wiatr. Spodnie przylepiały się do ciała, w ich załamaniach tkwiło wilgotne zimno.

- Gotowy, Kane?
- Tak, kapitanie.
- Idziemy więc.

Ruszyli wzdłuż brzegu w kierunku południowo-zachodnim lekko, równym krokiem, który pochłaniał mile. Pośpiech i czujność były niezbędne w jednakowych proporcjach. Scott od czasu do czasu przy pomocy teleskopu przepatrywał morze w nadziei, że ujrzy jakiś okręt. Ale nic nie było. Okręty pewnie cumowały w porcie gotując się do bitwy, a samoloty ściągnięto na ziemię, by zamontować nowe przyrządy teleaudialne, o których wspomniał cinc Rhys.

W oddali wynurzyła się Skała Sygnałowa, wzbijająca się w niebo tarczą o zerodowanych, niedostępnych zboczach, sięgających na wysokość dwustu i więcej mil. Tutaj kończyło się czarne pasmo piasku. Skała opadała prostopadle w głęboką wodę, poprzecinaną kłębowiskiem wirów. Nie sposób było okrążyć jej drogą morską, nie pozostawało więc nic innego, jak skręcić w głąb lądu. To niebezpieczne, lecz jedyna droga. Scott zwlekał z zagłębieniem się w kontynent tak długo, jak tylko to było możliwe, aż krawędź Skały Sygnałowej, smoliście czarna z plamami srebra jak trąd, zagroziła im drogę. Spojrzał kpiąco na Kane'a, skręcił ostro w prawo i podążył w dżungłę.

- Pół mili przez dżunglę równa się setce mil biegu przez plażę - zauważył.
- Aż tak źle, kapitanie? Nigdy tam głębiej nie wchodziłem.
- Nikt tego nie robi, chyba że musi. Miej oczy otwarte i broń w pogotowiu. Nie przechodź w bród wody, nawet jeśli będziesz widział dno. Są tam takie małe, prawie przezrocyste diabły, to ryby-wampiry.

Jeśli kilka z nich przyczepi się do ciebie, będziesz potrzebował transfuzji w ciągu paru sekund. Chciałbym, żeby wulkany były aktywne. Wtedy te bestie przeważnie leżą na dnie.

Scott zatrzymał się pod drzewem szukając długiego prostego kija. Zajął mu to trochę czasu, nim znalazł odpowiedni w tym gąszczu wijących się lian, ale w końcu powiodło mu się i przy pomocy ostrza maczety wyciął pięciostopowy drąg. Z Kanem, zdążającym jego śladem, wszedł w gęsty mrok.

- Coś może iść naszym tropem - przestrzegł chłopaka. - Nie zapomnij pilnować tyłów.

Piach ustąpił miejsca białawemu, lepkiemu blocku, które już po kilku krokach oblepiło obu mężczyzn aż po pośladki. Wydawało się, iż ziemię pokrywa patyna rozkładu. Trawa kolorem tak przypominała błoto, że była prawie niewidoczna, z wyjątkiem tego, iż za jej sprawą teren stawał się jeszcze bardziej śliski. Scott wolno posuwał się do przodu, trzymając się blisko skały, którą miał po lewej stronie, ponieważ gąszcz nie był tam aż tak zbity. A jednak, żeby wyciąć przejście przez pnącza, musiał niejedną raz użyć maczety.

Zatrzymał się nagle unosząc dłoń do góry. Ucichł chłupot kroków Kane'a w blocku. Scott w milczeniu wskazał jakiś punkt. Przed nimi, w skale, widniał otwór grotu.

Kapitan schylił się, znalazł mały kamień i wrzucił go w otwór. Czekał, z ręką opartą lekko o broń, przygotowany, że z grotu coś wyskoczy i rzuci się na nich. W całkowitej ciszy dał się słyszeć nowy dźwięk - mały werbel chochlika, nierówne i rezonujące bębnienie wygrywane w dawny, zapomniany sposób. Woda kapiąca z liścia na liść w nasiąkniętym wilgocią dachu dżungli ponad nimi. Kap, kap, kap-kap, kap, kap-kap...

- Okej - rzekł Scott cicho. - Patrz uważnie. - Ruszył do przodu z bronią w pogotowiu. Po chwili znaleźli się obok wejścia do groty. - Obróć tam głowę, Kane. Nie spuszczaaj oka z groty, aż powiem ci, byś przestał. - Ścisnął ramię chłopaka i pokierował nim, chowając swoją broń do kabury. Kij, trzymany dotąd pod pachą, ześliznął mu się do ręki. Użył go do badania śliskiej wierzchniej warstwy błota pod nogami. Często trafiały się dziury i lotne piaski, były też pułapki, zamaskowane jamy budowane przez błotne wilki, które oczywiście nie były wilkami i należały do jakiegoś nieznanego gatunku. Na Venus fauna miała więcej podgatunków i bardziej niedostrzegalne linie podziału między nimi niż na Starej Ziemi.

- Teraz w porządku.

Kane oddychając z ulgą obrócił twarz do przodu.

- Co to było?

- Nigdy nie wiadomo, co może wyleźć z takiej dziury - wyjaśnił Scott. - Wyskakują błyskawicznie i przeważnie są jadowite. Nigdy więc nie ryzykuj w takich miejscach. Zwolnij. Nie podoba mi się ta ścieżka przed nami.

Polany w tym lesie były czymś niezwykłym. A właśnie trafili na polanę, szeroką na dwadzieścia stóp, kolistą. Scott ostrożnie wyciągnął kij i popróbowwał. Nieznaczna fala rozkołysała białe blocko. Niemal jeszcze przed jej pojawieniem się kapitan wyciągnął pistolet i zaczął strzelać raz za razem w miejsce, gdzie dostrzegł ruch.

- Strzelaj, Kane! - warknął. - Szybko! Strzelaj w to!

Kane usłuchał, chociaż nie wiedział, co jest celem. Nagle zabarwione czerwinią błoto wytrysnęło jak gejzer. Scott, wciąż strzelając, chwycił ramię chłopaka i odciągnął go do tyłu.

Echo zamarło. Raz jeszcze odległe werbelki elfów zaszeptały poprzez zielony mrok.

- Załatwiliśmy go - orzekł Scott po chwili.
- Załatwiliśmy? - bezmyślnie powtórzył Kane. - Kogo?
- Sądzę, że wilka błotnego. Jedyne sposoby, by zabić to stworzenie, to dostać je, nim wygrzebie się z blocka. One wszystkie są szybkie i drogo sprzedają swoje życie. Jednak... - Ruszył ostrożnie do przodu. Nie było już nic widać. Błoto zapadło się tworząc wgłębienie, ale już zapełniły się dziury wyrwane kulami. Tu i tam widniały ślady krwi.

- Ani chwili spokoju - zauważył Scott. Jego ironiczny uśmiešek rozładował napięcie. Kane odchrząknął i naśladowując kapitana wymienił na wpół zużyty magazynek na pełny.

Wąski grzbiet Skały Sygnałowej wrzynał się w głąb łądu na około ćwierć mili, nim można się było nań wspiąć. W końcu osiągnęli ten punkt i pomagając sobie wzajemnie we wspinaczce znaleźli się na szczycie, a jednak wciąż pod liściastym sufitem drzew. Czarna powierzchnia skały parzyła boleśnie, kłuła ich dłonie, gdy wdrapywali się na górę, i doskwierała im nawet przez podeszwy butów.

- Półmetek, kapitanie?
- Owszem, ale nie ciesz się zbytnio. Dopóki nie dojdziemy do plaży, nie będzie lepiej. Najprawdopodobniej, gdy już dotrzemy do fortu, będziemy musieli wziąć parę zastrzyków przeciwmalarycznych, tak na wszelki wypadek. Oho! Maski, Kane, szybko! - Scott uniósł rękę. Opaska lakmusowa na jego przegubie przybrała niebieski kolor.

Wyćwiczonym ruchem włożyli maski przeciwgazowe. Scott poczuł na odkrytej skórze lekkie ukłucia, ale nie było to nic poważnego.

Później jednak trzeba się było liczyć z bólem. Skinął na Kane'a, osunął się na powierzchnię skały, kijem sprawdził błoto poniżej i lekko skoczył. Wpadł w lepka białość i turlał się w niej pospiesznie, oblepiając się od stóp do głów. Kane uczynił to samo. Błoto nie mogło zniweczyć działania gazu wydzielanego przez trujące kwiaty, ale mogło chociaż częściowo osłabić jego działanie na skórę.

Groteskowa figura Scotta podążyła w stronę wybrzeża. Błoto ochlapało mu okulary, ale wytarł je garścią białej trawy. Cały czas przy pomocy kija sprawdzał drogę przed sobą.

Jednakże błoto mimo wszystko oszukało go. Kij zapadł się nagle, a kiedy Scott instynktownie przechylił się całym ciężarem do tyłu, spod jego stóp osunęła się ziemia. Miał czas na idiotyczne uczucie ulgi, że to tylko lotny piasek, a nie jama wilka błotnego, a potem lepka, zdradziecka materia wessała go aż po kolana. Upadł do tyłu zaciskając dłoń na kiju, drugim końcem wymachiwał koliście w kierunku Kane'a.

Chłopak uchwycił go oburącz i rzucił się płasko na ziemię. Stopami zaczepił o wystający korzeń. Scott, wykrzywiając szyję pod nienaturalnym i bolesnym kątem i próbując dostrzec cokolwiek przez zamazane błotem okulary, uchwycił kurczowo swój koniec kija. Miał nadzieję, iż nie wyślizgnie mu się z ręki.

„Błoto wciągało go coraz głębiej, aż wreszcie pomoc Kane'a zaczęła przynosić efekty. Chłopak starał się ciągnąc do siebie kij, przekładając na nim dłonie. Scott potrząsnął głową. Był dużo silniejszy od Kane'a, a ten będzie potrzebował całej swojej siły, by utrzymać kij.

W cieniu, za Kane'em, coś się poruszyło.

Scott instynktownie puścił drąg jedną ręką i wyszarpnął broń. Mechanizm jej był uszczelniony, więc błoto nie wyrzuciło żadnej szkody, natomiast wylot lufy otwierał się tylko w jedną stronę. Strzelił w ten ruch za Kane'em, usłyszał przytłumiony hałas, czekał, aż zamilknie. Chłopak, rzuciwszy za siebie zdziwione spojrzenie, nie poruszył się.

Potem ratunek był już stosunkowo łatwy. Scott po prostu wciągał się po kiju, rozkładając swój ciężar na lotnym piasku. Tylko wydobyć nogę ze śmiertelnego chwytu przyszło mu z trudnością. Musiał potem pięć minut odpoczywać.

Ale wydostał się. To było najważniejsze. Kane wskazał pytająco na krzaki, gdzie leżało zastrzelone stworzenie, ale Scott pokręcił głową. Gatunek bestii nie był kwestią godną rozstrzygnięcia, jak długo była ona niegroźna. Scott poprawił maskę i skierował się ku plaży obchodząc lotny piasek. Kane poszedł w jego ślady.

Szczęście zaczęło im sprzyjać. Bez dalszych trudności osiągnęli brzeg i rzucili się na czarny piach, by odsapnąć. Teraz Scott popatrzył na lakmus, dostrzegł, że gaz się ulotnił, i zdjął maskę. Odetchnął głęboko.

- Dziękuję, Kane - rzekł. - Możesz teraz popływać, jeśli chcesz zmyć z siebie błoto. Tylko trzymaj się blisko brzegu. Nie, nie rozbiegaj się. Nie ma czasu. Błoto lepilo się jak guma, piach drapał jak pumeks. Jednakże po paru minutach kąpieli Scott poczuł się dużo czystszy. Kane stał na straży. Trochę odświeżeni podjęli marsz.

Godzinę później wypatrzył ich okręt transportowy i przez teleaudio powiadomił fort. Przyplłynął po nich wodolot. Scott najbardziej ucieszył się z solidnej porcji uisqueplusu, którą zaofiarował mu pilot.

Tak. To jednak jest pieskie życie!

Podał butelkę Kane'owi.

Przed nimi wyłonił się fort broniący wejścia do portu Doone. Port, wielki jak otoczona lądem zatoka, z trudem mógł pomieścić flotę. Scott z aprobatą przyglądał się widocznej krzątaninie. Wodolot okrążył falochron, zbudowany dla zabezpieczenia przed pływami, i zatrzymał się przy nadbrzeżu. Zamilkł prawie niedosłyszalny dźwięk jego silnika, rozsunęła się kopuła.

Scott wyskoczył, skinął na ordynansa.

- Słucham, kapitanie?

- Proszę dopilnować, aby ten żołnierz dostał wszystko, czego potrzebuje. Byliśmy w dżungli.

Żołnierz wymownie, z sympatią, ściągnął usta jak do gwizdnięcia. Zasalutował i pomógł Kane'owi wydostać się z wodolotu. Kiedy Scott spieszył wzdłuż nadbrzeża, doszedł go wybuch przyjacielskich przekleństw ze strony mężczyzn z doku otaczających Kane'a.

Pokiwał nieznacznie głową. Chłopak będzie dobrym Wolnym Żołnierzem. Można się założyć, że wytrzyma na pierwszej linii ognia. Ten test był bardzo trudny. Dyscyplina napięta do granic wytrzymałości. Gdyby coś pękło - no tak, czynnik ludzki zawsze będzie stanowił niewiadomą, bez względu na to, co mogą zrobić psychologowie.

Skierował się prosto do swojej kwatery, włączył teleaudio. by porozumieć się z cincem Rhysem. Pokierszowana, chuda twarz cinca pojawiła się na ekranie.

- Kapitan Scott melduje się na służbie.

Rhys popatrzył na niego bacznie.

- Co się stało?

- Mieliśmy kraksę wodolotu. Musiałem tu przyjść na piechotę.

Cinc westchnął cicho do Boga.

- Cieszę się, że ci się udało. Odniosłeś jakieś obrażenia?
- Nie. Pilot też cały. Kiedy się umyję, jestem gotów podjąć obowiązki.

- Lepiej poddaj się odnowie biologicznej - chyba ci tego trzeba. Wszystko idzie jak w zegarku. Świetnie poradziłeś sobie z Mendezem. Lepsza transakcja, niż się spodziewałem. Porozumiałem się z nim przez teleaudio co do połączenia naszych sił. Omówimy to jednak później. Umyj się, a następnie zrób generalną inspekcję.

- Rozkaz, cinc.

Rhys wyłączył się. Scott odwrócił się do swego ordynansa.

- Witaj, Briggs. Pomóż mi wyleźć z tych łąchów. Chyba będziesz je musiał ode mnie odciąć.

- Cieszę się, że pan wrócił, kapitanie. Nie sądzę, żeby trzeba było odcinać... - Palce Briggsa przebiegały zrezygnowanie po suwakach i za-trzaskach. - Był pan w dżungli?

Scott uśmiechnął się krzywo.

- A wyglądam, jakbym leciał wodolotem?
- Nie całą drogę, kapitanie, nie.

Briggs przypominał starego buldoga. Był to jeden z tych ludzi, którzy są potwierdzeniem słów starej pieśni: „Starzy żołnierze nie umierają, tylko odchodzą w cień”. Briggs mógł przejść w stan spoczynku dziesięć lat temu, ale nie chciał. W Wolnych Oddziałach zawsze będzie miejsce dla starych żołnierzy, nawet dla tych niewykwalifikowanych. Niektórzy stawali się technikami, inni instruktorami wojskowymi, reszta ordynansami. Forty były ich domem. Jeśli prze- nieśliby się do którejś z Twierdz, umarliby z nudów.

A Briggs - nigdy nie awansował i nie znał się na strategii, artylerii

lub czymkolwiek innym poza zwykłą walką. Ale był człowiekiem Doone od czterdziestu lat, w tym dwadzieścia pięć lat w czynnej służbie. Obecnie przekroczył już sześćdziesiątkę. Jego krępa sylwetka przygarbiła się jak u podstarzałego niedźwiedzia, brzydką twarz pokrywały blizny.

- W porządku. A teraz przygotuj prysznic, dobrze?

Briggs wyszedł sztywno, a Scott ściągnął swoją brudną, przemoczoną odzież i podążył za nim. Rozkoszował się kłującymi kropelkami - najpierw gorąca woda z mydłem, potem mieszanka alkoholowa, a następnie czysta woda, gorąca i zimna. Było to ostatnie zadanie, którego musiał się podjąć samodzielnie. Teraz wszystko przejął na siebie Briggs. Podczas gdy Scott wyciągnął się wygodnie na leżance, ordynans zakropił mu lekarstwem zaczerwienione oczy, masował go zręcznie, lecz morderczo, stosując zabiegi kręgarskie w połączeniu z naświetlaniem odnawiającym biologicznie, i zaaplikował zastrzyk z podsiarczynu, by zlikwidować zmęczenie. Kiedy Briggs skończył, Scott był gotowy do podjęcia swych obowiązków, miał jasny umysł i wypoczęte ciało.

Pojawił się Briggs ze świeżym mundurem.

- Wyczyszczę ten stary, kapitanie. Nie ma sensu go wyrzucać.

- Nie dasz rady - zauważył Scott wciągając na siebie podkoszulek. - Nie po tym, jak wytarzałem się w błocie. Ale rób, jak uważasz. Nie będzie mi już długo potrzebny.

Palce ordynansa, zapinające guziki kurtki Scotta, zatrzymały się na chwilę i znów podjęły swoją czynność.

- Cóż słyszę, kapitanie?
- Tak. Składam papiery o zwolnienie ze służby.
- Idzie pan do innego Oddziału, kapitanie?
- Nie zapędzaj się tak daleko - upomniał Scott ordynansa. - To nie to. A nawet jeśli, to co byś zrobił? Oddałbyś mnie pod sąd wojenny w twojej osobie i zastrzelił o poranku?

- Nie, kapitanie. Z przeproszeniem, pomyślałbym tylko, że pan zwariował.

- Bóg jeden wie, dlaczego cię toleruję - zauważył Scott. - Jesteś cholernie uparty. W twojej zakutej pale nie ma miejsca na nowe pomysły. Jesteś kwintesencją dogmatyzmu.

Briggs kiwnął głową.

- Pewnie tak, kapitanie. Kiedy ktoś żyje według pewnych reguł tak długo jak ja, a te reguły się sprawdzają, sądzę, że może stać się dogmatykiem.

- Ty czterdzieści lat, a ja... dwanaście.

- Pan szybko awansuje, kapitanie. Jeszcze będzie pan tutaj cincem.

- To ty tak myślisz.

- Jest pan następny w kolejce po cincu Rhysie.

- Ale ja opuszczam Doone - wyjaśnił Scott. - Zatrzymaj to dla siebie, Briggs.

Briggs odchrząknął.

- Nie rozumiem, kapitanie. Jeśli pan nie wstępuje do innego Oddziału, to gdzie pan idzie?

- Słyszałeś kiedyś o Twierdzach?

Briggs pozwolił sobie na pełne szacunku parsknięcie.

- Jasne. Dobrze są, żeby tam popić, ale...

- Chcę zamieszkać w jednej z nich. W Twierdzy Montana,

- Twierdze zbudowali ludzie i maszyny. Ja pomagałem przy budowie fortu Doone. Tutaj jest krew zmieszana z plastykiem. Musielimy powstrzymać napór dżungli, podczas gdy technicy pracowali.

Osiem miesięcy, kapitanie, i nie było ani jednego dnia bez jakiegoś ataku. A napady zawsze znaczyły ofiary w ludziach. Mieliśmy tylko wały ochronne. Okręty kładły ogień zaporowy, ale ogień zaporowy nie jest nie do przebycia. To była walka, kapitanie. Scott wyciągnął nogę tak, aby Briggs mógł wyglansować mu but.

- I cholernie dobra walka. Wiem. - Popatrzył z góry na łysinę ordynansa. Brązowa głowa z rzadka usiana była siwymi włosami.

- Pan wie, ale pana tu nie było, kapitanie. Ja byłem. Najpierw używaliśmy dynamitu. Oczyszciliśmy półkole, gdzie za wałami ochronnymi mogliśmy zacząć kopać. Za nami byli technicy stawiający plastikowy mur tak szybko, jak tylko mogli. Broń przywożono barkami. Na brzegu stały wozy z amunicją. Ponad głowami słyszeliśmy świst pocisków. Był to całkiem przyjemny dźwięk, bo wiedzieliśmy, że wszystko jest okej, póki trwa ogień zaporowy. Ale nie mógł on trwać dzień i noc. Dżungla przedzierała się. Całymi miesiącami unosił się tu zapach krwi i to przywabiało wroga.

- Ale go odparliście.

- Jasne, że tak. Cincem był wtedy Addison Doone. Utworzył Oddział kilka lat przedtem, ale nie mieliśmy fortu. Doone walczył razem z nami. Prawdę mówiąc, ocalił mi raz życie. Tak czy inaczej zbudowaliśmy ten fort, a raczej zrobili to technicy. Nie zapomnę, jak byłem wzruszony, gdy ze stojącego na murze działa oddano pierwszy strzał. Po tym było jeszcze wiele roboty, ale kiedy odpalono działą, wiedzieliśmy, że czegoś dokonaliśmy.

Scott kiwnął głową.

- Myślę, że odzywa się w tobie prawo własności do tego fortu.

Briggs wyglądał na zdziwionego.

- Do tego fortu? Nie w tym rzecz, kapitanie. Jest wiele fortów. Tu chodzi o coś więcej. Nie wiem dokładnie, o co. To widok floty... nabór rekrutów... stare, dobre toasty w kantynie... świadomość, że...
- Przerwał, zaplątawszy się we własne słowa.

Scott uśmiechnął się.

- Tak naprawdę to sam nie wiesz, co, Briggs?
- Czego nie wiem, kapitanie?
- Dlaczego tu zostałeś. Dlaczego nie możesz uwierzyć, że ja odchodzę.

Briggs wzruszył nieznacznie ramionami.

- No cóż, to sam Doone jest przyczyną - powiedział. - To wszystko, kapitanie. Po prostu Doone.

- A jakie, do cholery, będzie to miało znaczenie, gdy ten fort będzie miał kilkaset lat?

- Przypuszczam, że żadne, kapitanie. Ale nie nam o tym myśleć. Jesteśmy ludźmi Doone. To wszystko.

Scott nic nie odpowiedział. Łatwo mógł wykazać błędy w rozumowaniu Briggsa, ale co to miało za sens? Wstał, ordynans strzepnął niewidoczny pyłek z jego kurtki.

- Wszystko w porządku, kapitanie.
- Dobra, Briggs. No tak, a jednak czeka mnie jeszcze jedna awantura. Przywieźć ci z niej jakąś pamiątkę?

Ordynans zasalutował szczerząc zęby w uśmiechu. Scott wyszedł. Czuł się świetnie. W głębi ducha wyśmiewał ironicznie te fałszywe wartości, które powinien traktować poważnie. Oczywiście, podczas budowy fortu zginęło wielu ludzi. Lecz czy samo to mogło być źródłem tradycji? Jaki był pożytek z fortu? Za parę wieków straci znaczenie. Będzie reliktem przeszłości. Cywilizacja dąży naprzód, a nawet w chwili obecnej cywilizacja ledwie toleruje wojsko. A więc...

jakież to był pożytek? Sentyment, by istnieć, potrzebuje solidnych podstaw. Wolne Oddziały walczyły zacięcie, wytrwale, z bezrozumnym męstwem, walczyły o własną zagładę. Zniknęły odwieczne źródła wojny.

Jakiż więc był ten pożytek? Na całej Wenus gasły światła wielkich fortów. I nigdy się już nie rozpała ponownie - nie za życia tysiąca pokoleń!

V

Fort był całkowicie samowystarczalny bardziej pod względem militarnym niż socjalnym. Nie było potrzeby rozwijać rolnictwa, ponieważ nigdy nie dochodziło do całkowitego oblężenia. Żywność można więc było dostarczać z Twierdz drogą morską lub powietrzną.

Ale produkcja na cele wojskowe była niezbędna, więc w życiu fortu doniosłą rolę grali technicy - od fizyków doświadczalnych po spawaczy. Zawsze trzeba było robić jakieś naprawy, bo w bitwach ponoszono straty. A broń musiała być najbardziej nowoczesna, nieustannie dążąca do perfekcji. Strategia i uzbrojenie były równie ważne. Nieliczna flota mogła pobić znacznie silniejszą przy pomocy psychologii stosowanej.

W dokach Scott napotkał porucznika Bienne dozorującego wodowanie nowej łodzi podwodnej. Najwyraźniej nie przeszła mu złość, bo salutując obrócił do kapitana nachmurzoną, mroczną twarz.

- Witam, poruczniku - rzekł Scott. - Przeprowadzam inspekcję. Jest pan wolny?

Bienne przytaknął. - Nie mam wiele do roboty.

- Cóż... rutyna. Skończyliśmy tę łódź podwodną akurat na czas, co?

- Tak. - Bienne nie był w stanie ukryć swojej radości na widok wymuskanego, lśniącego okrętu ześlizgującego się w dół po szynach. Także Scott poczuł, jak zaczyna mu szybciej bić puls, gdy łódź zesłała na wodę z głośnym pluskiem, by po chwili kołysać się już statecznie i delikatnie na falach. Popatrzył tam, gdzie na kotwicy stało dwanaście szarozielonych potworów z platerowanego metalu - wielkie liniowce. Każdy z nich dźwigał wyposażenie dla szybowców, ale te składane samoloty były jeszcze poza zasięgiem wzroku. Małe niszczyciele stały między pancernikami jak wilki o zapadłych bokach. Zacumowano także dwa szybkie lotniskowce, wylądowane szybowcami i wodolotami. Stały torpedowce i jeden przysadzisty monitor, niezatapialny statek, potężnie uzbrojony, ale powolny. Tylko bezpośrednie trafienie mogło zniszczyć monitor. Jednakże i takie bestie mają swoje wady. Przeważnie gdy pojawiały się w zasięgu wzroku, było już po bitwie. Jak wszystkie monitory, ten - Armageddon - zbudowany był na podobieństwo żaby z wygiętym grzbietem, pokryty, poza furtami działowymi, tarczą w kształcie wazy na zupe, mocno przyśrubowaną od wewnątrz. Armageddon podzielony był na szereg wodoszczelnych przedziałów i miał liczne pomocnicze silniki, tak więc, inaczej niż w przypadku legendarnego Rovera, kiedy monitor ginął, nie ginął ze szczeniem. W sumie przypominał dinozaura. Można było odstrzelić takiemu potworowi głowę, ale ten dalej walczył pazurami i smagnięciami ogona. Ciężkie działa utrudniały temu monstrum poruszanie się, ale prawdziwy kłopot polegał na tym, jak włączyć monitor do bitwy. Był nieprawdopodobnie powolny.

Scott zmarszczył brwi.

- Pewnie mamy walczyć nad Głębiną Wenusjańską?

- Uhm - przytaknął Bienne. - Taka jest umowa. Morskie Diabły podążają już w kierunku Twierdzy Montana, a my zatrzymamy ich nad Głębiną.

- Kiedy nastąpi godzina zero?

- Dziś o północy.

Scott przytknął oczy, starając się wyobrazić sobie ich kurs na mapie. Niezbyt dobrze. Kiedy bitwa zawiązywała się koło archipelagu, czasami można było ukryć monitor za wysepkami, ale teraz taki podstęp był niemożliwy. Bardzo źle - bo Morskie Diabły stanowią silny oddział, a umocnili się jeszcze od czasu niedawnego połączenia z Legionem O'Briana. Nawet biorąc pod uwagę pomoc Gangu nie można było przewidzieć wyniku potyczki. *Armageddon* mógłby się okazać czynnikiem decydującym.

- Zastanawiam się... - rzekł Scott. - Nie. Ta chyba niemożliwe.

- Co?

- Zamaskowanie *Armageddona*. Jeśli Morskie Diabły zobaczą, że zbliża się monitor, odciągną od niego walkę szybciej niż ta balia nadąży. Myślałem o tym, by można go wprowadzić do bitwy tak, aby przeciwnik się nie połapał.

- Zamaskowany to on jest już teraz.

- Ale tylko farbą. Daje się go rozpoznać. Wpadłem na taki cholerny pomysł, żeby przebrać go za wyspę lub martwego wieloryba.

- Na wieloryba jest za duży, a pływające wyspy zawsze są nieco podejrzane.

- Tak. Ale gdybyśmy mogli włączyć do bitwy *Armageddona* bez zwrócenia uwagi przeciwnika... Hmm. Monitory mają tendencję do przewracania się do góry dnem, prawda?

- Aha. Są cięższe na górze. Ale nie mogą walczyć do góry dnem.

To nie jest specjalnie błyskotliwy pomysł, kapitanie. - Przez chwilę zapadnięte oczy Bienne'a rozbłysły ironicznym uśmiechem. Scott odchrząknął i odwrócił się.

- W porządku. Rozejrzyjmy się teraz dookoła

Flota była we wzorowym porządku. Scott poszedł do warsztatów. Dowiedział się, że pracowano nad kilkoma nowymi kadłubami, ale nie ma szans na oddanie ich przed godziną zero. Razem z Bienne'em udał się dalej do pomieszczeń laboratoryjnych. Nic nowego. Żadnych wpadek, żadnych niespodzianek. Machina wojenna działała gładko.

Zanim inspekcja dobiegła końca, Scott miał już nowy pomysł. Powiedział Bienne'owi, żeby dalej prowadził ją sam, i poszedł poszukać cinca Rhysa. Cinc był w swoim biurze. Właśnie wyłączał teleaudio, kiedy ukazał się Scott.

- To Mendez - wyjaśnił Rhys. - Gang spotka się z naszą flotą sto mil od brzegu. Oczywiście przejdą pod nasze rozkazy. Mendez to dobry facet, ale nie ufam mu całkowicie.

- Myśli pan, że prowadzi podwójną grę?

Cinc Rhys kilka razy chrząknął lekceważąco.

- „Bo Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny” *[William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, akt III, sc. 2, tłum. J. Paszkowskiego, PIW.]. Nie, będzie się trzymał układu. Ale nie grałbym z Mendezem w otwarte karty. Jako Wolny Żołnierz jest godny zaufania. Jako człowiek... Dobra, jak tam idzie?

- Świetnie. Mam pewien plan co do Armageddona.

- Zazdroszczę - przyznał szczerze Rhys. - Nie możemy wprowadzić tej balii do walki w żaden możliwy sposób. Jak Morskie

Diabły zobaczą, że się zbliża, przeniosą bitwę w inny rejon.

- Myślałem o kamuflażu.

- Monitor jest monitorem. Nie do pomylenia. Nie możesz sprawić, by wyglądał na coś innego.

- Z jednym wyjątkiem. Może wyglądać na monitor uszkodzony.

Rhys usiadł patrząc w zdumieniu na Scotta.

- Ciekawe. Mów dalej.

- Proszę spojrzeć. - Kapitan długopisem naszkicował sylwetkę monitora na jakiejś kartce. - Z wierzchu Armageddon przypomina kopułę. Pod spodem jest nieco inny, głównie z powodu kila. Dlaczego nie można by zamontować na monitorze fałszywej nadbudowy z kilem, żeby wyglądał na wywrócony do góry dnem?

- To jest możliwe.

- Każdy zna słaby punkt monitora - to, że pod obstrzałem przewraca się czasami do góry dnem. Jeśli Morskie Diabły ujrzą Armageddon wywrócony w oczywisty sposób i dryfujący w ich stronę, to z pewnością pomyślą, że okręt jest niezdolny do walki.

- To szaleństwo - orzekł Rhys. - Jeden z tych wariackich pomysłów, które mogą się udać albo nie. - Wydał poprzez teleaudio krótkie rozkazy. - Zrozumiano? Dobrze. Wyślijcie Armageddon w drogę, jak tylko załadują sprzęt. Zmiany przeprowadzi się na morzu. Nie możemy tracić czasu. Gdybyśmy robili to w doku, monitor nigdy nie dopędziłby floty.

Cinc wyłączył się. Jego chuda, pokieroszowana twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

- Mam nadzieję, że to zda egzamin. Zobaczymy. - Pstryknął palcami. - Omal nie zapomniałem. Siostrzeniec prezydenta, Kane, był z

tobą, kiedy nastąpiła kraksa, nieprawdaz? Zastanawiałem się, czy powinienem był go zwolnić z przeszkolenia. Jak sobie dawał radę w dżungli?

- Całkiem nieźle - odparł Scott. - Nie spuszczałem go z oka. Będzie dobrym żołnierzem.

Rhys popatrzył przenikliwie na kapitana.

- A jak z dyscypliną? Zdawało mi się, że to jego słaby punkt.

- Nie mogę narzekać.

- No tak. Cóż, możliwe. Banda Starlinga nie mogła być dobrą szkołą dla nikogo, a szczególnie dla nieopierzonego młokosa. A propos Starlinga. Czy cinc Mendez wie coś o używaniu przez niego broni atomowej?

- Nie. Jeśli Starling rzeczywiście to robi, to trzyma to w ścisłej tajemnicy.

- Zbadamy to po bitwie. Nie możemy sobie pozwolić na... nie chcemy następnej wojny atomowej. Wystarczająco dużo zła narobiła strata Ziemi. Zdziesiątkowała ludzkość. Jeśli się taka wojna powtórzy, to ludzkość zginie.

- Nie sądzę, żeby istniało aż takie zagrożenie. Na Ziemi stracono kontrolę nad wielkimi bazami atomowymi. A Starling w najgorszym wypadku może mieć tylko broń ręczną.

- To prawda. Nie można przy jej pomocy wysadzić świata. Ale nasze prawo... żadnej energii atomowej na Wenus.

Scott przytaknął.

- Dobrze, to wszystko. - Rhys skinieniem ręki odprawił Scotta. - Dobrej pogody.

Życzenie to, w tym wiecznie zachmurzonym świecie, miało iro-
niczny posmak.

Po obiedzie w mesie Scott wrócił do swojej kwatery, by zapalić i chwilkę odpocząć. Odrzucił podsuniętą przez Briggsa propozycję masażu i posłał ordynansa do kantyny po świeży tytoń.

- Upewnij się, czy dano ci „Dwadzieścia Gwiazd” - przestrzegł. - Nie chcę tej zielonej hydroponicznej kapusty.

- Znam markę, kapitanie. - Briggs, jakby nieco urażony, wyszedł. Scott z westchnieniem zasiadł w fotelu.

Godzina zero o dwunastej. Ostatnia godzina zero w jego życiu. Przez cały dzień miał świadomość tego, że po raz ostatni wypełnia swe obowiązki.

Powędrował myślą do Twierdzy Montana. Ponownie przeżywał chwile spędzone w innym świecie na spowitym chmurami Olimpie, razem z Ilene. Dziwne, ale nie mógł sobie przypomnieć wizerunku dziewczyny. Możliwe, że była symbolem - jej wygląd nie miał znaczenia. A jednak była cudowna.

W inny sposób niż Jeana. Scott spojrział na trójwymiarowe kolorowe zdjęcie Jeany stojące na biurku. Po naciśnięciu guziczka na ramce włączał się ruch i dźwięk. Pochylił się do przodu i dotknął małego przycisku. Sylwetka Jeany w głębi fotografii poruszyła się z uśmiechem. Rozchyliły się czerwone usta.

Jej głos, choć cichy, był całkiem naturalny.

- Hej, Brian - rozbrzmiało nagranie. - Chciałabym być teraz z tobą. Oto prezent, kochanie. - Podobizna przesłała mu pocałunek, a potem znów zastygła w bezruchu.

Scott jeszcze raz westchnął. Z Jeaną było mu całkiem dobrze. Ale... Do cholery! Nie chciała się zmienić. A prawie na pewno nie mogłaby tego zrobić. Prawdopodobnie Ilene była równie dogmatyczna,

ale reprezentowała sobą życie w Twierdzy. A tego właśnie Scott potrzebował.

Życie Ilene było sztuczne, ale przyznawała się do tego uczciwie. Wiedziała, że jego wartości są fałszywe. A przynajmniej nie udawała, tak jak Wolni Żołnierze, że istnieją jakieś ideały, za które warto umierać. Scottowi przyszedł na myśl Briggs. Dla starego ordynansa wielkie znaczenie miał fakt, że podczas budowy fortu Doone zginęło wielu ludzi. Ale nigdy nie zadał sobie pytania dlaczego. Dlaczego umierali? Jaki przede wszystkim przyświecał cel budowie fortu Doone? Wojna. A wojny miały przestać istnieć.

Każdy powinien wierzyć w jakieś ideały, zanim poświęci za nie życie. Człowiek powinien czuć, że pomaga przetrwać tym ideałom - podlewając roślinę własną krwią, tak by wreszcie rozkwitł kwiat. Czerwony kwiat Marsa kwitł długo. Jak to szło w starym wierszu?

Jedna rzecz jest pewna, a reszta to złuda,
kwitnący kwiat ma umrzeć niedługo.

To prawda. Ale Wolne Oddziały udawały, że kwiat ciągle kwitnie płomiennie, czerwono. Nie chciały przyznać, iż nawet jego korzenie były uschnięte i bezużyteczne, ledwie zdolne do wysysania krwi, która poświęcona była na zaspokojenie ich beznadziejnego pragnienia.

Zakwitną nowe kwiaty, otworzą się nowe pąki. Tylko że w Twierdzach, nie zaś w wielkich, potępionych fortach. Była zima i zniknęły już kwiaty ostatniej pory roku, ale pąki następnej ruszają ku życiu. Życiu pełnemu poszukiwań i nietolerancji. Życiu karmiącemu się gnijącymi płatkami róży wojny.

W nadbrzeżnych fortach strzegących Twierdz nadal jednak zachowywano pozory. Scott skrzywił się z obrzydzeniem. Ślepe, bezrozumne szaleństwo. On przede wszystkim był człowiekiem, nie żołnierzem. A człowiek z natury jest hedonistą, bez względu na to, czy identyfikuje się z ludzkością, czy nie.

Scott daleki był od takiej identyfikacji. Nie czuł się związany z podmorską kulturą i nigdy nie mogło być inaczej. Ale mógłby zapamiętać się w tym hedonistycznym wirze Twierdz, w szumowinach, które wypływają na wierzch każdego społeczeństwa. Będąc z Ilene mógł przynajmniej szukać szczęścia unikając owej gorzkiej samoironii, z którą tak długo już żył. Wyśmiewania się ze swych emocjonalnych słabostek, w które nie wierzył.

Ilene była uczciwa. Wiedziała, że jest potępiona, ponieważ na swoje nieszczęście była inteligentna.

Dlatego też, pomyślał Scott, moglibyśmy stworzyć dobraną parę.

Scott podniósł wzrok na wchodzącego do pokoju porucznika Bienne'a. Zgorzkniała, mahoniowa twarz Bienne'a nabiegła pod opalenizną głęboką czerwienią. Ciężkie powieki przysłaniały pełne złości oczy. Zatrzasnął drzwi za sobą i stał chwiejąc się na piętach. Popatrywał groźnie na Scotta.

Rzucił w jego stronę jakieś przekleństwo.

Kapitan wstał, zimny sopel wściekłości zastygł mu w żołądku.

- Jesteś pijany, Bienne - powiedział bardzo cicho. - Wynoś się. Wracaj do swojej kwatery.

- A pewnie, ty mały ołowiany żołnierzyku. Lubisz rozkazywać, co? I lubisz też wyślizgiwać. Tak jak dzisiaj wyślizgałeś mnie z dowództwa lewego skrzydła. Rzygać mi się chce na twój widok, kapi-tanie Brianie Scotcie.

- Nie rób z siebie takiego cholernego idioty! Osobiście lubię cię tak samo jak ty mnie, ale to nie ma żadnego związku z Oddziałem. Polecałem cię na to stanowisko dowodzenia.

- Kłamiesz - stwierdził Bienne zataczając się. - Nienawidzę cię.

Scott zbladł, za to blizna na jego policzku zapłonęła czerwienią. Bienne podszedł bliżej. Nie był na tyle pijany, by nie panować nad swoimi ruchami. Z rozmachem walnął nagle Scotta prosto w zęby.

Ruchy kapitana były spokojniejsze. Uchylił się przed następnym ciosem i celnie wymierzył tamtemu silne uderzenie w szczękę. Bienne'a odrzuciło w tył - uderzył o ścianę i osunął się bezwładnie z głową zwieszoną do przodu.

Scott, rozcierając dłoń, patrzył w dół, jakby coś rozważał. Potem ukląkł i obejrzał dokładnie tamtego. Nokaut, to wszystko.

Cholera jasna.

Pojawił się Briggs, który nie okazał zdziwienia na widok nieruchomego ciała Bienne'a. Doskonały ordynans podszedł do stołu i począł napełniać pudełko przyniesionym tytoniem.

Scott prawie że się zakrztusił ze śmiechu.

- Briggs!

- Słucham, kapitanie?

- Porucznik Bienne miał drobny wypadek. Pośliznął się i uderzył o coś szczęką. Jest też trochę wstawiony. Zajmij się nim, dobrze?

- Z przyjemnością, kapitanie. - Briggs przerzucił ciało Bienne'a przez swoje muskularne ramię.

- Godzina zero o dwunastą. O tej porze porucznik musi być na pokładzie *Skalkówki*. Trzeźwy. Da się zrobić?

- Oczywiście, kapitanie - odpowiedział Briggs i wyszedł.

Scott ponownie usiadł w swoim fotelu i nabił fajkę. Z pewnością powinien zamknąć Bienne'a w jego kwaterze. Ale... przecież to były porachunki osobiste. Można się zdobyć na drobne ustępstwo, tym bardziej że Bienne jest na tyle cennym człowiekiem, że musi przebywać na pokładzie podczas akcji. Scott miał niejasną nadzieję, że porucznik da sobie odstrzelić swoją zakutą pałę.

Po pewnym czasie wystukał popiół z fajki i wyszedł na końcową inspekcję.

O północy flota podniosła kotwicę.

O świcie ludzie Doone'a zbliżali się do Głębiny Wenusjańskiej.

Dolączyły już do nich okręty Gangu: siedem pancerników, wspomagające je krążowniki, niszczyciele i jeden transportowiec. Nie było monitora, bo Gang go nie miał. Dwa miesiące temu wywrócił się do góry dnem i dotąd był w remoncie.

Połączona flota płynęła półkolem. Lewe skrzydło, dowodzone przez Scotta, składało się z jego okrętu - *Skalkówki* oraz *Arkebusa*, *Strzały*, *Mizerykordii* i wszystkich okrętów liniowych Doone. Towarzyszyły im dwa okręty Gangu, *Navaho* i *Zuni*, ten ostatni dowodzony był przez cinca Mendeza. Scott miał jeden krążownik, drugi znajdował się na prawym skrzydle. Między nimi płynęły lżejsze okręty. - W środku znajdowały się pancerniki: *Kusza*, *Lanca*, *Automat* i *Maczuga*, a także trzy jednostki Mendeza. Cinc Rhys płynął na *Lancy*, dowodząc całością operacji. Zamaskowany monitor Armageddon sapał dzielnie daleko z tyłu, prawie niewidoczny we mgłę.

Scott siedział w kabinie dowodzenia, otaczały go ekrany teleaudio i tablice rozdzielcze. Sześciu operatorów trwało nieprzerwanie przy

kontrolkach. Gotowi byli włączyć się natychmiast do akcji, gdyby przez słuchawki, które mieli na uszach, padł taki rozkaz. Dlatego też Scott miał przypięty do piersi mały mikrofonik.

Jego oczy prześliznęły się po ustawionych półkolistych ekranach.

- Były już jakieś raporty z szybowców?
- Nie, kapitanie.
- Połączcie mnie z dowództwem zwiadu powietrznego.

Jeden z ekranów zamigotał i ożywił się, pojawiła się na nim twarz.

- Melduj.
- Na razie nic, kapitanie. Chwileczkę. - Rozległ się daleki grzmot. - Detektory natrafiły na tajne fale teleaudialne dokładnie nad nami.

- Szybowiec nieprzyjaciela w chmurach?
- Najwidoczniej. Teraz znikł bez śladu.
- Postarajcie się go znów zlokalizować.

Nie na wiele by się to zdało. Samoloty silnikowe można było wykryć w górze bez trudu, ale z szybowcami to inna sprawa. Jedynym sposobem namierzenia ich było nakierowanie kamery detektora dokładnie na falę teleaudialną szybowca - zadanie trudniejsze niż znalezienie igły w stogu siana. Szczęśliwie te samoloty nie były wyposażone w bomby.

- Wpłynął meldunek, kapitanie. Od jednego z naszych szybowców.

Na jednym z ekranów pojawiła się twarz.

- Tu pilot. Zlokalizowałem nieprzyjaciela.
- Dobrze. Włącz teleaudio na podczerwień. Który sektor?
- GW, osiemset siedem, północny zachód, dwadzieścia jeden.

Scott nachylił się nad swoim mikrofonem.

- Połączcie mnie z cincem Rhysem i porucznikiem Geerem na tajnej fali. I z cincem Mendezem.

Jeszcze trzy ekrany rozjaśniły się, ukazując twarze trzech oficerów.

- Podłączcie pilota.

Gdzieś ponad Głębiną Wenusjańską pilot prowadził swój szybowiec łukiem poprzez chmury. Automatyczna kamera teleaudiałna, nastawiona na podczerwień, przeniknęła mrok i ukazała rozpościerający się w dole ocean. Na ekranie pojawiły się okręty płynące w szyku bojowym.

Scott w myślach rozpoznał je i nazwał. *Orion, Syriusz, Vega, Polaris* - ho, ho. Lżejsze okręty. Dużo ich. Liczył dalej.

- Mają olbrzymią przewagę liczebną - stwierdził cinc Rhys. - Cinc Mendez, czy wasze podwodne detektory już pracują?

- Pracują. Na razie nic.

- Wchodzimy do bitwy za pół godziny, jak sądzę. Myśmy ich zlokalizowali i nie ma wątpliwości, że oni zrobili to samo.

- Przyjąłem.

Pociemniały ekrany. Scott znów usiadł, czujny, lecz rozprężony. Teraz pozostaje tylko czekać, będąc gotowym na wszelkie niespodzianki. *Orion i Vega* były największymi okrętami bojowymi Morskich Diabłów, większymi od każdego z okrętów Doone czy Gangu. Na pokładzie Oriona znajdował się niewątpliwie cinc Flynn. Morskie Diabły posiadały także monitor, ale nie ukazał się na ekranie na podczerwień. Prawdopodobnie ten potwór nie zdąży na czas, by wziąć udział w bitwie.

Ale nawet bez monitora Morskie Diabły miały przygniatającą przewagę na powierzchni. Co więcej, ich podwodna flota była także bardzo ważnym czynnikiem. Podwodne detektory cinka Mendez'a mogły - i prawdopodobnie to zrobią - wyrównać tę przewagę. Tylko że wygląda na to, że to jeszcze za mało.

Scott pomyślał, że Armageddon może stanowić punkt zwrotny, argument ostateczny. Ale jak dotąd zamaskowany monitor włókł się daleko w tyle za ostatnim z okrętów Doone.

Na ekranie pojawił się porucznik Bienne. Przeobraził się teraz w zdyscyplinowanego, wyszkolonego robota, na ten czas znikły osobiste urazy. To akcja bojowa tak wpływa na człowieka.

Scott jednak nie spodziewał się niczego innego, a jego głos, gdy odpowiadał na wezwanie Bienne'a, był całkowicie beznamiętny.

- Wodoloty gotowe do startu, kapitanie.
- Wyślij je za piętnaście minut. Przekaż to na lewe skrzydło wszystkim okrętom wiozącym wodoloty.
- Przyjąłem.

Przez chwilę panowała cisza. Grzmiąca eksplozja obudziła w Scotcie natychmiastową czujność. Przebiegł wzrokiem ekrany.

Ukazała się nowa twarz.

- Morskie Diabły odkryły się. Badają teren. Muszą mieć nad sobą szybowce. Nie możemy ich namierzyć.

- Poślij ludzi pod pancierz. Oddaj próbny strzał. Przygotuj się do odparcia ognia. Porozum się z naszymi pilotami, którzy są nad Morskimi Diablami.

Zaczyna się - ustawiczny, niszczący grzmot, który będzie trwał aż do odpalenia ostatniego pocisku. Kiedy przyszedł sygnał od cinka Rhysa, Scott połączył się z nim.

- Melduję się.
- Nękał nieprzyjaciela. Nie możemy jeszcze zbyt wiele działać.

Zmień formację na R-8.

Odezwał się cinc Mendez.

- Namierzaliśmy trzy nieprzyjacielskie okręty podwodne. Nasze detektory mają najwyższy stopień pochylenia.

- Zmniejsz zasięg rażenia tak, by nie objął naszych okrętów podwodnych.

- Już to zrobiłem. Nieprzyjaciel używa magnetycznych min głębinowych, stawiając zapórę w miarę zbliżania się.

- Porozmawiam z dowództwem okrętów podwodnych. - Rhys rozłączył się. Scott wsłuchiwał się w rosnące natężenie wybuchów. Do jego uszu nie doszedł jeszcze charakterystyczny dźwięk uderzeń promieni cieplnych - klap, klap - ale ich pozycje nie zbliżyły wystarczająco blisko tej niepewnej, choć silnej broni. Wiązki promieni muszą się przez pewien czas rozgrzewać i w tym czasie dobrze wycelowany pocisk może zniszczyć soczewki miotacza.

- Są straty, kapitanie. Celne uderzenie w burtę niszczyciela *Bagnet*.

- Rozmiary zniszczenia?

- Może płynąć dalej. Dokładny meldunek później.

Po chwili na ekranie pojawił się pilot szybowca.

- Pocisk trafił w *Polaris*, kapitanie.

- Włącz namiernik.

Ukazał się bojowy okręt Morskich Diabłów ze zniszczoną częściowo nadbudówką, ale najwyraźniej zdolny jeszcze do walki. Scott pokiwał głową. Obie strony włączyły się już do bitwy. Choć mgliste chmury wciąż jeszcze skrywały jedną flotę przed oczami drugiej, to jednak obie zbliżały się do siebie.

Wzmógł się odgłos kanonady. Problemy z trajektorią wzrosły z powodu silnych wenusjańskich wiatrów, jednakże celne strzały były możliwe. Scott z ponurą miną pokiwał głową, kiedy uderzenia wstrząsnęły *Skalkówką*.

Dostaną teraz za swoje. Tutaj, w mózgu okrętu, był tak blisko bitwy, jak żaden żołnierz walczącej floty. Jego oczami były ekrany.

Miały tę zaletę, że mogły się posługiwać podczerwienią, więc Scott, zamknięty w środku, był w stanie zobaczyć więcej niż na pokładzie gołym okiem. Coś wyłoniło się z mroku i Scott wstrzymał oddech, nim rozpoznał zarys okrętu bojowego Doone - *Mizerykordii*. Okręt zszedł z kursu. Kapitan przez mały mikrofon udzielił szybkiej reprimendy.

Teraz ruszyły wodoloty, szybkie szerszenie, które godziły we flotę wroga. Scott przypomniał sobie, iż w jednym z nich znajduje się Norman Kane. Pomyślał o Ilene Kane, ale prędko odsunął od siebie to wspomnienie. Nie było na to teraz czasu.

Stanowiska bojowe nie pozwalały na bzdurne rozmyślenia.

Na ekranach pojawiły się dalekie czujki Morskich Diabłów. Odezwwał się cinc Mendez:

- Jeszcze jedenaście okrętów podwodnych. Jeden się przedarł. Wygląda na to, że jest w pobliżu *Skalkówki*. Zrzucić bomby głębinowe.

Scott skinął głową i usłuchał go. Gwałtowny wstrząs rzucił okrętem. Nadszedł meldunek: wyciek paliwa z prawej burty.

No tak. Kilka celnie wymierzonych torped może narobić wiele szkody.

Skalkówką płynęła nieustannie ostrzeliwana z ciężkich dział. Miotacze promieni przeszywały ją na wylot. Dużym okrętom niełatwo jest uniknąć tych palących strumieni, które mogą stopić

solidny metal, ale wodoloty, tańczące wkoło jak wściekłe osy, wysyłały grad pocisków w miotacze. Nawet taki atak wymagał współdziałania. Promienie były niewidoczne, mogły być namierzone jedynie wtedy, gdy było się ich celem. Załogi kamer pracowały bez przerwy, filmując salwy z nieprzyjacielskich okrętów, śledząc źródło ich promieni i przekazując teleaudialnie informacje załogom wodolotów.

- *Rigel* Morskich Diabłów wyłączony z akcji.

Na ekranie wielki niszczyciel obrócił się wokół własnej osi, kierując dziób do przodu. Miał zamiar taranować. Scott błyskawicznie wydał rozkazy. *Skalkówka* uderzyła bezlitośnie, działa zadawały śmierć skazanemu za zagładę *Rigelowi*.

Statek przepłynął tak blisko, że załoga *Skalkówki* mogła dostrzec, jak niszczyciel płynie kołyszając się we mgle. Scott sprawdził jego kurs i rozpaczliwie starał się złapać Mendeza. Następowwała zwłoka.

- QM, QM, pilne! Dajcie *Zuni*!

- Odpowiada, kapitanie.

- Zmieńcie kurs! QM. Niszczyciel *Rigel* płynie na was - wyrzucił z siebie Scott.

- Przyjąłem. - Ekran pociemniał. Scott włączył namiernik. Aż jęknął na widok tego, co zobaczył. *Zuni* płynął szybko, ale *Rigel* był zbyt blisko, cholernie za blisko.

Taranował.

- Szlag by trafił - powiedział Scott. Wyłączyli *Zuni* z walki. Zameldował o tym cincowi Rhysowi.

- W porządku, kapitanie. Kontynuuj formowanie R-8.

Na ekranie pojawił się Mendez.

- Kapitanie Scott. Jesteśmy unieruchomieni. Idę na pokład. Muszę kierować podwodnym ostrzałem. Czy możecie mi zaoferować stanowisko dowodzenia?

- Jasne, cinc. Lądujcie w porcie sektora 7.

Spowite mgłą floty płynęły kursem równoległym, wielkie okręty liniowe trzymały się w stałym szyku wysyłając promienie i pociski w lukę między sobą. Lżejsze okręty co pewien czas opuszczały linię, natomiast wodoloty roily się jak komary, prowadząc walkę zaczepną, kiedy nie nękały większego obiektu. Szybowce, przy tak małej odległości, były bezużyteczne.

Grzmoty trzaskały i dudniły. Wstrząsy kołysały *Skalkówką*.

- Trafiony *Orion* Morskich Diabłów. Trafiony *Syriusz*.
- Trafiony okręt *Gangu*, *Apacz*.
- Zniszczone cztery kolejne nieprzyjacielskie okręty podwodne.
- Okręt podwodny *Doone X-16* nie odpowiada.
- *Polaris* Morskich Diabłów prawdopodobnie unieruchomiony.
- Wyślij pomocnicze wodoloty, jednostki dziewięć i dwadzieścia.

Wszedł cinc Mendez oddychając ciężko. Scott gestem skierował go na pomocnicze stanowisko dowodzenia.

- Trafiona *Lanca*. Czekać chwilę. Cinc Rhys jest ofiarą, kapitanie.

Scott zmartwiał.

- Szczegóły.
 - Chwileczkę... Nie żyje, kapitanie.
 - No tak - powiedział Scott po chwili. - Obejmuję dowodzenie.
- Przekaż to dalej.

Pochwyił spojrzenie, jakie mu rzucił z ukosa Mendez. Kiedy ginał cinc Oddziału, zdarzała się jedna z dwóch rzeczy - wybór nowego cinca albo połączenie się z innym Oddziałem. W tym wypadku od Scotta wymagano, by ze względu na rangę objął czasowo dowództwo nad flotą. Później, w forcie Doone, nastąpi zgromadzenie i

zapadną ostateczne decyzje.

Ale teraz Scott pomyślał o tym za ledwie przelotnie. Rhys nie żyje! Twardy, nie poddający się emocjom Rhys zabity w walce. Rhys miał gdzieś w Twierdzy wolną żonę, przypomniał sobie Scott. Oddział będzie wypłacał jej rentę. Scott nigdy nie widział tej kobiety... Dziwne, ale zastanowił się, jaka ona jest. Przedtem takie pytanie nie przyszło mu wcale do głowy.

Ekrany migotały. Teraz jego obowiązki podwoiły, nie, potroiły się. Kierując bitwą Scott zapomniał o wszystkim innym.

Był to jakby pierwszy stopień amnezji - trudno było Ocenic wpływ czasu. Bitwa mogła trwać od godziny - albo od sześciu. Albo mniej niż godzinę, jeśli o to chodzi.

- Niszczyciel unieruchomiony. Krążownik też. Trzy nieprzyjacielskie okręty podwodne wyłączone z walki.

I tak dalej. Bez końca. Na stanowisku pomocniczym Mendez kierował akcją pod powierzchnią morza. Gdzie, u diabła, jest Armageddon, myślał Scott. Walka może się skończyć, nim ten przerośnięty żółw się pojawi.

Nagle ekran zamigotał QM. Ukazała się szczupła twarz o złamanym nosie należąca do cinca Flynnna, dowódcy Morskich Diabłów.

- Wzywam dowództwo Doone.

- Przyjmuję. Kapitan Scott, dowódca. – Dlaczego Flynn się odezwał? Nieprzyjacielskie floty nigdy nie kontaktowały się między sobą podczas walki. Chyba że chodziło o kapitulację.

- Używacie broni atomowej. Proszę o wyjaśnienia - oznajmił Flynn lakonicznie.

Mendez drgnął. Scott poczuł, jak coś zaciska mu się wokół żołądka.

- Stało się to oczywiście bez mojej wiedzy i zgody, cinc Flynn. Przykro mi. Szczegóły?

- Jeden z waszych wodolotów wypalił z pistoletu atomowego w Oriona.

- Jakie straty?

- Uszkodzone działo o siedmiu lufach.

- Jedno z naszych dział tego samego kalibru zostanie natychmiast wyłączone z walki. Dalsze szczegóły, cinc?

- Użyjcie swego wykrywacza w sektorze Mobile 18 na południe od Oriona. Wasze przeprosiny przyjęto. Wymażemy ten incydent z naszych zapisów.

Flynn rozłączył się. Scott złapał na wykrywaczu obraz wodolotu Doone. Powiększył go.

Ujrzał, jak mała łódź ucieka przed ogniem nieprzyjacielskim, pędząc z powrotem w kierunku floty Doone, wprost na *Skalkówkę*. Poprzez przezroczystą kopułę Scott dostrzegł, że bombardier, któremu odstrzelono pół głowy, osunął się bezwładnie. Pilotem, wciąż zaciskającym w rękę spust pistoletu atomowego, był Norman Kane. Krew płynęła strugami po jego napiętej, chłopięcej twarzy.

A więc banda Starlinga na pewno używała broni atomowej. Kane, kiedy ją opuszczał, musiał przemyć pistolet. I teraz, w podnieceniu bitewnym, użył go przeciwko nieprzyjacielowi.

- Załoga działa na sterburcie. Wodolot Z-19-4. Zniszczyć go - powiedział Scott zimno.

Pocisk prawie natychmiast wybuchł koło małej jednostki. Na ekranie Kane popatrzył do góry, osłupiały, że jego własna strona strzela do niego. Na twarzy ukazał się wyraz zrozumienia. Skręcił wodolotem z kursu, płynął zygzakiem, desperacko starając się umknąć przed gradem pocisków.

Scott przyglądał się temu z zaciśniętymi ustami. Wodolot eksplodował deszczem wody i odłamków.

Automatyczny sąd wojenny.

Po bitwie Oddziały zjednoczą się, by zmiażdżyć bandę Starlinga.

Ale teraz trwała walka. Scott wrócił do swoich ekranów, wymazując z pamięci ten incydent.

Stopniowo szala zwycięstwa coraz bardziej przeważała na korzyść Morskich Diabłów. Obie strony traciły okręty, wycofywane raczej z bitwy niż zatapiane. Scott coraz częściej myślał o monitorze *Armageddon*. Mógłby zmienić losy bitwy. Ale wciąż jeszcze był daleko z tyłu.

Scott nie poczuł wybuchu, który zniszczył kabinę dowodzenia. Bez najmniejszego ostrzeżenia stracił przytomność.

Prawdopodobnie stan zamroczenia nie trwał długo. Kiedy otworzył oczy, ujrzał jatkę. Wydawało mu się, że tylko on ocalał. Ale nie mogło to być bezpośrednio trafienie, bo inaczej i on by nie przeżył.

Leżał na plecach, przygnieciony ciężką belką. Kości jednak miał całe. Pomogło mu niesamowite, ślepe szczęście. Główną siłą uderzenia przyjęli na siebie operatorzy. Scott od razu spostrzegł, że nie żyją.

Starał się wyczołgać spod belki, ale było to niemożliwe. W huku bitewnym jego głos zginął zupełnie.

W połowie drogi do drzwi coś się poruszyło. Cinc Mendez podniósł się z trudem i mrugając powiekami rozejrzał się wokół. Krew spływała po jego tłustych policzkach.

Dostrzegł Scotta i stał kiwając się w przód i w tył. Wlepił w niego wzrok.

Potem położył dłoń na kolbie swego pistoletu.

Scott z łatwością czytał w myślach tamtego. Jeśli teraz zginąłby kapitan Oddziału Doone, istniała szansa, że Mendez połączy się z

Doone i obejmie dowództwo. Tego wymagała polityczno-militarna równowaga.

Jeśli Scott przeżyje, prawdopodobnie będzie wybrany cincem.

Zabicie więc tego uwięzionego człowieka przyniosłoby Mendezowi niewątpliwe korzyści.

Jakiś cień przesunął się przez drzwi. Mendez, zwrócony tyłem do przybysza, nie zauważył, że porucznik Bienne zatrzymał się w progu patrząc groźnie na tę scenę. Scott wiedział, że Bienne równie dobrze jak on sam zorientował się w sytuacji. Porucznik zdawał sobie sprawę, że za chwilę Mendez wyciągnie broń i wystrzeli.

Scott czekał. Palce cinca zacisnęły się na kolbie broni.

Bienne, uśmiechając się krzywo, rzekł:

- Myślałem, że ten pocisk was wykończył, kapitanie. I proszę, jednak trudno jest zabić żołnierza Doone.

Mendez zdjął rękę z broni i natychmiast odzyskał równowagę. Odwrócił się do Bienne'a.

- Cieszę się, że pana tu widzę, poruczniku. Może razem uda się nam podnieść tę belkę.

- Spróbujemy?

Zdołali obaj podnieść ciężar z piersi Scotta. Wzrok tego ostatniego na moment spotkał się ze wzrokiem Bienne'a. W dalszym ciągu w oczach porucznika nie było nic przyjaznego, ale malowała się w nich zdecydowana autoironia.

Dokładnie rzecz biorąc, Bienne nie ocalił życia Scottowi. Była to raczej sprawa przynależności do Doone. Bienne bowiem przede wszystkim był żołnierzem i należał do Wolnego Oddziału.

Scott obmacał swe kończyny. Były całe.

- Jak długo byłem nieprzytomny, poruczniku?
- Dziesięć minut. Armageddon pojawił się w zasięgu wzroku.
- W porządku. Czy Morskie Diabły zmieniają kurs?

Bienne potrząsnął głową.

- Jak dotąd nic nie podejrzewają.

Scott odchrząknął i skierował się w stronę drzwi, pozostali podążyli za nim.

- Musimy mieć inny okręt dowodzenia - stwierdził Mendez.
- Dobrze. *Arkebusa*. Poruczniku, przejmijcie tutaj dowodzenie.

Cinc Mendez...

Wodolot przewiózł ich na *Arkebusa*, który wciąż zdalny był do walki. Scott ujrzał, jak monitor Armageddon toczy się bezradnie przez fale. Zgodnie z planem bitwy statki Doone naprowadzały Morskie Diabły na tego w oczywisty sposób obehwładnionego giganta. Technicy wykonali dobrą robotę, fałszywy kil wyglądał absolutnie przekonująco.

Na pokładzie *Arkebusa* Scott objął dowództwo, zostawiając Mendezowi pomocniczą kontrolkę dla jego podwodnych bomb. Cinc pochylił się nad ramieniem Scotta.

- Poczekajmy, aż odezwie się ten monitor, kapitanie.
- Tak... źle nam przecież idzie.

Żaden z nich nie wspomniał ani słowem o incydencie, o którym obaj myśleli. Został taktycznie zapomniany - jedyną rzeczą, jaką mogli teraz zrobić.

Wciąż grzmiały działa. Morskie Diabły zalewały ogniem formację Doone i zwyciężały. Scott, skrzywiony, popatrzył na ekrany. Jeśli będzie zwlekał zbyt długo, może być całkiem źle.

Nastawił teraz obraz na Armageddon. Znajdował się on na doskonałej pozycji, w środku między dwoma największymi okrętami Morskich Diabłów.

- Zdjąć maskowanie. Otworzyć ogień.

Na monitorze odsłoniły się furty działowe. Wielkie armaty morskigo tytana wysunęły się na zewnątrz. Strzeliły prawie jednocześnie, grzmot zagłuszył hałas lżejszych dział.

- Wszystkie okręty Doone do ataku - zakomenderował Scott. - Plan R-7.

To było to. To nareszcie było to.

Ludzie Doone rozpoczęli wyścig ku zabijaniu. Strzelając, uderzając, hucząc, działa starały się zagłuszyć ryk monitora. Nie udało im się, ale dzika, bezprzykładna rzeź zdecydowała o wygraniu bitwy.

Wmanewrowanie monitora w walkę było prawie niemożliwe, ale jeśli to się już udało, to powstrzymać tego potwora mogła wyłącznie energia atomowa.

Morskie Diabły jednak walczyły, próbując taktycznego przegrupowania. Nie mogło się im powieść. Wielkie okręty liniowe nie były w stanie wyjść z zasięgu dział Armageddona. A to znaczyło...

Na ekranie pojawiła się twarz cince Flynna.

- Kapitulujemy, kapitanie. Przerwijcie ogień.

Scott wydał rozkazy. Ryk dział zamarł w brzęczącą, niewiarygodną ciszę.

- Stoczyliście z nami wielką bitwę, cinc.

- Dziękuję. Wy też. Wasz podstęp z monitorem był doskonały.

A więc - skończyło się, Scott poczuł, jak coś w nim pęka. Zwyczajowe słowa Flynna były bez znaczenia. Scotta opuściło ożywcze podniecenie, które trzymało go do tej pory.

Reszta była czystą formułą.

Symboliczne bomby głębinowe zostaną zrzucone na Twierdzę Wirginia. Nie uczynią żadnej szkody Kopule, ale taki czyn należy do reguły gry. Twierdza, popierająca przegraną stronę, zapłaci okup, jak jest to w zwyczaju. Będzie to pewna ilość korium albo jego ekwiwalent - do uzgodnienia. Wypełni się skarbiec Doone. Pewna część pieniędzy pójdzie na remonty i nowe okręty. Życie fortów potoczy się dalej.

Samotny na pokładzie *Arkebusa* zmierzającego ku Twierdzy Wirginia, Scott przyglądał się, jak mrok zmienia chmury z perłowych w szare, a potem czyni je niewidocznymi. Był sam na sam z nocą. Dobiegał go cichy plusk fal, gdy *Arkebus* dążył ku swemu przeznaczeniu oddalonemu o trzysta mil.

Ze znajdujących się za nim iluminatorów płynęło ciepłe, żółte światło, ale się nie obrócił. Pomyślał, że przypomina to spowity chmurami Olimp w Twierdzy Montana, gdzie przyrzekał Ilene... wiele rzeczy.

A jednak była różnica. Na Olimpie człowiek był jak bóg, odcięty całkowicie od żyjącego świata. Tutaj, w tej nieprzeniknionej ciemności, nie było poczucia wyobcowania. Nie było nic widać - Wenus nie miała księżycy, chmury skryły gwiazdy, a morze nie fosforyzowało.

Pod tymi wodami stoją Twierdze, pomyślał Scott. Do nich należą przyszłość. Takie bitwy, jak ta stoczona dzisiaj, były po to, by Twierdze pozostały nienaruszone.

Ludzie poświęcają się. Ludzie zawsze będą się poświęcać dla społeczeństwa albo dla armii. Człowiek musi stwarzać sobie własne ideały. „Jeśli nie byłoby Boga, człowiek by Go stworzył”.

Bienne poświęcił się dzisiaj w dziwaczny, pokrętny sposób swej lojalności dla fetyszów. A przecież Scott wiedział, że Bienne wciąż go nienawidzi.

Doone nic nie znaczyło. Ich ideały były fałszywe. A jednak dlatego, że ludzie byli im wierni, cywilizacja może ponownie wyrosnąć ze strzeżonych Twierdz. Cywilizacja, która zapomni swych skazanych na zagładę strażników, żołnierzy mórz Wenus, Wolne Oddziały wykrzykujące swoje szalone, daremne okrzyki bojowe, które prowadzą - tak jak płynie ten okręt - ku nocy bez świtu.

Ilene.

Jeana.

Nie był to wcale prosty wybór. Naprawdę, to nie było żadnego realnego wyboru. Scott bowiem doskonale wiedział, że nigdy, do końca życia, nie uwierzy całym sercem w Wolne Oddziały. Zawsze gdzieś głęboko w nim samym będzie szydził gorzko sardoniczny diabeł.

Wzmógł się plusk fal.

Nie było to rozsądne. A jego rozumowanie sentymentalne, szalone, głupie, cikliwe.

Ale teraz Scott wiedział, że nie ma zamiaru wrócić do Ilene.

Był głupcem.

Ale był żołnierzem.

przełożyła Anna Wiśniewska -Walczyk

UPIÓR

Prezes Integracji omal nie spadł z krzesła. Jego czerstwe policzki zszarzały, szczeka mu opadła, a surowe niebieskie oczy za szklami kontaktowymi straciły zwykły wyraz ostrej przenikliwości i stały się po prostu ogłupiałe. Ben Halliday z wolna okręcił się na fotelu i zapatrzył na nowojorskie drapacze chmur, jakby chciał się upewnić, że żyje w Dwudziestym Pierwszym Wieku, w złotym wieku nauki.

Żadna czarownica na miotle nie przelatywała za oknem.

Nieznacznie tylko tym pokrzepiony Halliday odwrócił się ku sztywnemu, szpakowatemu osobnikowi o wąskich wargach, który siedział po drugiej stronie biurka. Doktor Elton Ford nie wyglądał na Cagliostro. Wyglądał na tego, kim był; na jednego z największych żyjących psychologów.

- Co pan powiedział? - zapytał Halliday niepewnie.

Ford z pedantyczną dokładnością zetknął ze sobą czubki palców i skłonił głowę. - Słyszał pan przecież. Przyczyną są upiory. Pańska Antarktyczna Stacja Integracyjna jest nawiedzona przez upiora.

- Pan żartuje. - W głosie Hollidaya brzmiała nadzieja.

- Przedstawiam panu swoją teorię w najbardziej uproszczonej formie. Naturalnie nie mogę jej udowodnić bez badań przeprowadzonych na miejscu.

- Upiory!

Cień uśmiechu przemknął po wargach Forda. - Bez białych prześcieradeł i dzwoniących łańcuchów. Jest to okaz upiora, który bynajmniej nie urąga logice, panie Halliday. Nie ma nic wspólnego z

zabobonami. Mógł pojawić się jedynie w wieku nauki. Na zamku w Otranto byłby absurdem. Dzisiaj wy, razem ze swoimi integratorami, przetarliście nowe szlaki upiorom. Podejrzewam, że po tym pierwszym pojawią się następne, o ile nie podejmie się środków zaradczych. Ufam, że potrafię uporać się z tą sprawą i z następnymi również. Ale udowodnić mogę to tylko empirycznie. Muszę unicestwić upiora nie za pomocą dzwonka, Biblii i świecy, lecz przez działania psychologiczne.

Halliday był w dalszym ciągu oszołomiony.

- Wierzy pan w d u c h y ?

- Od wczoraj wierzę w pewien szczególny rodzaj duchów. W zasadzie to zjawisko nie ma nic wspólnego z wytworami folkloru. Ale operując innymi danymi otrzymujemy taki sam wynik jak, powiedzmy, w przypadku autorów opowieści grozy. Przejawia się to tak samo.

- Nie pojmuję.

- W epoce czarownic wiedźma warzyła zioła w kotle, dodawała parę ropuch i nietoperzy i tą miksturą leczyła ludzkie dolegliwości serca. My dzisiaj pozostawiamy faunę w spokoju i leczymy naparstnicą.

Skołowany Halliday potrząsnął głową. - Panie Ford, przyznaję, że nie wiem, co mam odpowiedzieć. Pan musi mieć podstawy, by tak twierdzić...

- Zapewniam pana, że mam.

- Ale...

- Proszę posłuchać - powiedział Ford wolno. - Od kiedy umarł Bronson, nie może pan na swej Stacji Antarktycznej utrzymać żadnego operatora. Ten facet - Larry Crockett - wysiedział tam dłużej niż inni, ale u niego też już występują pewne symptomy. Tępa, beznadziejna depresja, całkowita bierność.

- Ależ ta stacja jest jednym z głównych ośrodków naukowych świata. Upiory w takim miejscu?

- Mamy do czynienia z zupełnie nowym rodzajem upiora - tłumaczył Ford. - Tak się składa, że jest on równocześnie jednym z najstarszych. I zarazem najniebezpieczniejszych. Współczesna nauka, proszę drogiego pana, zatoczyła ostatnio pełny krąg i stworzyła upiory. Nie pozostaje mi nic innego, jak udać się na Antarktydę i spróbować egzorcyzmów.

- O Jezu! - powiedział Halliday.

Raison d'etre stacji była olbrzymia podziemna sala zwana bez szacunku Czerepem. Wyglądała, jak przeniesiona z historii starożytnej, z Karnaku, Babilonu czy z Ur - wysoko sklepiona, kompletnie pusta, jeśli nie liczyć podwójnego rzędu potężnych kolumn pod ścianami. Były one wykonane z białej masy plastycznej, stały każda oddzielnie, miały po dwadzieścia stóp wysokości, sześć stóp średnicy i niczym specjalnym się nie wyróżniały. Zawierały one mózgi radioatomowe, udoskonalone przez Integrację. Były to integratory.

Nie były koloidalne, składały się z maszyn myślących, zespołów działających z szybkością światła. Nie były to roboty w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nie były to także wyodrębnione mózgi zdolne do odczuwania własnej jaźni. Naukowcy rozpracowali elementy, które składają się na mózg istoty myślącej, stworzyli ich ekwiwalenty o spotęgowanych właściwościach i uzyskali wrażliwe, doskonale funkcjonujące organizmy o fantastycznie wysokim ilorazie inteligencji. Można je było uruchamiać pojedynczo albo zespołowo. Ich możliwości zwiększały się proporcjonalnie.

Główną zaletą integratorów była efektywność. Potrafiły odpowiadać na pytania. Potrafiły rozwiązywać zawiłe problemy. Obliczenie orbity meteorytu było dla nich kwestią minut czy sekund, podczas gdy doświadczony astronom na uzyskanie tej samej odpowiedzi musiałby poświęcić tygodnie. W wartkim, dobrze naoliwionym roku 2030 czas był bezcenny. Ostatnie pięć lat pokazało, że integratory również są bezcenne.

Były supermózgami - w pewnych granicach. Były niezdolne do samokontroli, bo nie posiadały jaźni.

Trzydzieści białych kolumn wznosiło się w Czerepie. Ich radioatomowe mózgi pracowały z zatrważającą sprawnością. Nigdy nie popełniały błędu.

Były - umysłami! I były wrażliwe, czule, potężne.

Larry Crockett był wielkim czerwoniczym Irlandczykiem o granatowoczarnych włosach i wybuchowym temperamentem. Siedział przy obiedzie naprzeciwko doktora Forda, patrzył na deser wyskakujący z automatu i zdawało się, że nic go nie obchodzi. Przenikliwie oczy psychologa patrzyły uważnie.

- Czy pan minie słyszał, Crockett?
- Co? A tak. Ale nic się nie stało. Po prostu parszywie się czuję.
- Od śmierci Bronsona zmieniło się na tym stanowisku sześć osób. Wszyscy czuli się parszywie.
- No cóż, żyje tutaj człowiek samotnie, zapuszkowany pod tym lodem...
- Przedtem na innych stacjach też żyli samotnie. Pan również. Wzruszenie ramion Crocketta wyrażało śmiertelne znużenie.
- Bo ja wiem. Może ja też powinienem się zwolnić.

- Pan... boi się tutaj zostać?
- Nie. Tutaj nie ma się czego bać.
- Nawet upiórów?
- Upiorów? Kilka sztuk mogłoby wprowadzić nieco ożywienia.
- Zanim pan tu przyszedł, miał pan duże aspiracje. Planował pan małżeństwo, starał się pan o awans.

- Taak.

- Więc co się stało? Przestało to pana interesować?

Można to tak nazwać – zgodził się Crockett. - Nie widzę wiele sensu... w niczym.

- A przecież jest pan zdrowy. Wykazują to testy, którym parna poddałem. Tu, w tym miejscu, panuje czarna, głęboka depresja. Czuję ją sam. – Ford umilkł. Tępe znużenie czające się w zakamarkach jego mózgu z wolna wypełzało na wierzch niczym leniwy jęzor lodowca. Rozejrzał się wokół. Stacja była jasna, nowoczesna i pogodna. A jednak się tego nie odczuwało.

Powrócili do tematu.

- Przyjrzałem się tym integratorom. Wydają się ze wszech miar interesujące.

Crockett nie odpowiedział. Utkwił nieobecne spojrzenie w filizancie z kawą.

- Ze wszech miar interesujące – powtórzył Ford. - A przy okazji. Czy wie pan, co się stało z Bronsonem?

- Pewnie. Postradał zmysły i popełnił samobójstwo.

- Tutaj.

- Zgadza się. No i co z tego?

- Pozostał jego duch - powiedział Ford.

Crockett spojrział na niego. Odchylił się na krześle, niepewny, czy

ma się roześmiać, czy okazać tylko obojętne zdziwienie. Ostatecznie zdecydował się na śmiech. Nie zabrzmiał on zbyt wesoło.

- Jak widać, nie tylko Bronson miał fioła - zauważył.

Ford uśmiechnął się szeroko. - Zejdźmy na dół obejrzyć integratory.

Crockett spojrział w oczy psychologa z ledwo dostrzegalnym wyrazem niechęci. Zabębnił nerwowo palcami po stole.

- Na dół? Po co?

- Ma pan coś przeciwko temu?

- Do diabła, nie - odparł Crockett po chwili. - Tylko że...

- Oddziaływanie jest tam silniejsze - podsunął Ford. - Depresja nasila się, kiedy znajduje się pan w pobliżu integratorów. Mam rację?

- Niech będzie - mruknął Crockett. - No i co z tego

- Cała bieda bierze się z nich. To oczywiste.

- Działają bez zarzutu. Wprowadzamy pytania i otrzymujemy prawidłowe odpowiedzi.

- Nie mówię o intelekcie - zastrzegł się Ford. - Miałem na myśli uczucia.

Crockett zaśmiał się sucho. - Te cholerne maszyny nie mają żadnych uczuć.

- Własnych nie. Nie potrafią tworzyć. Mają tylko takie możliwości, jakie zostały dla nich zaprogramowane. Ale proszę posłuchać, Crockett. Ma pan do czynienia z superskomplikowaną maszyną myślącą, z mózgiem radioatomowym, który zgodnie z założeniem jest bardzo wrażliwy i chłonny. To warunek konieczny. A pan tu może mieć trzydziestoelementowy zespół współgrający dlatego, że znajduje się pan w punkcie równowagi prądów magnetycznych.

- Więc?
- Co się stanie, gdy umieści pan magnes koło kompasu? Kompas zadziała zgodnie z zasadą magnetyzmu, integratory działają na zasadzie... czego innego. I są wyważone niezwykle precyzyjnie - stan idealnej równowagi.
- Chce pan przez to powiedzieć, że zwariowały? - zapytał Crockett.
- To byłoby zbyt proste - odparł Ford. - Przy obłędzie występują zmienne stany. Mózgi w integratorach są... no, zrównoważone, ustabilizowane w pewnych granicach, poruszają się po niezmiennych orbitach. Ale są podatne, bo po prostu muszą być, na jedną rzecz. Ich siła jest ich słabością.
- Więc...
- Czy zdarzyło się panu kiedyś przebywać z człowiekiem umysłowo chorym? - zapytał Ford. - Jestem pewien, że nie. Wywiera to pewien... wpływ... na ludzi wrażliwych. Integratory mają umysł o wiele silniej poddający się sugestii niż istota ludzka.
- Chodzi panu o indukowany obłęd? - powiedział Crockett, a Ford skinął głową potakująco.
- Ścisłej o indukowaną fazę choroby umysłowej. Integratory nie mogą powielić schematu choroby umysłowej. Nie są do tego zdolne. To przecież tylko radioatomowe mózgi. Z tym, że są podatne. Jeśli weźmie pan czysty krążek fonograficzny i zagra jakąś melodię - odcisnie się ona na wosku i otrzyma pan płytę, która będzie powtarzać ten utwór po wielokroć. Pewne zdolności integratorów stanowiły jakby nie zapisane płyty. Ich niepojęte uzdolnienia są pochodną doskonałego zestrojenia aparatu myślącego. Wolna wola nie wchodzi tu w grę. Anormalnie czułe integratory zarejestrowały jakiś model psychiczny mózgu i teraz go odtwarzają. Model psychiki Bronsona.

- A więc - odezwał się Crockett - maszyny dostały kręćka.
- Nie. Szaleństwo wiąże się ze świadomością jednostki. Integratory tylko rejestrują i odtwarzają. Dlatego właśnie sześciu operatorów musiało opuścić stację.

- Dobrze - powiedział Crockett. - Pójdę w ich ślady, zanim zwariuję. To jest dość... obrzydliwe.

- Jak to się odczuwa?

- Zabiłbym się, gdyby nie było przy tym tyle zachodu - powiedział Irlandczyk lakonicznie.

Ford wydobyl kodopisowy notatnik i pokręcił galką.

- Mam tutaj zarejestrowaną historię choroby Bronsona. Czy slyszal pan coś o typach chorób umysłowych?

- Niewiele. Swego czasu znałem Bronsona. Chwilami był krańcowo przygnębiony, a potem znowu stawał się duszą towarzystwa.

- Czy wspominał kiedyś o samobójstwie?

- Przy mnie nigdy.

Ford skinął głową. - Gdyby o tym napomykał, nigdy by go nie popełnił. Jego przypadek to depresja maniakalna; nastroje głębokiej depresji następujące po okresach ożywienia. W początkach rozwoju psychiatrii chorych klasyfikowano według podziału: *paranoia* albo *dementia praecox*. Ale tako klasyfikacja nie zdała egzaminu. Nie dało się przeprowadzić linii demarkacyjnej. Typy się przenikały. Obecnie rozróżniamy depresję maniakalną i schizofrenię. Schizofrenii nie można wyleczyć; inne psychozy - tak. Pan, partie Gockett, jest typem maniakalno-depresyjnym, łatwym do prowadzenia.

- Tak? Ale to nie znaczy, że jestem wariatem?

Ford uśmiechnął się szeroko. - Skądże! Tak jak wszyscy ma pan pewne określone skłonności. Gdyby pan kiedykolwiek popadł w

obłąd, byłyby to depresja maniakalna. Ja na przykład byłbym schizofrenikiem, bo reprezentuję typ schizoidalny. Ten typ często trafia się wśród psychologów; wywodzi się to z kompleksu kompensacyjnego zorientowanego społecznie.

- Chce pan powiedzieć...

Doktor ciągnął dalej; miał pewien cel w wyjaśnieniu Crockettowi tych spraw. Pełne zrozumienie jest częścią terapii.

- Ujmijmy to w ten sposób. Maniacy depresyjni to przypadki stosunkowo proste. Oscylują oni między stanem ożywienia a stanem depresji - amplituda jest duża w odróżnieniu od równych, szybkich drgań na wykresie dla typu schizoidalnego. Okresy rozciągają się na dni, tygodnie, nawet miesiące. Kiedy u typu maniakalno-depresyjnego następuje pogorszenie, wykres jego złej fazy ma postać krzywej opadającej. Dno. Siedzi i nie robi nic. Jest najniezwyklejszym człowiekiem pod słońcem - chwilami tak niezadowolonym, że wręcz zaczyna mu się to podobać. Dopiero kiedy wejdzie na krzywą wstępującą, jego stan zmienia się z pasywnego na aktywny. Wtedy właśnie łamie krzesła i jest w robocie kaftan bezpieczeństwa.

Crockett zaczął przejawiać zainteresowanie. Naturalną kolejną rzeczą dopasowywał wywody Forda do siebie.

- Inaczej ma się sprawa z typem schizoidalnym - ciągnął Ford. - Tutaj niczego nie da się przewidzieć. Może się zdarzyć wszystko. Może to być rozdwojenie jaźni, obsesja macierzyństwa i różne kompleksy: Edypa, nawrót do dzieciństwa, mania prześladowcza, kompleks króla - warianty są tutaj właściwie nieograniczone. Typ

schizoidalny jest nieuleczalny, ale dla maniaka depresyjnego ratunek, na szczęście, istnieje. Nasz miejscowy upiór jest maniakiem depresyjnym.

Rumiane policzki Irlandczyka straciły nieco swój koloryt.

- Zaczynam rozumieć.

Ford skinął głową. - Bronson postradał zmysły tutaj. Integratory są wybitnie wrażliwe. Odebrał sobie życie, gdy jego depresja znalazła się w najniższym punkcie wykresu, gdy stała się nie do zniesienia, i ta eksplozja władz umysłowych, czysta koncentracja szaleństwa Bronsona odcisnęła swój ślad na radioatomowych mózgach integratorów. Pamięta pan płytę fonografową? Impulsy elektryczne z ich mózgów ciągle wysyłają ten zapis - najgłębszej depresji. A Integratory są tak potężne, że każdy, kto przebywa na stacji, musi odbierać te bodźce.

Crockett przeknął ślinę i dopił zimną kawę - Boże drogi! Toż to... koszmar!

- To upiór - powiedział Ford. - Idealnie logiczny upiór, nieunikniony rezultat działania super-czułej myślącej maszynerii. A integratorów nie można leczyć na chorobę zawodową.

- Może papierosa? Hm, hm. - Zasepiony Crockett zaciągnął się dymem. - Przekonał mnie pan do jednej rzeczy, doktorze. Wyjadę stąd.

Ford zatrzepotał ręką. - Jeśli moja teoria jest słuszna, istnieje na to lekarstwo. Indukcja.

- He?

- Bronson mógł odzyskać zdrowie, gdyby odpowiednio wcześniej rozpoczęto leczenie. Są środki terapeutyczne. Tutaj - Ford położył rękę na notesie - mam odtworzony kompletny obraz psychiki Bronsona. Wyszukałem chorego, który również cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną i który jest niemal kopią Bronsona- bardzo

podobna historia choroby, podłoże, charakter. Niesprawny magnes można uleczyć przez rozmagnetyzowanie.

- A tymczasem - mruknął Crockett znowu zapadając w chorobliwy stan - mamy upiora.

Niemniej Ford zainteresował go swoimi dziwnymi teoriami i metodami leczenia. Śmiałe przyjęcie fantastycznej wersji - jej udowodnienie! - miało fascynujący urok dla zwalistego Irlandczyka. W żyłach Crocketta płynęła krew z dziedzictwem jego celtyckich przodków - mistycyzm trzymany w ryzach przez niezłomny hart. W ostatnim okresie atmosfera stacji była dla niego nie do zniesienia. Teraz...

Stacja była placówką zautomatyzowaną i do prowadzenia jej wystarczał jeden operator. Integratory natomiast działały niczym naoiliwione złącza, po zmontowaniu były swego rodzaju doskonałością i nie wymagały żadnej konserwacji. Po prostu nie mogły się popsuć, o ile oczywiście nie liczyć indukowanej choroby umysłowej. Ale nawet ona nie rzutowała na jakość ich pracy. Integratory w dalszym ciągu rozstrzygały zawile problemy i dawały prawidłowe odpowiedzi. Umysł ludzki byłby już w zupełnej rozsypce, tymczasem radioatomowe mózgi utrwały po prostu schemat załamania maniakalno-depresyjnego i emitowały go bez przerwy - rozpaczliwie.

Po stacji krążyły widma. Po kilku dniach doktor Ford dostrzegł te nieuchwytnie, snujące się cienie, które niczym wampiry wysysały ze wszystkiego życie i energię. Sfera ich wpływów rozciągała się poza granice stacji. Od czasu do czasu Crockett wychodził na powierzchnię i zakutany w swój ogrzewany kombinezon wypuszczał się na

ryzykowne wycieczki. Doprowadzał się do zupełnego wyczerpania, jakby w nadziei, że przezwycięży ohydną depresję, która zaległa pod lodem.

Ale cienie zagęszczały się niezauważalnie. Szare, ołowiane niebo Antarktyki nigdy przedtem nie przygnębiało Crocketta, odległe góry, olbrzymie masywy piętrzące się niczym potomstwo mitycznego Imira nigdy przedtem nie robiły na nim wrażenia żywych stworów, dopiero teraz. Były już na wpół żywe, zbyt stare, zbyt znużone, by się ruszyć, tępo zadowolone, że mogą tkwić nieruchomo na bezkresnym horyzoncie lodowych pustaci. Gdy zatrzeszczał lodowiec, ciężki, przytłaczający, nieskończenie nużący przypływ depresji uderzał w Crocketta. Jego umysł zdrowego zwierzęcia kulił się, poddawał, zapadał w otchłań.

Walczył z tym, ale tajemny wróg przychodził skrycie i żaden mur nie był dla niego przeszkodą. Przesiakał w jego ciało jakby drogą osmozy. Był podstępny i zabójczy.

Bronson skulony i milczący, z oczyma utkwionymi w próżnię, zagrożony w czarnej otchłani, która uwięziła go na wieczność - Crockett wyobraził to sobie i przeszył go dreszcz. W ostatnich dniach zbyt często powracał myślami do nonsensownych opowieści, którymi się kiedyś zaczytywał. W opowieściach tych roilo się od irracjonalnych zjaw, stworzonych przez M. R. Jamesa i jego poprzedników: Henry Jamesa, Bierce'a, Maya Sinclaira i innych autorów. Swego czasu Crockett potrafił delektować się upiornymi historiami, które wciągały go bez reszty pozwalając bać się na niby, gdy przez chwilę udawał, że wierzy w to, co niemożliwe. Czy może istnieć coś takiego? Tak, odpowiadał wtedy sobie, ale nie wierzył w to. Teraz upiór nawiedził

stację i logiczne wywody Forda okazały się bezsilne wobec jego prastarego instynktu - zabobonności.

Od czasów gdy owłosieni ludzie kulili się w jaskiniach, istniał lęk ciemności. Głosy krwiożerczych bestii ryczące wśród nocy nie zawsze kojarzono ze zwierzętami. Wyobraźnia przydawała im inne znaczenie: zniekształcone, przerażające odgłosy rozlegające się w niebezpiecznym miejscu i samotna noc czająca się poza kręgiem ogniska zrodziły demony i wilkołaki, wampiry i wielkoludy, i pokręcone wiedźmy.

Tak - istnieje lęk. Ale pojawiła się gorsza od przerażenia, obezwładniająca, spowijająca człowieka jak całun, straszliwa, nie do wyrażenia rozpaczliwa depresja.

Irlandczyk nie był tchórzem. Gdy Ford przyjechał, zdecydował się na pozostanie, przynajmniej do chwili, gdy się wyjaśni, czy eksperyment psychologa się powiodł, czy nie. Mimo to niezbyt uszczęśliwiło go przybycie gościa Forda, maniaka depresyjnego, o którym swego czasu Ford wspominał.

William Quayle zewnątrznie nie był ani trochę podobny do Bronsona, ale im dłużej przebywał na stacji, tym bardziej przypominał Crockettowi tamtego. Quayle był mężczyzną około trzydziestki, szczupłym, ciemnym, o żywych oczach. Podlegał atakom gwałtownej furii, gdy cokolwiek działo się nie po jego myśli. Cykl jego choroby zawierał się mniej więcej w ramach jednego tygodnia. W ciągu tego okresu przechodził od stanu najczarniejszej rozpacz do szalonego podniecenia. Rytm nigdy się nie zmieniał. Obecność upiora zdawała się nie mieć żadnego znaczenia. Ford był zdania, że siła linii wznoszącej była tak duża, że niwelowała efekt emanowanej przez integratory linii opadającej.

- Mam jego historię choroby - powiedział Ford. - Można by go bez trudu wyleczyć w sanatorium, gdzie go znalazłem, ale na szczęście moja oferta była pierwsza. Zauważył pan, jak się zainteresował plastyką?

Znajdowali się w Czerepie. Crockett bez cienia entuzjazmu przeprowadzał codzienny przegląd integratorów. - Czy już dawniej zajmował się plastyką, doktorze? - zagadnął Irlandczyk. Czuł potrzebę rozmowy: cisza potęgowała atmosferę, która tutaj była najmroczniejsza.

- Nie, ale przejawia niemałe zdolności. To zajęcie angażujące umysł i ręce równocześnie. W jego psychice te sprawy są ze sobą powiązane. Minęły trzy tygodnie, prawda? I Quayle jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

- Ale nic to nie dało... tym... - Crockett skinął w kierunku białych kolumn.

- Wiem. Jeszcze nic. Ale niech pan poczeka. Sądzę, że kiedy Quayle zostanie całkowicie wyleczony, integratory to zarejestrują. Mózg radioatomowy poddaje się leczeniu wyłącznie poprzez indukcję. Fatalnie się stało, że Bronson był tutaj przez tyle czasu sam. Można go było wyleczyć, gdyby tylko...

Ale Crockett nie chciał tego roztrząsać.

- A jak tam sny Quayle'a?

Ford zaśmiał się cicho. - Hokus-pokus, co? Ale w tym przypadku metoda jest uzasadniona. Quayle ma kłopoty, inaczej w ogóle by nie zwariował. Jego kłopoty odbijają się w snach, zniekształcone przez filtr autocenzury. Muszę je tłumaczyć, rozszyfrowywać symbole w oparciu o to, co mi wiadomo o samym Quayle'u. Testy skojarzeń słownych stanowią dużą pomoc. Był człowiekiem skłóconym z życiem. Powód tkwił w jego najwcześniejszych doświadczeniach z ludźmi. Jednocześnie nienawidził i bał się swego ojca, który był

tyranem. Wpojono mu w dzieciństwie przekonanie, że nie jest w stanie rywalizować z nikim, bo zawsze przegra. Winą za wszystkie swoje niepowodzenia obciąża ojca.

Crockett skinął głową, z roztargnieniem obserwując noniusz.

- O ile dobrze zrozumiałem, chce pan zniweczyć jego uczucia w stosunku do ojca, czy tak?

- Raczej zniweczyć przekonanie, że ojciec posiada nad nim władzę. Muszę dokonać tego, by uwierzył we własne siły, a równocześnie obalić w nim pewność, że ojciec jest nieomylny. Wiąże się z tym także mania religijna. Być może wpływa to z jego natury, to już jednak sprawa mniejszej wagi.

- Upiory! - wyrzekł nagle Crockett wpatrując się w najbliższy integrator.

W zimnym świetle lamp fluorescencyjnych Ford poszedł za spojrzeniem tamtego. Wydał wargi odwracając się, by objąć wzrokiem całą długość wielkiej podziemnej sali, gdzie milczące kolumny ogromniały w bezruchu.

- Wiem - powiedział Ford. - Niech się panu nie wydaje, że na mnie to nie działa. Ale ja daję temu odpór, panie Crockett, i w tym tkwi różnica. Gdybym siedział w kącie i wchłaniał depresję, uległbym. Przyjmuję czynną postawę. Traktuję depresję jako obdarzonego osobowością przeciwnika. - Rysy jego surowej, napiętej twarzy zdawały się wyostrzać. - To najlepszy sposób.

- Jak długo jeszcze...

- Zbliżamy się do końca. Kiedy Quayle zostanie wyleczony, będziemy wiedzieć stanowczo.

Bronson osaczony widmami, pogrążony w beznadziejnym, apatycznym przygnębieniu, w głuchym, ślepym przerażeniu, tak wszechwładnym, że myślenie stało się nieznośnym i bezsensownym wysiłkiem - wola walki zniknęła, pozostał tylko strach i przyzwolenie na wtargnięcie lodowych ciemności.

To była spuścizna Bronsona. Tak, myślał Crockett, upiory istnieją. Dziś, w Dwudziestym Pierwszym Wieku. Może dopiero teraz. Dawniej były to tylko zabobony. Tutaj, w tej podlodowej stacji cienie zbierały się tam, gdzie nie było cieni. Umysł Crocketta był nieustannie atakowany we śnie i za dnia przez te fantastyczne zjawy. Jego sny były wypełnione bezkształtną, niewyobrażalną, pustą ciemnością, która nasuwała się na niego nieubłaganie, gdy usiłował uciekać na ołowianych nogach.

Jednak Quayle czuł się coraz lepiej.

Trzy tygodnie, cztery, pięć, w końcu minął szósty. Crockett był zmęczony i nieszczęśliwy, nie opuszczało go uczucie, że pozostanie w tym więzieniu aż do śmierci, że nigdy się stąd nie wydobędzie. Ale znosił to z zacięłym uporem. Ford zachowywał równowagę, stał się tylko bardziej spięty, oschły, bardziej powściągliwy. Żadnym słowem ani gestem nie zdradzał, z jaką siłą była atakowana jego psychika.

Ale integratory zyskały w oczach Crocketta osobowość. Teraz były dla niego demonicznymi, posępnymi, nieludzkimi dżinami przyczajonymi w Czerepie, całkowicie obojętnymi na los obsługujących je ludzi.

Burza śnieżna, smagając wichrami pokrywę lodową, zmieniła lodowiec w kłębowisko. Crockett, pozbawiony możliwości wypadów na powierzchnię, zapadał w coraz głębsze przygnębienie. Automaty zaopatrzone we wszystkie produkty serwowały posiłki; gdyby nie one, cała trójka chodziłaby głodna. Crockett był zbyt apatyczny, by

zająć się czymkolwiek, co wybiegało poza jego podstawowe obowiązki, i Ford zaczął rzucać w jego stronę badawcze spojrzenia. Napięcie nie spadało.

Gdyby dała się odczuć jakakolwiek zmiana, bodaj najmniejsze odchylenie w śmiertelnej monotonii depresji, pojawiłaby się jakaś nadzieja. Ale zapis utrwalił się na zawsze w tej jednej fazie. Poczucie beznadziei i klęski było tak silne, że Crockett nie był zdolny nawet do odebrania sobie życia. Kurczowo jednak trzymał się resztek zdrowego rozsądku. Uczepił się jednej myśli - że rychłe wyleczenie Quayle'a będzie równocześnie unicestwieniem upiora.

Powoli, niedostrzegalnie, terapia zaczęła skutkować. Doktor Ford nie oszczędzając siebie otaczał Quayle'a troskliwą opieką i wiodł go ku zdrowiu, spełniając rolę protezy, na której chory człowiek mógł się wesprzeć. Quayle wspierał się ciężko, ale rezultat był zadowalający.

Integratory w dalszym ciągu emitowały depresję, ale jakoś inaczej.

Crockett spostrzegł to pierwszy. Zabrał Forda na dół do Czerepu i zapytał doktora o jego odczucia.

- Odczucia? Jakie? Czy sądzi pan, że...
- Proszę się skoncentrować - powiedział Crockett z błyszczącymi oczami. - Jest różnica. Nie czuje pan?
- Tak - powiedział Ford przeciągle po dłuższej chwili. - Nie można mieć pewności.
- Można, jeżeli obaj czujemy to samo.
- Ma pan rację. Jest jakieś złagodzenie. Hmm. Co pan dzisiaj robił, panie Crockett?
- Ja? No, to co zwykle. Aha. Wziąłem się znowu za książkę Huxleya.
- Do której nie zaglądał pan od wielu tygodni? To dobry znak. Siła depresji słabnie. Oczywiście nie wejdzie na limie wznoszącą.

Po prostu wygaśnie. Terapia poprzez indukcję: skoro wyleczyłem Quayle'a, automatycznie wyleczyłem również integratory. - Ford zaczerpnął tchu. Odnosiło się wrażenie, że nagle poczuł się wyczerpany.

- Doktorze, udało się panu - powiedział Crockett z błyskiem uwielbienia w oczach.

Ale Ford nie słyszał. - Zmęczony jestem - mruknął. - Boże, jaki jestem zmęczony. Napięcie było potworne. Zmaganie się z tym przekłętym upiorem bez chwili przerwy... Bałem się nawet wziąć coś na uspokojenie. No, teraz dopiero sobie odetchnę.

- Może się czegoś napijemy? Trzeba to uczcić. Jeśli - Crockett spozjrzał nieufnie na najbliższy integrator - jeśli jest pan pewien.

- Nie ma wątpliwości. Ale nie. Potrzebuję snu. To wszystko.

Wszedł do windy i zniknął z zasięgu wzroku. Crockett pozostawiony samemu sobie zdołał uśmiechnąć się krzywo. W głębi Czerepu czaiły się widma, ale coraz bledsze. Rzucił pod adresem integratorów niecenzuralne słowo. Przyjęły to z niezmaconym spokojem.

- No pewnie - powiedział Crockett. - Jesteście tylko maszynami. Za bardzo, psiakrew, czuły mi. Upiory! Dobra, dobra! Od dzisiaj ja tu rządę. Mam zamiar sprosić przyjaciół i urządzić popijawę od świtu do nocy. W tych szerokościach geograficznych słońce nieprędko zachodzi!

Snując takie ponętne plany udał się w ślad za Fordem. Psycholog spał już oddychając ciężko. Rysy jego zmęczonej twarzy rozluźniły się nieco. Postarzał się, pomyślał Crockett. Ale kto by się nie postarzał w tych warunkach?

Impulsy wygasły, fala depresji zanikała. Czuł niemal fizycznie jej odpływ. Downa niedorzeczna depresja traciła swą moc.

Zaczynał - tak jest! - snuć plany!

- Przyrządę chili - postanowił Crockett. - Tak jak mnie nauczył ten facet z El Paso. I zapiję szkocką whisky. Nawet jeśli przyjdzie mi świętować samemu, urządzę orgię. - Niezdecydowanie pomyślał o Quayle'u i zjrzał do niego. Ale Quayle czytał akurat najnowszą powieść i skinął niedbale swemu gościowi.

- Cześć, Crockett! Są jakieś nowiny?

- Nnie. Po prostu świetnie się czuję.

- Ja tak samo. Ford mówi, że jestem wyleczony. To wspaniały facet.

- Zgadza się - przytaknął Crockett gorąco. - Potrzeba ci czegoś?

- Dziękuję. Mam tu wszystko. - Quayle uczynił gest głową w kierunku automatów. - Za parę dni mają mnie stąd zwolnić. Traktowaliście mnie po chrześcijańsku, ale chciałbym znaleźć się już w domu. Czekam na mnie rodzina, którą mogę objąć w każdej chwili.

- Nieźle. Chciałbym z tobą jechać. Ale mój kontrakt wygasa dopiero za dwa lata. Musiałbym go zerwać albo załatwić przeniesienie.

- Masz tutaj wszelkie domowe wygody.

- Taak! - odparł Crockett i wzdrygnął się lekko. Wyszedł, żeby przyrządzić chili i wzmocnić się łykiem przydymianej, łagodnej whisky. Tylko czy nie cieszył się przedwcześnie? Może zmora nie została pokonana? A jeśli rozpaczliwa depresja wróci z dawną siłą?

Crockett wypił następną whisky. Pomogło.

Był to objaw pocieszający sam w sobie. Trunek poprawiał samopoczucie. Crockett nie odważał się tknąć alkoholu w czasie depresji.

Ale teraz czuł się tak radosny, że kończył jeść paprykę przy akompaniamencie niezbyt melodyjnie śpiewanej pieśni. Nie było oczywiście sposobu, żeby skontrolować psychiczną emanację integratorów za pomocą jakiegoś przyrządu, jednak zanik dawnej zabójczej atmosfery był nieomylnym znakiem.

Radioatomowe mózgi były wyleczone. Proces, zapoczątkowany przez umysłową eksplozję Bronsona, wyczerpał się wreszcie i został wyeliminowany - poprzez indukcję. W trzy dni później samolot zabrał Quayle'a i odleciał na północ w kierunku Ameryki Południowej. Ford pozostał na miejscu, by dopracować szczegóły i podsumować badania.

Atmosfera stacji zmieniła się diametralnie. Było tu teraz wygodnie, jasno, pogodnie. Integratory nie wyglądały już jak monstrualne diabły w jakimś prywatnym piekle. Były po prostu miłymi dla oka, smukłymi, białymi kolumnami, w których mieściły się radioatomowe mózgi odpowiadające posłusznie na pytania dostarczone im przez Crocketta. Stacja funkcjonowała bez zakłóceń. Na powierzchni szare niebo zsyłało wicher, który omiatał polarne przestrzenie oczyszczającą, lodowatą zawieruchą.

Crockett przygotowywał się do zimy. Miał ze sobą książki, odszukał stary szkicownik, przejrzał akwarele i doszedł do wniosku, że dotrwa do wiosny bez problemu. Stacja *per se* nie miała w sobie nic przygnębiającego. Strzelił sobie jednego i wyruszył na obchód inspekcyjny.

Ford stał przed integratorami obserwując je w zamyśleniu. Odmówił proponowanej mu szklaneczki whisky.

- Nie, dzięki. Wydaje mi się, że tutaj wszystko gra. Depresja ustąpiła zupełnie.

- Powinien się pan czegoś napić - powiedział Crockett. - Przeszliśmy razem niemało, towarzyszu niedoli. Jeden łyk dobrze panu zrobi. Złagodzi przeskok.

- Nie. Muszę opracować sprawozdanie. Integratory są urządzeniami tak wspaniale logicznymi, że szkoda by było, gdyby zaczęły zapadać na choroby umysłowe. Na szczęście nie będą. Od chwili gdy udowodniłem, że obłęd można leczyć metodą indukcji.

Crockett spojrział zjadliwie na integratory.

- Niech pan na nie spojrzy, wyglądają jak wcielenie niewinności.

- Hmm. Kiedy się uciszy ta zamieć? Chcę sobie załatwić samolot.

- Trudno przewidzieć. Ostatnia trwała bez przerwy cały tydzień. A ta - Crockett wzruszył ramionami. - Spróbuję się dowiedzieć, ale nic nie mogę obiecać.

- Zależy mi na tym, żeby wrócić.

- Rozumiem - powiedział Crockett. Wjechał windą do swego biura i przejrzał napływające zlecenia, wybierając te, które należało wprowadzić do integratorów. Jedno było ważne, jakiś geologiczny problem Sejsmicznej Stacji Kontrolnej w Kalifornii. Mogło jednak poczekać, aż napłyną pozostałe.

Crockett zrezygnował z kolejnego drinka. Tak się złożyło, że nie zrealizował swych planów upicia się. Sama ulga okazała się silnym środkiem odurzającym. Teraz pogwizdując cicho zebrał papiery i wyruszył ponownie do Czerepu. Pomyślał, że stacja wygląda pierwszorzędnie. Być może to wrażenie płynęło ze świadomości, że uzyskał uchylenie wyroku śmierci. Zwłaszcza że tamto było gorsze niż pewna śmierć - ta przekłeta depresja. Uff!

Wszedł do windy - staromodnej, na szynach, funkcjonującej na zasadzie mechanizmu dźwigowego. W pobliżu integratorów nie można było instalować wind magnetycznych. Nacisnął guzik i spoglądając w dół zobaczył pod sobą Czerep i białe kolumny pomniejszone przez perspektywę.

Rozległy się kroki. Crockett odwrócił się i zobaczył, że biegnie ku niemu Ford. Winda już zaczynała zjeżdżać, więc palce Crocketta uniosły się spiesźnie do przycisku „stop”.

Zmienił zamiar, kiedy Ford uniósł dłoń i wymierzył w niego pistolet. Kula ugodziła Crocketta w udo. Zatoczył się upadając na szynę, a tymczasem Ford jednym susem znalazł się w windzie. Jego twarz straciła chłodny i powściągliwy wyraz, oczy płonęły szaleństwem.

Krzyknął coś nieartykułowanie i ponownie nacisnął spust. Crockett desperacko rzucił się naprzód. Kula chybiła, chociaż nie miał co do tego pewności, a on z rozpędu całym ciałem runął na Forda. Psycholog stracił równowagę i przewrócił się na szynę dźwigu. Gdy usiłował wypalić raz jeszcze, Crockett, choć ledwo trzymał się na nogach, wymierzył Fordowi cios w szczękę.

Celność i siła ciosu okazały się tragicznie bezbłędne. Ford odpadł od szyny. Po długiej chwili Crockett posłyszał odgłos padającego ciała głęboko w dole.

Winda łagodnie ruszyła. Broń ciągle leżała na platformie. Crockett jęcząc z bólu podarł koszulę na prowizoryczny opatrunek. Rana na udzie krwawiła obficie.

Zimne światło lamp fluorescencyjnych wydobyło kolumny integratorów, których wierzchołki początkowo zrównały się z Crockettem, a później zaczęły nad nim górować, w miarę jak zjeżdżał

coraz niżej. Gdyby wychylił się poza krawędź platformy, mógłby dojrzeć ciało Forda. Ale ten widok i tak go nie minie.

Panowała kompletna cisza.

Napięcie, to zrozumiałe, i opóźniona reakcja. Ford powinien się był zalać. Alkohol wyciszyłby gwałtowność reakcji po tych długich miesiącach piekła. Tygodnie zmagania się z depresją, miesiące, kiedy Ford utrzymywał się w ciągłym pogotowiu wobec zagrożenia, któremu przydawał cechy zmaterializowanego przeciwnika, życie o nie-normalnej intensywności. Potem ten sukces i wygaśnięcie depresji. I cisza, śmiertelna, przerażająca - i czas, by odprężyć się i myśleć.

No i Ford oszalał.

Napomykał zresztą o tym kilka tygodni temu, Crockett przypomniał sobie. U psychologów zdarza się czasem skłonność do odchyśleń umysłowych, dlatego właśnie pociąga ich ta dziedzina wiedzy i dlatego ją rozumieją.

Winda zatrzymała się. Nieruchome ciało Forda leżało w odległości mniej więcej jarda. Crockett nie mógł dojrzeć jego twarzy.

Choroby umysłowe typu depresji maniakalnej to przypadki stosunkowo proste. Schizofrenia jest bardziej skomplikowana. I nieuleczalna.

Nieuleczalna.

Doktor Ford był typem schizoidalnym. Sam to powiedział kilka tygodni temu.

I oto teraz doktor Ford, ofiara schizofrenicznego szaleństwa, zginął gwałtowną śmiercią, podobnie jak Bronson. Trzydzieści białych słupów stało w Czerepie, niewzruszenie obojętnych, i Crockett spojrzawszy na nie poczuł pierwszy skurcz obezwładniającego, tępego przerażenia.

Trzydzieści radioatomowych mózgów, superczułych, gotowych zarejestrować każdy nowy rytm na czystych woskowych krążkach. Tym razem nie maniakalno-depresyjny.

Wręcz przeciwnie, będzie to umykające wszelkim schematom nieuleczalne szaleństwo schizofrenika.

Eksplozja umysłu - o tak! Oto doktor Ford leżał nie opodal martwy, ze wzorem obłądu zakodowanym w jego mózgu w momencie śmierci. Wzorem, który mógł mieć każdą postać.

Crockett wpatrywał się w trzydzieści integratorów i rozważał, co się mogło dzieć wewnątrz tych białych lśniących skorup. Przekona się o tym, zanim ustanie zamieć, pomyślał z chorobliwym przerażeniem.

Bo stację znowu nawiedził upiór.

przełożyła Monika Dutkowska

POTRZASK

Thor był pierwszym robotem, który nie zwariował. Może byłoby lepiej, gdyby poszedł śladem swoich poprzedników.

Cały problem polegał li tylko na tym, aby skonstruować wystarczająco skomplikowaną maszynę myślącą, która nie byłaby zbyt skomplikowana. Wydawało się, że po raz pierwszy cel ten został osiągnięty, gdy skonstruowano robota o nazwie Łysul IV, ale po trzech miesiącach coś w nim zaczęło nawalać, dawał błędne odpowiedzi i większość czasu spędzał gapiąc się tępo przed siebie. Kiedy stało się oczywiste, że maszyna zaczyna działać destruktywnie, Kompania podjęła odpowiednie kroki. Zniszczenie robota wykonanego z duraloyu było, ma się rozumieć, niemożliwe, więc Łysula IV pochowano w betonie. Zanim beton stężał, trzeba było w ślad za nim dorzucić Marsa II.

Roboty, nie można powiedzieć, funkcjonowały. Przez pewien czas... Potem ujawniał się jakiś niezidentyfikowany defekt władz umysłowych i popadały w obłąd. Kompania nie mogła nawet odzyskać części - kiedy tworzywo z duraloyu zastygnie, palnik acetylenowy jest bezsilny, więc dwadzieścia osiem robotów wraz ze swymi obłąkańczymi myślami spoczęło w betonowych łóżach przywodząc na myśl Naczelnemu Inżynierowi Harnahanowi więzienie w Re-ading.

- A ich grób pozostanie bezimienny - puszczając kółka z dymu wydekłamał Harnahan rozciągnięty w całej okazałości na kozetce w swoim biurze.

Był to wielki mężczyzna o zmęczonych oczach i wiecznie zmarszczonym czole. Nie ma się czemu dziwić. Działał w epoce potężnych korporacji, które walczyły ze sobą na kły i pazury o hegemonię ekonomiczną. Stosunki panowały istic feudalne, gdyż pokonana kompania była zagarniana przez zwycięskiego rywala i *vae victis*.

Van Damm, który uchodził w firmie za niezawodnego eksperta, siedział na krawędzi biurka i obgryzał paznokcie. Mały, podobny do karła i śniady jak Cygan, o bystrej, pokrytej zmarszczkami twarzy, która miała równie beznamiętny wyraz jak oblicze Thora stojącego bez ruchu pod ścianą. Van Damm popatrzył na robota.

- Jak się czujesz? - zapytał. - Nie masz jakichś objawów choroby umysłowej?

- Umysłowo jestem w świetnej formie, przygotowany do rozwiązania każdego problemu - odparł Thor.

Harnahan przewrócił się na brzuch. - Okej. Wobec tego zajmij się taką sprawą: Kompania Luxinghama zgarnęła nam doktora Sadlera wraz z wynikami jego badań dotyczącymi zwiększenia wytrzymałości sztucznego żelaza. Ta menda męczyła nas o podwyższenie pensji. W końcu resztką pary zabrał się i zwiął do Luxinghama.

Thor skinął głową. - Symbol angażu?

- Czternaście - X - Siedem. Zwykły angaż metalurga. Pod względem formalnym nie do zerwania. Sądy będą po naszej stronie. Tylko że spece Luxinghama od chirurgii plastycznej zmienią powierzchność Sadlera i jego linie papilarne. Sprawa będzie się ciągnęła ze dwa lata. Przez ten czas Luxingham zdąży tam zrobić stosowny użytek z wzorów na sztuczne żelazo.

Van Damm zrobił marsową minę: - Rozwiązanie, Thor! - Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Harnahana. Obaj panowie wiedzieli, co teraz nastąpi. Thor nie zawiódł ich.

- Przemoc - powiedział Thor. - Jest wam potrzebny ten wzór. Robot nie ponosi odpowiedzialności prawnej. Przynajmniej jak do tej pory. Złożę wizytę Luxinghamowi.

- Okej - powiedział Harnahan bez entuzjazmu.

Thor odwrócił się i wyszedł. Naczelný Inżynier zmarszczył z niezadowolaniem brwi.

- Tak - pokiwał głową Van Damm. - Wiem, co będzie dalej. Po prostu wejdzie i gwizdnie to opracowanie... A my otrzymamy kolejną naganę za posługiwanie się nieobliczalnymi maszynami. I będziemy dalej robić wszystko tak jak do tej pory.

- Czy rzeczywiście brutalna przemoc jest w tym wypadku najlogiczniejszym rozwiązaniem? - zastanawiał się Harnahan.

- Na pewno najprostszy. Thor nie musi wdawać się w zawilości prawne. Jest niezniszczalny. Po prostu wkroczy do Luxinghama i gwizdnie te wyniki. O ile sąd orzeknie, że Thor jest niebezpieczny, możemy go zabetonować, a potem skonstruować inne roboty. On, jak wiesz, nie posiada własnej osobowości. Nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Spodziewaliśmy się czegoś więcej - burknął Harnahan. - Maszyna myśląca powinna umieć wiele rzeczy.

- Thor dużo potrafi. Do tej pory nie zwariował jak tamte. Rozwiązał wszystkie problemy, jakie przed nim postawiliśmy, nawet ten wykres nastrojów, na którym wyłożyli się wszyscy przed nim.

Harnahan przytaknął. - No, owszem. Przewidział zwycięstwo Snowmana w wyborach... to postawiło Kompanię na nogi. Myśleć potrafi, to trzeba przyznać. Założę się o własne pieniądze, że nie ma

problemu, którego by nie rozwiązał. Przy tym wszystkim nie przejawia wielkiej inwencji.

- Gdyby nadarzyła się okazja... - Van Damm zmieniał temat. - Tak czy inaczej mamy monopol w dziedzinie robotów. To już coś. Nadszedł chyba czas, żeby dać zielone światło dla produkcji robotów typu Thora.

- Lepiej zaczekajmy trochę. Zobaczymy, czy nie zwariuje. Jest bardziej skomplikowany niż wszystkie dotychczasowe roboty.

Wideofon na biurku ożył wydając rozjuszony skrzek.

- Harnahan! Ty wszawy morderco bez czci i sumienia! Ty...

- Blake, ja to nagrywam! - zawołał inżynier wstając. - Za godzinę będziesz miał na biurku pozew o zniesławienie.

- Udław się swoimi pozwami! - ryknął Blake z Kompanii Luxinghama. - Zaraz tam będę i własnoręcznie zwichnę ci tę wystającą szczękę. Spalę cię z boską pomocą i splunę na twoje popioły.

- Teraz oświadczają, że nastaje na moje życie - Harnahan dobitnie objaśnił Van Damma, niby to mimochodem. - Całe szczęście, że będę to miał na taśmie.

Widoczna na ekranie twarz Blake'a zdawała się puchnąć w oczach. Jednak zanim nastąpił wybuch, jego miejsce zajęła inna fizjonomia - gładkie, uprzejme oblicze Marshalla Yale, przedstawiciela policji w tym sektorze.

Yale wydawał się zatroskany.

- Niech pan posłucha, panie Harnahan - powiedział ze smutkiem. - Tak dalej być nie może. Niech pan spojrzy na sprawę rozsądnie. W końcu jestem stróżem porządku.

- Ha - rzucił Van Damm *sotto voce*.

- ...nie mogę tolerować rękoczynów w biały dzień. Może pański

robot zwariował? - dodał z nadzieją w głosie.

- Robot? - spytał Harnahan bez zmruczenia powiek. - Nie rozumiem, o jakiego robota chodzi.

Yale westchnął. - O Thora. Oczywiście, że o Thora. O kogo by innego. Teraz dopiero widzę, że nic pan o tym nie wie. - Głos jego zabarwił się największą dozą sarkazmu, na jaką go było stać. - Faktem jest, że Thor wdarł się przed chwilą do Luxinghama i nieźle narozrabiał.

- Niemożliwe!

- Niestety. Zwyczajnie wszedł sobie. Strażnicy próbowali mu przeszkodzić, ale on zwyczajnie szedł dalej. Zdeptał ich, mówiąc bez ogródek. Użył miotacza ognia, ale to go nie zatrzymało. Luxingham puścił w ruch cały arsenał broni defensywnej, a ten pański piekielny robot szedł jak gdyby nigdy nic. Złapał Blake'a za kark i zmusił do odryglowania drzwi i laboratorium, po czym zabrał jakieś obliczenia jednemu z pracowników.

- Doprawdy, jestem zaskoczony - powiedział Harnahan tonem oburzenia. - A swoją drogą, jak się nazywał ten facet? Czy przypadkiem nie Sadler?

- Tego to ja nie wiem... Chwileczkę. Tak, Sadler.

- Ależ Sadler pracuje dla nas - wyjaśnił inżynier. - Zatrudniamy go na wieczystym kontrakcie. Wszelkie wyniki jego opracowań należą do nas.

Yale otarł świecące policzki.

- Panie Harnahan! Z łaski swojej! - wyrzucił z siebie z rozpaczą. - Niech się pan na chwilę postawi na moim miejscu. Jako przedstawiciel prawa muszę zareagować. Nie można dopuścić, aby któryś z pańskich robotów pozwalał sobie na tego rodzaju numery. To zbyt... zbyt...

- Oczywiście? - podsunął Harnahan. - No więc, jak już powiedziałem, jest to dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Sprawdzę wszystko i zadzwonię do pana. A tak przy okazji. Wnoszę pozew przeciwko Blake'owi. O zniesławienie i grożenie zabójstwem.

- O Jezu! - powiedział Yale i wyłączył wizję.

Van Damm i Harnahan wymienili rozanielone spojrzenia.

- Nieźle - zachichotał karzełkowaty ekspert. - Są w potrzasku. Blake nie będzie próbował nas bombardować, na to mamy zbyt silną obronę przeciwlotniczą. A więc sprawa wyładowuje w sądzie. W sądzie! - wykrzywił usta w grymasie

Harnahan powrócił na swoją kozetkę. - Skoncentrowanie się na produkcji tych robotów było naszym najlepszym posunięciem. W ciągu dziesięciu lat Kompania zawładnie światem. I innymi światami. Możemy wysłać statki kosmiczne z robotami. W charakterze załogi

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Thor w doskonałej formie mimo ostatnich przejść. Położył na biurku metalową płytkę.

- Wzór chemiczny sztucznego żelaza.

- Jesteś ranny?

- Nie istnieje taka możliwość.

Thor podszedł do kartoteki, wyjął jakąś kopertę i zniknął. Harnahan podniósł się, żeby obejrzeć płytkę.

- Tak. To jest to. - Wrzucił ją do otworu transportera. - Czasami rzeczy stają się nazbyt łatwe. Może by tak sobie wziąć urlop na jeden dzień? Słuchaj no! Co ten Thor teraz robi?

Van Damm spojrział na niego.

- He?

- Przy kartotece. O co mu chodzi? - zastanawiał się Harnahan. - Jakiś elektroniczny problem. Nie wiem, do czego mu to potrzebne. Może zamierza przeprowadzać własny program badawczy.

- Możliwe - przytwardził Van Damm. - Chodźmy zobaczyć.

Zeszli do pracowni robota w podziemiu, ale zastali pomieszczenie puste. Harnahan zwrócił się do nadzoru telewizyjnego.

- Nadzór? Gdzie jest Thor?

- Chwileczkę, szefie. Na siódmej odlewni. Połączyć pana z majstrem?

- Dobra. Ivar? Co tom robi Thor?

Ivar potarł swoją baniastą głowę. - Diabli wiedzą. Włazł, złapał tabelę wytrzymałości i zaraz się zmył. Chwileczkę. Jest z powrotem.

- Chciałbym z nim porozmawiać - powiedział Harnahan.

- Oczywiście. - Nieprzenikniona twarz Ivara zniknęła, a po chwili pojawiło się znowu. - Guzik. Wybrał sobie kawał syntoplatu i wyniósł się.

- Hm - włączył się Van Damm. - Czy nie wydaje ci się...?

- Że zaczyna bzikować tak jak tamte? - Harnahan nachmurzył się. - Tamte nie zachowywały się w ten sposób. Ale wykluczyć nie można. - W tej właśnie chwili wkroczył Thor taszcząc w swych przepastnych objęciach naręcze wszelakiego żelastwa. Ignorując obecność obu panów zwałił swój bagaż na ławkę i zaczął go segregować, pracując szybko i dokładnie.

- Nie zwariował - powiedział Harnahan. - Lampka się świeci.

Na czole Thora znajdowało się purpurowe szkiełko, które zapalało się, kiedy robot rozwiązywał jakiś problem. Było to najnowsze udoskonalenie, sygnalizator zaburzeń psychicznych u robotów. Gdyby migało nieregularnie, byłby powód do zmartwienia i do rozrabiania następnej porcji cementu na grób zwariowanego robota.

- Thor! - rzucił ostro Von Damm.

Robot nie zareagował.

- Jakiś poważny problem. - Harnahan zmarszczył brwi. - Ciekawe, o co mu chodzi.

- A ja jestem ciekaw, co go zainspirowało - powiedział słynny ekspert. - Na pewno któreś z ostatnich wydarzeń. Udoskonalenie produkcji sztucznego żelaza?

- Całkiem możliwe. Hmm.

Obserwowali przez chwilę zaabsorbowanego robota, ale nic im to nie dało, w końcu wrócili do gabinetu Harnahana, gdzie przy kieliszku rozważali, nad czym też Thor może główkować. Van Damm był zdania, że chodzi o udoskonalenie sztucznego żelaza, Harnahan oponował, ale nie umiał podać lepszej wersji.

Stanowiska nie były uzgodnione, kiedy nadzór telewizyjny doniósł, że w podziemiach doszło do eksplozji.

- Energia atomowa - zachłysnął się Harnahan, jednym skokiem podrywając się z kozetki. Van Damm deptał mu po piętach w drodze do windy. W podziemiach spory tłumek zgromadził się pod drzwiami pracowni Thora.

Harnahan przedarł się przez zgromadzonych i dał nura w chmurę cementowego pyłu. Gdy pył opadł, ujrzał u swych stóp rozsypane szczątki Thora. Nie uległo wątpliwości, że robot nie nadaje się do naprawy.

- Śmieszna historia - mruknął Harnahan. - To nie była specjalnie silna eksplozja. Skoro zniszczyła Thora, powinna zniszczyć całą fabrykę albo przynajmniej podziemie. Jego duraloy jest na wpeł stopiony.

Van Damm nie odpowiedział. Gdy Harnahan podniósł wzrok, zobaczył, że słynny ekspert wpatruje się przez tumany pyłu w

przedmiot wiszący w powietrzu o parę kroków od nich.

Była to dziwaczna maszynka - i nie więcej. Harnahan rozpoznał w niej niektóre części, które Thor przyniósł do pracowni. Ale całość była dość zastanawiająca. Maszynka nie miała uchwytnego przeznaczenia. Przypominała zabawkę skonstruowaną z mechanicznej układanki przez kapryśne dziecko.

Kształt miała zbliżony do cylindra, około dwóch stop długości i mniej więcej jedną stopę średnicy. Wewnątrz znajdowała się so-czewka, części ruchome i spiralny zwój. Buczała.

To było wszystko.

- No, dobra - powiedział Harnahan. - Na głowę oślicy Balaama, co to może być?

Von Damm ostrożnie cofnął się w kierunku wywalonych drzwi. Donośnie wydawał rozkazy. Zatrzaśnięto panele i osobnik w niebieskim uniformie pośpieszył zameldować słynnemu ekspertowi.

- Zabezpieczone, szefie.

- Dobra - powiedział Von Damm. - Zaaplikuj tym chłopcom hipnozę. - Skinął w kierunku dwudziestki robotników, co wywołało wśród nich pewne poruszenie.

- Chcielibyśmy wiedzieć dlaczego?! - zawołał jeden z nich.

Van Damm uśmiechnął się do nich szeroko. - Słusznie. Widzieliście, co zostało z Thora. Jeśli wyjdzie, na jaw, że jeden z naszych niezniszczalnych robotów został zniszczony, inne Kompanie wezmą się do roboty. Pamiętajcie, co się stało z poprzednią generacją naszych robotów. Padły ofiarą sabotażu. Dlatego wprowadziliśmy robota z duraloyu. Tylko ten model zdaje egzamin w praktyce. Gdy usuniemy z waszej pamięci fakt, że Thor został spalony, Luxingham, czy

tam kto inny, nie przejmie tej informacji, nawet gdyby wstrzykiwali wam skopolaminę.

Przekonani taką argumentacją ludzie kolejno opuszczali miejsce wypadku. Harnahan wciąż tępo wpatrywał się w dziwny aparacik.

- To nie ma żadnych pokręteł - zauważył. - Ciekawe, jak to się włącza?

- Może myślą - podsunął Van Damm. - Ale na wszelki wypadek uważaj. Nie byłoby najlepiej, gdyby to zaczęło działać, zanim się dowiemy, do czego służy.

- Słusznie - skinął Harnahan i nagle wyraz twarzy mu się zmienił. - Dopiero teraz zaczynam sobie uświadamiać znaczenie tego wszystkiego. Thor był w założeniu niezniszczalny.

- Nic na świecie nie jest absolutnie niezniszczalne.

- Wiem. Ale duraloy, hm, hm. Spójrz na tę soczewkę. Może jej zadaniem jest skupianie jakichś niszczących promieni, które dezorganizują strukturę atomową stopów metalicznych. Ale nie. To, co pozostało z Thora, jest w dalszym ciągu duraloyem. To musi być coś innego. A jednak. - U w a ż a j ! - Odskoczył, gdy aparacik z wolna obrócił się w powietrzu.

Van Damm smyrgnął w stronę drzwi. - Uruchomiłeś go! Wiejmy stąd!

Było za późno. Cudeńko przypikowało nad jego głową unicestwiający po drodze siwy kosmyk i rąbnęło w metalową przegrodę w piwnicy. Harnahan i Van Damm stali w drzwiach piwnicy robota i obserwowali, jak aparacik przegryza się przez litą stal.

Wkrótce zniknął.

Harnahan zerknął na umieszczony z tyłu ekran telewizyjny. Był strzaskany od wybuchu. Wzdrygnął się lekko i powiedział. - Lepiej chyba nie tracić tego z oczu. Czy nie przypuszczasz... - urwał.

Van Damm przyjrzał mu się bacznie.

- He?

- No nie, chyba nie. Ale... przyszła mi do głowy mutacja mechaniczna.

- Zbikowałeś jak robot - rzekł Van Damm dobitnie. - Mechaniczny nonsens.

- Ale pomyśl. Kiedy życie osiąga punkt szczytowy, następuje mutacja. Takie jest prawo biologii. Przypuśćmy, że Thor stworzył robota doskonalszego niż on sam i... i...

- To coś - powiedział Van Damm pokazując na dziurę w ścianie - jest wszystkim, tylko nie robotem. Jest to jakaś maszyna. Ale nie maszyna myśląca. Inna rzecz, że dysponuje energią, i to wielką. Naszą sprawą jest ustalić, jak ta energia może być spożytkowana. - Zawahał się przez chwilę. - Czy dałoby się odczytać zapis z mózgu Thora?

Harnahan potrząsnął głową. - Gdzież tam. Jego mózg został wypalony. Sprawdzałem.

- A roboty nie sporządzają notatek. No dobra, ale chyba da się ustalić, co ta maszynka robi.

- Wypala dziurę w stali, to nie ulega kwestii - zauważył Harnahan.

- I zatrzymuje zegarki - dorzucił Van Damm spoglądając na swój ręczny czasomierz. - Spróbujmy może postawić się na miejscu robota, żeby się zorientować, co on mógł wynaleźć.

Harnahan popatrzył na słynnego eksperta i spieszenie przeszedł przez wyłom w metalowej przegrodzie. Po drugiej stronie nie było ani śladu aparaciku. Dziura w suficie starczyła za wyjaśnienie. Gdy weszli na górę, poinformowano ich przez telewizor w hallu, że aparat znajduje się w jednym z wydziałów mechanicznych i nic nie robi.

Nie robił i wtedy, kiedy Harnahan i Van Damm się tam zjawili. Pięćdziesiąt tokarek stało w równych szeregach, a robotnicy gapili się w kompletnym osłupieniu na unoszący się w powietrzu obiekt.

Pojawił się majster: - Co to jest? - dopytywał się. - Jakaś sztuczka Luxinghama? Może to bomba?

- Czy coś zostało zniszczone?
- Właściwie nie. Tyle że tokarki nie działają.

Van Damm chwycił długi drąg z metalowym końcem i zbliżył się do aparatu. Obiekt odpłynął powoli. Van Damm zapędził go do kąta i szturchnął drągiem, co nie dało żadnego widocznego efektu. Melodia buczenia pozostała nie zmieniona.

- Włącznie teraz tokarki - polecił Harnahan.

Nie działały w dalszym ciągu. A aparacik wietrząc nowe lądy do zdobycia przemknął się w kierunku drzwi, przepalił je i zniknął.

Znajdował się teraz poza głównym budynkiem. Z podjazdu, który wystawał ponad monolitycznym murem, Harnahan i Van Damm mogli spoglądać w górę i śledzić obiekt unoszący się łagodnie ku niebu. Na dużej wysokości zmilknął im z oczu i tylko posypały się na nich okruchy pleksiglasowej szyby.

- Na górę! - rzucił lakonicznie Harnahan. - Mam przecucie, że jest w gabinecie Twilla.

Nie trzeba było dodawać nic więcej. Joseph Twill był jednym ze współników Kompanii, półboską istotą, bytującą w rozrzedzonej atmosferze górnych pięter wieżowca.

Zaalarmowane straże towarzyszyły im do gabinetu Twilla. Zgodnie z przewidywaniami Harnahana stało się najgorsze. Aparacik przypuściła zagadkowo na dygnitarskim biurku i buczał. Twill natomiast kulił się przestraszony w swym krześle popatrując na to cudeńko.

Mniej więcej co trzy minuty wzdrygał się, bladł, a następnie z wolna wracał do siebie.

Van Damm wyszarpnął pistolet. - Podajcie mi palnik acetylenowy - warknął, po czym zbliżył się do obiektu.

Ten przysunął się w stronę Twilla i wówczas słynny ekspert wykonał błyskawiczny ruch i wypalił. Chybił. Obiekt unosił się przez chwilę niezdecydowanie, po czym przewiercił się przez blat biurka, szuflady, dywan i podłogę, oddalając się z zanikającym buczeniem.

Twill otarł twarz. - Co to było? - zdołał zapytać. - Myślałem... Lullingham?

Van Damm spojrział na Harnahana. Ten zaczerpnął tchu i zabrał się do wyjaśnień. - My jednak unieszkodliwimy to coś - zakończył. - Palnikiem da się stopić z łatwością. To przecież nie duraloy.

Twill odzyskał częściowo właściwą sobie władczość. - Poczekaj - rozkazał, gdy Harnahan zwrócił się w stronę drzwi. - Nie niszczonego, o ile nie zajdzie konieczność. Lepiej nie zabijać kury, która, być może, znosi złote jajka. Rzecz musi być wartościowa, chociażby jako broń.

- Czy uczyniło to panu jakąś krzywdę? - dopytywał się Van Damm.

- Niecałkiem. Serce mi zamierało z nagłym drgnieniem, po czym zaczynało pracować jak zwykle.

- Na mnie w ten sposób nie działało - powiedział Harnahan.

- Naprawdę? A więc jeśli będziesz musiał go zniszczyć, to zniszcz. Ale nie rób tego, dopóki nie zajdzie absolutna konieczność. Thor był zdolnym robotem. Jeśli nam się uda odgadnąć przeznaczenie tego przedmiotu...

Za drzwiami Harnahan i Van Damm spojrzeli po sobie. Twill miał oczywiście świętą rację. Aparacik mógł mieć niezwykle cenne właściwości, gdybyż tylko wiedzieć, jakiego rodzaju. Jego zewnętrzny wygląd nic im nie mówił. Przepalał metal, ale palnik albo mieszanka termitowa też to potrafiła. Jego łagodne promieniowanie oddziaływało na serce Twilla. To ostatnie prowadziło na manowce. Aparacik nie mógł być skonstruowany wyłącznie po to, by dokuczyć Twillowi.

Nie mieli nad nim kontroli, ale nie był on niekontrolowalny. Jednak tylko Thor wiedział, dlaczego zbudował tę maszynkę.

- Możemy zanalizować materiały, z jakich został zbudowany, i policzyć, czy suma składników równa się całości - powiedział Harnahan. - To już był by sposób na przekonanie się, czym jest całość.

Van Damm majstrował przy telewizorze.

- Poczekaj chwilę. Chcę się przekonać. - Powiedział coś głośno do mikrofonu. Zaraz potem jęknął z głębi zboląłego serca.

Wszystkie zegary w fabryce stanęły. Wszystkie czułe instrumenty były rozstrojone. Sejsmograf informował, że trwa właśnie gwałtowne trzęsienie ziemi, według barometru szalał akurat tajfun. A gdyby wnosić z zachowania dezintegratora atomowego, cała materia była w podejrzenie wysokim stopniu bezwładna.

- Planck - rzucił Harnahan na oślep, chwytając się pierwszej lepszej wersji. - Czynniki nieprawdopodobieństwa. To coś odwraca prawdopodobieństwo.

- Opanuj się, chłopie! - poradził mu Van Damm. - Niedługo zapomnisz, ile jest dwa razy dwa. Mamy do czynienia z zimną, logiczną nauką. Gdy odnajdziemy klucz, wszystko będzie proste jak pi.

- Ale nie znamy przecież zakresu możliwości mózgu robota. Mógł wymyśleć wszystko - coś, co przekracza naszą zdolność pojmowania.

- Jest jednak szansa, że tego nie zrobił - zauważył prozaicznie Van Damm. - Jak do tej pory, maszynka nie dokonała niczego niemożliwego w świetle najnowszych osiągnięć nauki.

Odbiornik telewizyjny zatrajkotał histerycznie. W Instytucie B-14 wszyscy ludzie zamienili się w szkielety, po czym zniknęli całkowicie. Oczywiście, był tam wiadomy przedmiot.

- Promienie Roentgena - rzekł Van Damm nieco ochryple. - Pójdę jednak po ten palnik, z nim będę się czuł bezpieczniej.

Kiedy już mieli broń w ręku, rozeszła się wieść, że zaginieni ludzie znaleźli się z powrotem cali i zdrowi po owej przygodzie. A tymczasem aparacik odwiedził dział personalny, przeraził sekretarkę do granic hysterii, prześwietlił klisze fotograficzne i pozbawił ciężaru potężny sejf, który dyndał teraz pod sufitem, pośród osypujących się odłamków pokruszonego plastyku.

- Teraz toto znosi siłę ciężenia – powiedział Harnahan z goryczą. - Spróbujmy poskładać wszystko w jakąś sensowną całość. Jak na razie, wiemy, że: aparat znosi siłę ciężenia, czyni ludzi niewydzielnymi, zatrzymuje prąd i przyprawia Twilla o ból serca. Dla mnie oznacza to, ni mniej, ni więcej, tylko nihilizm.

- Rzeczywiście, sprawa przybiera zły obrót - zgodził się Van Damm. - Żeby mieć możliwość skierowania palnika na tę piekielną maszynkę, trzeba ją złowić. - Ruszył w stronę windy, zatrzymał się niezdecydowanie i włączył najbliższy nadzór telewizyjny. Wiadomości nie były pocieszające. Aparacik dostał się do kantyny i skwasił całe mleko.

- Chętnie bym go napuścił na Luxinghama - powiedział Harnahan. - Rozłożyłby mu cały biznes, ale, jak Bóg na niebie, toto chce nas rozłożyć! Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak tym można sterować?

- Telepatycznie - podsunął Van Damm po raz drugi. - Ale strach próbować. Sądząc po tym, co narozrabiał do tej pory, rozniósłby w neutronowy pył całą okolicę, gdybyśmy nim... ha!... próbowali sterować.

- Może on poddaje się tylko sterowaniu przez robota - powiedział Harnahan i naraz pstryknął palcami. Twarz mu się rozjaśniła.

- Poczekaj no! Mam pomysły. Thor II!

- Co?

- Drugi robot zbudowany według schematu Thora. Jest gotowy do użytku, całkowicie skończony, z pamięcią naładowaną, czym trzeba. Należy go tylko podłączyć do źródła energii. To jest myśl. My nie potrafimy odgadnąć, do czego ten aparat służy, ale robot typu Thora potrafi. To logiczne, nie uważasz?

- Aż za bardzo - odrzekł Van Damm z wahaniem. - A jeśli Thor II skieruje aparat na nas? Niewykluczone, że to jest urządzenie, które ma pomóc robotom w przejęciu władzy nad ludźmi.

- Teraz ty zaczynasz gadać od rzeczy - powiedział Harnahan. Włączył się na linię telewizyjną, żeby wydać polecenia i po chwili odwrócił rozpromienioną twarz. W ciągu piętnastu minut Thor II będzie gotowy do pracy dysponując inteligencją i kwalifikacjami wystarczającymi do podjęcia każdego problemu. Jednakże ten kwadrans dał im porządnie w kość. Aparacik, jakby go diabeł kusił, zwiedzał wszystkie po kolei wydziały olbrzymiej fabryki. Zamienił cenną partię sztabek złota w kupę zmatowiałego, bezwartościowego

w porównaniu ze złotem ołowiu. Gładko ściągnął odzienie z ważnego klienta na którymś z górnych pięter wieżowca. Sprawił, że wszystkie zegary zaczęły chodzić w odwrotnym kierunku. Złożył ponowną wizytę nieszczęsnemu Twillowi, przyprawiając go o kolejny atak serca, a do tego spowodował, że Twill zaczął świecić słabą, purpurową poświatą, która utrzymywała się jeszcze przez miesiąc.

Był to jakiś zły duszek, chochlik, błędny ognek. Zanim minęło owe piętnaście minut, w Kompanii panował większy zamęt, niż wtedy nawet, kiedy Luxingham skierował nad fabrykę bombowce. Wideołącza dalekiego zasięgu brzęczały wściekle. Twill wyrzaskiwał usprawiedliwienia i przekleństwa do swych współników w Nowym Jorku i w Chicago. Technicy i eksperci zderzali się w korytarzach. Helikopter krążył w powietrzu, gotów zestrzelić obiekt, gdyby ten próbował ucieczki. Niejeden z członków Kompanii modlił się w duchu, żeby to właśnie chciał uczynić...

Kapryśny, nieobliczalny, rozstrajający nerwy aparacik żeglował wesoło własnymi drogami, wyrządzając na dobrą sprawę niewiele szkód, o ile nie liczyć tego, że zdeorganizował całkowicie funkcjonowanie Kompanii. Harnahan obgryzał paznokcie czekając na Thora II. Kiedy robot był gotowy, natychmiast zjechał z nim windą do Van Damma, który tkwił z palnikami na niższym poziomie, gdzie ostatnio widziano aparat.

Van Damm obrzucił robota krytycznym spojrzeniem. - Czy jest już zaprogramowany i włączony?

- Tak - skinął głową Harnahan. - Thorze II, wiesz, o co nam chodzi, prawda?

Robot odpowiedział: - Tak, ale bez obejrzenia przyrządu nie jestem w stanie określić jego przeznaczenia.

- Jasne. - Van Damm chrząknął, gdy jakaś blondyna przemknęła obok nich z piskiem. - Prawdopodobnie znajdziemy go w tym gabinecie.

Poszedł przodem. Jak było do przewidzenia, gabinet zastali zupełnie opustoszały. W samym środku pokoju unosił się aparacik bucząc cichutko. Thor II minął Harnahana i stanął wpatrując się z napięciem w zagadkowy przyrząd.

- Czy to jest żywe? - zapytał Ha ma han ostrożnie.
- Nie.
- Do czego służy?
- Chwileczkę. Do rozwiązania problemu. Tak. Ale nie wiem, czy działa zgodnie z założeniem. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Thor II wystąpił naprzód. Przyrząd obrócił się w ten sposób, że soczewka zwrócona była w stronę robota. Jakiś instynkt ostrzegł Harnahana. Usłyszał, jak buczenie przybiera na sile i w tym momencie błyskawicznie runął na Van Damma. Obaj mężczyźni zwalili się za biurko. Przenośny palnik eksperta rąbnął ciężko o ścianę i spadając boleśnie uderzył Harnahana w nogę.

Ledwo to poczuł. Działy się różne rzeczy. Różowy jęzor światła migocząc wysunął się z soczewki i opłynął Thora II. Jednocześnie buczenie przeszło w ostry, szarpiący nerwy, krótkotrwały jęk. Zakończył się wstrząsem wybuchu, który oślepił i ogłuszył obu mężczyzn i przewrócił na nich biurko.

Harnahan kasłał rżężąc i coś bełkotał. Ku własnemu zdumieniu ciągle był żywy. Podniósł się w samą porę, by zobaczyć, jak Van Damm idzie chwiejnie wyciągając przed sobą plujący ogniem palnik wymierzony w kierunku przyrządu, który zresztą wcale nie próbował uciec. Zabłysnął szkarłatem i zaczął się topić. Kulki miedzi i innych metali kapwały na podłogę. Z głuchym stukotem aparat, a raczej

to, co z niego pozostało, spadł nieszkodliwy i martwy.

Van Damm zgasił palnik. Niskie buczenie ustało.

- Niebezpieczne to było - odezwał się spoglądając dzikim wzrokiem na Harnahana. - W ostatniej chwili go załatwiłem. Nic ci nie jest?

- W ostatniej chwili - powtórzył Harnahan pokazując palcem. - Popatrz no to!

Van Damm spojrział. Thora II spotkał ten sam los, co Thora I. Jego na wół stopiony wrak leżał koło drzwi.

Harnahan otarł ramieniem twarz i popatrzył na szerniałą plamę. Oparł się o biurko i z wolna na jego twarz wypłynął uśmiech. Van Damm obserwował go ze zdumieniem.

- Co u diabła...

Harnahan śmiał się niemal histerycznie. - To... to... zadziało! - Udało mu się wykrztusić. - Co... oo za szok dla Kompanii. Przyrząd zadziałał!

Van Damm chwycił inżyniera *za* ramiona i potrząsnął. Harnahan oprzytomniał, chociaż grymas uśmiechu wciąż błędził na jego wargach.

- Okej - powiedział w końcu. - Nie mogłem się powstrzymać. To jest takie komiczne.

- Ale co? - dopytywał się tamten. - Co dostrzegasz śmiesznego w...?

Harnahan złapał oddech. - Jesteśmy w potrzasku. Nie domyślasz się jeszcze, do czego służyła ta maszynka?

- Jakieś śmiertelne promieniowanie?

- Nie dotarł do ciebie sens tego, co powiedział Thor II? Że jest tylko jeden sposób, aby się przekonać, czy przyrząd jest w stanie wykonać to, do czego został przeznaczony?

- No więc co to było?

Harnahan zachichotał cichutko. - Logika. Weź na logikę. Czy pamiętasz nasze pierwsze roboty? Wszystkie były unieszkodliwiane przez konkurentów, więc skonstruowaliśmy niezniszczalne, jak nam się zdawało, roboty z duraloyu. A roboty zostały stworzone do rozwiązywania problemów - to była ich racja bytu. Wszystko szło jak z płatka, dopóki te roboty nie zaczęły wariować.

- Mówisz rzeczy oczywiste - powiedział Van Damm niecierpliwie. - Ale co to ma wspólnego z maszynką?

- Tamte wariowały - ciągnął Harnahan - bo zetknęły się z problemem, który je przerastał. To jest żelazna zasada psychologii. Thor natknął się na ten sam problem, ale rozwiązał go.

Przebłysk zrozumienia pojawił się na obliczu Van Damma.

- Są zniszczalne!

- Jasne. Wcześniej czy później wszystkie duraloyowe roboty zaczynały się zastanawiać nad problemem dla nich najzupełniej naturalnym - jak one same mogłyby zostać zniszczone. Zaprogramowaliśmy je w ten sposób, żeby myślały samodzielnie. Tylko dzięki temu można było uzyskać dobre maszyny myślące. Roboty, które skończyły w betonowych grobach, stanęły wobec problemu swej własnej zagłady, nie potrafiły go rozwiązać i powariowały. Thor I był inteligentniejszy. Znalazł odpowiedź. Ale istniał tylko jeden sposób, by ją sprawdzić. Na sobie samym!

- No a Thor II?

- To samo. Wiedział, że przyrząd zrobił swoje w przypadku Thora I. Ale nie wiedział, czy zadziała na niego. Roboty posługują się chłodną logiką, nie mają instynktu samozachowawczego. Thor II po prostu próbował sprawdzić, czy aparat rozwiąże jego problem.

- Harnahan przełknął ślinę. - No i sprawdził.
- Co powiemy Twillowi? - zapytał głucho Van Damm.
- A co możemy mu powiedzieć? Tylko szczerą prawdę. Że jesteśmy w potrzasku. Spośród wszystkich robotów, jakie potrafimy skonstruować, przydatne okazały się jedynie duraloyowe maszyny myślące, a te będą niszczyć same siebie, skoro tylko zaczną się zastanawiać, czy rzeczywiście są niezniszczalne. Każdy kolejny będzie chciał uzyskać koronny dowód - samozniszczenie. Jeżeli obniżymy im inteligencję, staną się bezużyteczne. Jeżeli nie zastosujemy duraloyu, Luxingham albo jakaś inna Kompania je unieszkodliwi. Roboty to fantastyczna rzecz, owszem, ale rodzą się z tendencjami samobójczymi. Wiesz co, Van Damm, obawiam się, że będziemy musieli powiedzieć Twillowi, iż Kompania znalazła się w potrzasku.

Słynny ekspert jęknął. - A więc takie było właściwe przeznaczenie maszynki, tak? Wszystkie pozostałe działania to były tylko działania uboczne urządzenia puszczonego samopas.

- Na to wychodzi. - Harnahan ruszył ku drzwiom omijając po drodze na wpół stopione szczątki robota. Popatrzył ponuro na wrak i westchnął. - Może kiedyś lepiej nam się uda. Ale w tej chwili wygląda, że wpadliśmy w potrzask. Nie powinniśmy nazywać go Thorem. - Wychodząc już na korytarz dorzucił: - Mam wrażenie, że imię Achilles byłoby właściwsze.

przełożyła *Monika Dutkowska*

KAMUFLAŻ

Kiedy Talman dotarł wreszcie do Knabhill Road, był zlany siódmym potem. Zmusił się do naciśnięcia guzika domofonu. Dało się słyszeć ciche brzęczenie, gdy fotokomórka sprawdzała odciski jego palców. Zaakceptowała je i drzwi się otworzyły. Talman wszedł do mrocznego korytarza. Obejrzał się za siebie w kierunku bazy kosmicznej, której światła mżyły zza wzgórz pulsującą nikłą poświatą.

Potem poszedł wzdłuż balustrady do luksusowo urządzonego pokoju, w którym tęgi, siwowłosy mężczyzna siedział w fotelu pieszcząc w rękę szklaneczkę whisky. W głosie Talmana wyczuwało się napięcie, kiedy powiedział:

- Cześć, Brown! Wszystko w porządku?

Obwisłe policzki Browna rozciągnęły się w uśmiechu. - Jasne - odparł. - Jakżeby inaczej. Chyba policja nie depcze ci po piętach?

Talman sięgnął do stojącego nie opodal barku i przyrządził sobie drinka. Jego szczupła, wrażliwa twarz kryła się w cieniu.

- Nie sposób dyskutować z własnym organizmem. Przestrzeń kosmiczna zawsze tak na mnie działa. Przez całą drogę z Wenus nie opuszczało mnie uczucie, że zaraz ktoś podejdzie do mnie i powie: „Jest pan wzywany na przesłuchanie”.

- Ale nikt taki się nie zjawiał.

- Nie wiedziałem, co mnie tutaj czeka.

- Policja nie wpadła na to, że weźmiemy kurs na Ziemię - powiedział Brown wicherząc siwe włosy bezkształtnym łapskiem. - To był twój pomysł.

- Taak. Psycholog doradca...

- ... przestępców. Chcesz się wycofać?

- Nie – odparł Talman szczerze. – Mając na względzie zyski, które kroją się nam już teraz. Stawka jest duża.

Brown uśmiechnął się szeroko. - Jasne, że duża. Nikt do tej pory nie organizował działalności przestępczej w taki sposób. Wszystkie przestępstwa były funta kłaków warte, dopóki my nie wzięliśmy się do dzieła.

- A jednak, na co nam w końcu przyszło? Wiejemy.
- Fern znalazł pewną kryjówkę.
- Gdzie?
- W Pasie Asteroidów. Z tym, że potrzebna będzie jedna rzecz.
- Co takiego?
- Elektrownia atomowa.

Talman wydawał się zaskoczony. Zorientował się jednak, że Brown nie żartuje. Po chwili odstawił szklankę i zmarszczył brwi.

- Według mnie to niemożliwe. Elektrownia atomowa jest zbyt wielka.

- Tak - odrzekł Brown. - Tylko że ta, o której mowa, leci na Cal-listo.

- Porwanie? Nie mamy tylu ludzi.
- Statek jest pilotowany przez Transplanta.

Talman przekrzywił głowę.

- Oj, to nie moja branża.

- Będzie też oczywiście załoga podstawowa. Ale nimi to my się już zajmujemy. I wskoczmy na ich miejsce. Potem pozostaje tylko kwestia wyłączenia Transplanta i przejęcia prowadzenia. To jest jak najbardziej twoja branża. Fern i Cunningham mogą odwalić stronę techniczną, ale najpierw musimy wiedzieć, jak dalece Transplant może być niebezpieczny.

- Nie jestem inżynierem.

Brown ciągnął dalej, puszczając mimo uszu uwagę. - Transplant, który prowadzi ten statek na Callisto, to były Bart Quentin. Ty go, zdaje się, znałeś?

Talman zaskoczony przytaknął: - Oczywiście. Wiele lat temu. Przed...

- Dla policji jesteś, jak dotąd, czysty. Zobacz się z Quentinem. Masz go przycisnąć i rozpracować. Cunningham ci wyjaśni, czego się trzeba dowiedzieć. Potem możemy brać się do dzieła. Mam nadzieję.

- Nie wiem. Nie jestem...

Brwi Browna opadły. - Musimy znaleźć kryjówkę! W tej chwili to jest sprawa absolutnie gardłowa. W przeciwnym razie możemy od razu odbyć spacer na najbliższy komisariat i włożyć ręce w kajdanki. Byliśmy górą, ale teraz - musimy się ukryć. Szybko!

- Dobra... Pojmuję. Tylko czy wiesz, czym jest naprawdę Transplant?

- Wyizolowany mózg. Taki, który może korzystać ze sztucznych przystawek.

- Od strony technicznej, tak. Widziałeś kiedyś Transplanta, który kieruje wielką koparką? Albo pogłębiarką na Wenus? To są niezwykle skomplikowane urządzenia i normalnie do ich prowadzenia potrzeba kilkanaście osób.

- Chcesz powiedzieć, że Transplant jest super-człowiekiem?

- Nie - odparł Talman wolno. - Nie to miałem na myśli. Ale mam wrażenie, że bezpieczniej jest zadrzeć z kilkunastoma ludźmi niż z jednym Transplantem.

- Dobra - powiedział Brown. - Jedź do Quebecu i zobacz się z Quentinem. Mam wiadomości, że jest tam teraz. Pogadaj najpierw z Cunninghamem. Trzeba dograć szczegóły. Musimy wiedzieć, jakimi

możliwościami Quentin rozporządza, jakie są jego słabe strony. I czy ma zdolności telepatyczne. Jesteś starym przyjacielem Quentina i jesteś psychologiem, więc to robota dla ciebie.

- Zgoda.
- Musimy dostać tę elektrownię. Musimy się ukryć, n a t y c h m i a s t !

Talman odniósł wrażenie, że Brown najprawdopodobniej zaplanował to wszystko od samego początku. Grubas miał głowę na karku; był dostatecznie bystry, by zdawać sobie sprawę, że zwykli przestępcy nie mają żadnych szans w świecie wspaniałej techniki i dociekliwych specjalistów. Organa policji miały do swej dyspozycji całą potęgę nauki. Łączność była sprawna i błyskawiczna nawet między planetami. Były urządzenia... Jedyłą szansą na powodzenie przestępczej akcji było działać błyskawicznie i równie szybko ulatniać się.

Ale taka akcja musi być przygotowana. Jeśli rzuca się wyzwanie zorganizowanej grupie, co czyni każdy kanciarz, najrozsądniej jest zorganizować analogiczną grupę. Maczuga nie może mierzyć się ze strzelbą. Z tych samych względów bandyta, rozporządzający tylko stalowymi mięśniami, skazany jest na rychłą wpadkę. Ślady, które pozostawił, będą przebadane; chemia, psychologia i kryminologia wytropią go i zmuszą do przyznania, bez wymuszania zeznań siłą. Tak więc...

Tak więc Cunningham był inżynierem elektronikiem. Fern - astrofizykiem. Talman - psychologiem. Wielki, jasnowłosy Dalquist był strzelcem z zamięłowania i zawodu, wspaniale opanowanym i fantastycznie szybkim w posługiwaniu się bronią. Cotton był matematykiem, a sam Brown pełnił funkcję koordynatora. Przez trzy

miesiące spółka z powodzeniem grasowała na Wenus. Po czym, jak było do przewidzenia, pętla się zacisnęła i cała szajka przeflancowała się z powrotem na Ziemię, gotowa realizować następny etap daleko-siężnego planu. Jakiego - Talman nie wiedział do tej pory. Ale bez trudu mógł zrozumieć logiczną konieczność najbliższego kroku.

W niezmiernym mrowiu Pasa Asteroidów mogli znaleźć kryjówkę na zawsze, wyłaniając się w razie potrzeby, aby wykonać kolejny skok przy nadarzającej się okazji. Całkowicie bezpieczni, mogli stworzyć podziemną organizację przestępczą z siatką szpiegowską obejmującą swymi mackami planety w różnych stronach wszechświata. Tak! To było konieczne! Jednak czuł się niepewnie na myśl, że przyjdzie mu się zmierzyć z inteligencją Quentina. Ten człowiek... nie był już... człowiekiem.

W drodze do Quebecu nie opuszczał go niepokój. Chociaż tak otrzaskany w kosmosie, czuł, że nie zdoła opanować zdenerwowania i zakłopotania przy spotkaniu z Quentinem. Starać się zignorować ten wypadek to byłoby zbyt... nienaturalne. A jednak... Pomyślał, że siedem lat temu Quentin był przystojnym, silnie zbudowanym mężczyzną i cieszył się sławą świetnego tancerza. Był ciekaw, co mogło się teraz dzieć z Lindą. Chyba w tych okolicznościach nie jest w dalszym ciągu panią Quentin? A może?

Obserwował Rzekę Świętego Wawrzyńca, matowosrebrną pręgę pod samolotem, który schodził do lądowania. Piloci automatyczni - lądowanie na wąskiej wiązce. Jedynie podczas gwałtownych huraganów stery przejmowali ludzie. W przestrzeni kosmicznej wszystko

wyglądało inaczej. Tam trzeba było rozwiązywać niezwykle skomplikowane zadania, którym tylko umysł ludzki był w stanie sprostać. I to nie każdy umysł.

Taki umysł jak Quentina.

Talman potarł wąską szczękę i uśmiechnął się blado usiłując sprecyzować źródło swego niepokoju. W końcu je znalazł. Czy Quentin w swym nowym wcieleniu ma więcej niż pięć zmysłów? Czy może odbierać impulsy, na które normalny człowiek nie reaguje? Jeśli tak, to Van Talman by wpadł z kretesem.

Zerknął na swego sąsiada, Dana Summersa z Ośrodka Inżynierii w Wyoming, dzięki któremu nawiązał kontakt z Quentinem. Summers, jasnowłosy, młody człowiek z kurzymi łapkami wokół oczu, uśmiechnął się zdawkowo.

- Nerwy?

- Chyba tak - powiedział Talman. - Zastanawiałem się, czy bardzo się zmienił.

- Rezultaty w każdym przypadku są inne.

Sterowany radarem samolot spłynął wzdłuż zboczy zalanych zachodzącym słońcem w kierunku lotniska. Rozjarzone wieżowce Quebecu tworzyły nieregularne tło.

- A więc się zmieniają?

- Wydaje mi się, że psychicznie muszą się zmieniać. Pan jest psychologiem, panie Talman. Jakby się pan czuł, gdyby...

- Może zyskują coś w zamian?

Summers roześmiał się. - Skromnie powiedziane. Coś w zamian... Między innymi w zamian otrzymują... nieśmiertelność.

- Uważa to pan za dobrodziejstwo? - zapytał Talman.

- Owszem. Tak uważam. Zachowa on szczytową formę przez Bóg wie, jak długi czas. Żadnej degeneracji. Produkty toksyczne są automatycznie usuwane z organizmu przez irradację. Komórki mózgowe nie mogą się oczywiście odradzać w ten sposób... jak, dajmy na to... tkanka mięśniowa, ale specjalna obudowa chroni mózg przed wszelkimi uszkodzeniami. Arterioskleroza nie stanowi problemu - przy zastosowaniu naszego roztworu plazmy, wapń nie osiada na ściankach tętnic. Parametry fizyczne jego mózgu są kontrolowane automatycznie z najwyższą precyzją. Jedyne dolegliwości, jakie mogą kiedykolwiek nękać Quentina, są natury umysłowej.

- Klaustrofobia... Nie. Mówił pan, że ma narząd wzroku. Wyczucie przestrzeni dokonuje się u niego automatycznie.

- Jeżeli zauważy pan jakąś zmianę, wyłączając te, które w sposób oczywisty wynikają z normalnego rozwoju umysłu w ciągu siedmiu lat, będzie to dla mnie interesujące - oznajmił Summers. - Co do mnie, no cóż, rosłem razem z Transplantami. Tak jak lekarz nie traktuje swojego przyjaciela niczym kłęb nerwów i żył, tak ja rzadko myślę o ich mechanicznych ciałach z wymiennymi częściami. Ważna jest zdolność rozumowania, a ta się nie zmienia.

Talman powiedział w zamyśleniu: - Jednak jest pan dla Transplanta kimś w rodzaju lekarza. Człowiek postronny może reagować zupełnie inaczej. Szczególnie, jeśli miał zwyczaj patrzeć... w twarz.

- Nigdy nie uświadamiam sobie tego braku.

- A Quentin?

Summers zawahał się. - Nie - stwierdził wreszcie - jestem pewien, że nie. Jest doskonale przystosowany. Okres adaptacji do życia Transplanta trwa mniej więcej rok. Potem wszystko idzie jak po maśle.

- Widziałem Transplanty z pewnej odległości przy pracy na Wenus. Ale rzadko spotyka się je poza Ziemią.

- Nie mamy dostatecznej liczby wyszkolonych specjalistów. Trzeba poświęcić dosłownie połowę życia, żeby opanować technikę Transplantacji. Człowiek musi być wykwalifikowanym elektronikiem, żeby w ogóle mógł zacząć. - Summers roześmiał się. - Tyle że towarzystwa ubezpieczeniowe pokrywają gros wstępnych kosztów.

Talman był zdumiony. - A to dlaczego?

- Oni wykupują polisę. Ryzyko zawodowe, nieśmiertelność. Badania atomowe są niebezpieczne, drogi panie!

Wyszli z samolotu w chłodne powietrze nocy. Po drodze do oczekującego ich samochodu Talman opowiadał: - Rośliśmy razem: ja i Quentin. Ale opuściłem Ziemię dwa lata przed jego wypadkiem i od tamtej pory nigdy go nie widziałem.

- Jako Transplanta? Uhu-hu! Swoją drogą niefortunna nazwa. Jakiś bezmyślny osioł przykleił taką etykietkę, chociaż wymyślanie nazw powinni zająć się spece od propagandy. Niestety, nazwa się przyjęła. Mamy nadzieję upowszechnić te... Transplanty. Jeszcze nie teraz. Stawiamy dopiero pierwsze kroki. Na razie mamy tylko dwustu trzydziestu, mówię o udanych.

- Dużo było porażek?

- Teraz już nie. Na początku... To skomplikowany proces. Od wstępnej trepanacji po końcowe zasilanie i ponowne usprawnienie jest to najbardziej szarpiące nerwy i drenujące umysł, najtrudniejsze technicznie zadanie, z jakim mózg ludzki kiedykolwiek się zmierzył. Rzecz polega na zgraniu mechanizmu koloidowego z

elektronicznym - ale efekt wart jest wysiłku.

- W aspekcie technicznym. Ciekawe, jak z aspektem ludzkim?

- Chodzi o psychikę? Nno... wie pan, Quentin naświetli panu to zagadnienie. Natomiast kwestie techniczne nie zostały rozwiązane nawet w połowie. Jak dotąd nie wynaleziono maszyny koloidalnej w rodzaju mózgu. I to nie jest sprawa czysto mechaniczna. Przecież to cud - synteza myślącej, żywej tkanki z delikatną, czułą maszyną.

- Ale maszyna stanowi ograniczenie dla mózgu i na odwrót.

- Zobacz pan. Jesteśmy na miejscu. Będziemy na obiedzie u Quentina.

Talman wytrzeszczył oczy. - Na obiedzie?

- Czemu nie? - Oczy Summersa wyrażały kpiące rozbawienie. - Nie, on nie jada metalowych opilków. Naprawdę...

Talman przeżył pełen zdumienia szok, kiedy spotkał Lindę. Nie spodziewał się jej ujrzeć. Nie teraz, w tak zmienionych okolicznościach. Ale ona sama zmieniła się niewiele, wciąż była tą samą ciepłą, przyjazną kobietą, jaką zapamiętał, nieco teraz starszą, ale w dalszym ciągu bardzo piękną i pełną wdzięku. Zawsze miała wiele uroku. Była wysoka i smukła z dziwaczną fryzurą miodowobursztynowych loków wokół głowy. W brązowych oczach daremnie by szukać napięcia, którego można by się spodziewać.

Ujął jej rękę. - Nie mów tego - odezwał się. - Wiem, ile czasu upłynęło.

- Nie będziemy liczyć lat, Von - roześmiała się. - Zaczniemy w tym samym miejscu, w którym się rozstaliśmy. Z kieliszkiem, co?

- Jeden by nie zawadził - powiedział Summers - ale muszę złożyć sprawozdanie w centrali. Chciałbym się tylko na chwilę zobaczyć z Quentinem. Gdzie on jest?

- Tam - Linda skinęła w stronę drzwi i ponownie zwróciła się ku Talmanowi. - A więc byłeś na Wenus? Słońce cię wypaliło. Opowiedz, jak tam było?

- W porządku. - Wziął mikser z jej rąk i pieczołowicie mieszał martini. Był zakłopotany.

Linda uniosła brwi.

- Tak. Jesteśmy w dalszym ciągu małżeństwem. Bart i ja. Widzę, że cię to dziwi.

- Trochę.

- To jest wciąż Bart – powiedziała spokojnie.

- Zapewne inaczej wygląda, ale pozostał tym samym człowiekiem, za którego wyszłam. Możesz więc odetchnąć, Von.

Nalał martini. Nie patrząc na nią powiedział:

- Póki ci to odpowiada...

- Wiem, co masz na myśli. Że to tak, jakbym miała maszynę za męża. Z początku... No cóż, jednak przewyciężyłam to odczucie. Oboje przewyciężyliśmy je po pewnym czasie. Były opory. Przypuszczam, że też tak zareagujesz, kiedy go zobaczysz. Tylko, że tamto naprawdę nie jest ważne. To jest... Bart.

Podsunała Talmanowi trzeci kieliszek do napełnienia. Spojrzał zdumiony.

- Nie...

Skinęła głową.

Zasiedli do stołu we troje. Talman obserwował cylinder o rozmiarach trzydzieści na trzydzieści spoczywający na stole naprzeciwko niego i usiłował wyczytać osobowość i inteligencję z podwójnych soczewek. Nie mógł opędzić się od myśli, że Lindzie przypadła rola kapłanki, służącej jakiemuś nieznanemu bożkowi, i ta wizja wytrącała go z równowagi. Linda właśnie wkładała widelcem schłodzone, polane sosem krewetki w metalową przegródkę, po czym, na sygnał ze wzmacniacza, wyjmowała je łyżką.

Talman spodziewał się płaskiego, bezbarwnego głosu, ale sonovox nadawał wypowiedziom Quentina głębię i *timbre*.

- Te krewetki są całkiem jadalne, Van. Tylko przyzwyczajenie każe nam wyrzucać jedzenie, które znajdowało się w moim pojemniku pokarmowym. Czuję smak potraw normalnie, ale nie mam soków trawiennych.

- Ty... kosztujesz je?

Quentin zaśmiał się krótko. - Słuchaj, Van. Przestań udawać, że przyjmujesz wszystko jako rzecz naturalną. Do tego każdy musi się przyzwyczać.

- Ja potrzebowałam sporo czasu - powiedziała Linda. - Ale później łapałam się na tym, że traktuję to jak jeszcze jeden głupi żart Quentina, do których zawsze był skłonny. Pamiętasz, jak kiedyś wystąpiłeś w pełnej zbroi na posiedzeniu rady nadzorczej w Chicago?

- No i dopiąłem swego - powiedział Quentin. - Nie pamiętam już, o co wtedy chodziło, ale... mówiliśmy o zmyśle smaku. Czuję smak tych krewetek, Van. Owszem, pewne niuanse giną, te bardziej subtelne doznania. Ale i tak pozostaje mi więcej niż rozróżnienie między słodkim kwaśnym, słodkim gorzkim. Już od lat maszyny

mogą odróżniać smaki.

- Ale nie ma trawienia.
- Ani kurczów żołądka. Brak dolegliwości gastrycznych wynagrodzą mi niedostatki we wrażeniach smakowych.
- I nie miewasz już czkawki, Bogu dzięki - dorzuciła Linda.
- Mogę również rozmawiać z pełnymi ustami - ciągnął Quentin - ale nie jestem supermózgiem z ciałem maszyny, jak to sobie podświadomie wyobrażasz, stary. Nie zionę śmiertcionośnymi promieniami.

Talman uśmiechnął się niepewnie. - Naprawdę tak myślałem?

- Założę się, że tak. Ale - ton jego głosu zmienił się - nie jestem super. W głębi duszy jestem aż nadto ludzki. I nie myśl sobie, że nigdy nie tęsknię za dawnymi czasami. Leżeć tak sobie na plaży i czuć słońce na skórze. O, takie drobnostki. Tańczyć w takt muzyki i...

- Kochanie - przerwała Linda.

Ton zmienił się znowu. - Ano tak. Małe, błahe sprawy, które stanowią o pełni życia. Ale mam teraz za to substytuty - równorzędne doznania. Doznania zupełnie niemożliwe do opisania, gdyż są to... powiedzmy... wibracje elektroniczne w miejsce znanych nam wibracji nerwowych. Mam zmysły, ale funkcjonujące poprzez narządy mechaniczne. Impulsy, docierające do mego mózgu, są automatycznie tłumaczone na znane symbole. Albo - zawahał się - teraz już niezupełnie.

Linda włożyła kawałek garniowanej ryby do przegródki pokarmowej.

- Złudzenie wielkości, co?

- Złudzenie przemiany. Choć nie, to nie złudzenie, naj-
milsza... Widzisz, Van, kiedy stałem się Transplantem, z początku
nie miałem porównawczego wzorca poza tamtym, narzuconym
wcześniej. Nadawał się on tylko i wyłącznie do ciała ludzkiego. Kiedy
później odbierałem bodźce od przystawki stymulującej, automatycz-
nie czułem się tak, jakbym siedział w samochodzie i trzymał nogę na
gazie. Teraz te dawne symbole się zacierają. Ja... odczuwam teraz...
bardziej bezpośrednio, bez przekładania impulsów na obrazy z daw-
nych czasów.

- Tak jest pewnie szybciej - zauważył Talman.

- Ma się rozumieć. Nie muszę myśleć o wartości „pi”, kiedy do-
ciera do mnie znak „pi”. Nie muszę rozwiązywać równania. Zaczy-
nam odczuwać, co ono oznacza.

- Synteza z maszyną?

- A jednak nie jestem robotem. To nie narusza mojej tożsamo-
ści, istoty jestestwa Barta Quentina. - Zapadła chwila milczenia i
Talman pochwycił baczne spojrzenie Lindy skierowane w stronę
cylindra. Po chwili Quentin podjął temat tym samym tonem. - Znaj-
duję niesamowitą przyjemność w rozwiązywaniu problemów. Zawsze
tak było. Ale teraz nie poprzestaję na teorii. Sam przeprowadzam
całą pracę od koncepcji do finału. Zatapiam się w pracy aż do granicy
transu i, Van, wtedy jestem maszyną!

- Maszyną? - powtórzył Talman.

- Czy zauważyłeś kiedyś prowadząc samochód albo samolot, jak
człowiek identyfikuje się z maszyną? Staje się ona jakby przedłuże-
niem ciebie. Ja idę o krok dalej. I to daje satysfakcję. Wyobraź sobie,
że możesz krańcowo nasilić empatię i s t a ć się jednym ze swoich
pacjentów, któremu pomagasz wybrnąć z trudnej sytuacji. To jest...
ekstaza.

Talman obserwował, jak Linda wlewa białe wino do oddzielnej przegródki.

- Czy zdarza ci się teraz upijać? - zapytał.

Linda zachichotała.

- Alkoholem nie, ale Bart bywa pod dobrą datą, ot co.

- W jaki sposób?

- Domyśl się - powiedział Quentin wyraźnie zadowolony z siebie.

- Alkohol zostaje wprowadzony w krwioobieg i tą drogą dostaje się do mózgu na zasadzie, powiedzmy, zastrzyków dożylnych czy coś w tym rodzaju?

- Wolalbym wpuścić sobie jad żmii do układu krążenia - odparł Transplant. - Równowaga metaboliczna jest u mnie tok czuła, tak precyzyjnie zestrojona, że wprowadzenie obcych substancji zdeorganizowałyby ją całkowicie. Nie, ja stosuję bodźce elektryczne - prąd indukcyjny o wysokiej częstotliwości - to mnie wprawia w stan nieważkości.

Talman wytrzeszczył oczy. - I to ma być ten substytut?

- Właśnie. Widzisz, Van, picie i palenie to środki drażniące. Tak samo jak myślenie, jeśli już o tym mowa! Kiedy nachodzi mnie psychiczna potrzeba pójścia w gaz, mam tu takie urządzonek, które dostarcza bodźców drażniących - i założę się, że jestem potem na lepszym rauszu niż ty po kwarcie meskalu.

- Cytuje Housmana - wtrąciła Linda. - I naśladuje zwierzęta. Dysponując taką kontrolą tonów Bart robi to fantastycznie. - Uniosła się. - Przepraszam was na moment. Przy całej tej kuchennej automatyzacji ciągle trzeba naciskać jakieś guziki.

- Może w czymś pomóc? - zaofiarował się Talman.

- Nie. Dziękuję. Posiedź sobie z Bartem. Czy mam ci przyczepić rękę, kochanie?

- Nie, nie - odparł Quentin. - Van zajmie się napojami dla mnie. Zwiększ napięcie, Lindo. Summers mówił, że wkrótce znowu wracam do roboty.

- Statek jest gotowy?

- Prawie.

Linda przystanąła w drzwiach zagryzając wargi. - Nigdy się z tym nie pogodzę, że sam jeden masz pilotować statek kosmiczny. Zwłaszcza tę krypę.

- Być może zmontowano ją trochę na wariata, ale do Callisto doleci.

- No tak... Będzie przecież załoga podstawowa, prawda?

- Będzie - odparł Quentin - ale nie będzie potrzebna. Towarzystwa ubezpieczeniowe wymagają awaryjnej załogi. Summers odwalił kawał roboty w ciągu sześciu tygodni przygotowując statek do rejsu.

- Przy pomocy gumy do żucia i spinaczy - zauważyła Linda. - Mam nadzieję, że będą trzymały. - Wyszła, a Quentin śmiał się cicho.

Zapadło milczenie. Teraz silniej niż dotychczas Talman odczuł, że jego towarzysz był... był... że się zmienił. Czuł bowiem na sobie spojrzenie Quentina, a przecież Quentina tam nie było.

- Poproszę o brandy - powiedział głos. - Nalej mi trochę do kasetki.

Talman chciał spełnić życzenie, ale Quentin go powstrzymał. - Nie z butelki. To stare dzieje, kiedy mieszałem rum i colę w ustach. Posłuż się inhalatorem. O tak. Dobrze. Napij się sam i powiedz, co czujesz?

- W związku...?

- Wiesz chyba.

Talman podszedł do okna i stał zapatrzony w odbicia światła jarmazynowych na wodach Rzeki Świętego Wawrzyńca. - Siedem lat, Quentin. Trudno przyzwyczać się do ciebie w tej postaci.

- Niczego nie straciłem.

- Nawet Lindy - powiedział Talman. - Szczęściarz z ciebie.

Quentin odparł spokojnie: - Pozostała ze mną. Ten wypadek pięć lat temu zniszczył mnie. Grzebałem się wtedy w badaniach atomowych i byłem świadomy ryzyka, jakie się z tym wiąże. Po eksplozji zostały ze mnie strzępy, krwawe ochłapy mięsa. Nie myśl, że nie braliśmy z Lindą wcześniej pod uwagę tej możliwości. Wiedzieliśmy, jakie jest ryzyko zawodowe.

- Mimo to...

- Doszliśmy do wniosku, że małżeństwo można utrzymać, nawet jeśli... Ale później nastawałem na rozwód. Ona mnie przekonała, że mimo wszystko uda się nam żyć razem. I udaje się.

Talman skinął głową. - Takie odnoszę wrażenie.

- I to... mnie... trzymało przez długi czas - powiedział Quentin cicho. - Znałeś moje uczucia do Lindy. Zawsze uzupełnialiśmy się wręcz idealnie. Nawet teraz, w tak zmienionych warunkach się przystosowaliśmy.

Niespodziewany śmiech Quentina zmusił psychologa do odwrócenia się na pięcie.

- Van, nie jestem jakimś monstrum. Nie myśl tak. -

- Wcałe tak nie myślałem - zaprotestował Talman. - Ty jesteś...

- Czym?

Kolejne milczenie. Quentin chrząknął. - W ciągu pięciu lat nauczyłem się dostrzegać, jak ludzie na mnie reagują. Poproszę jeszcze brandy. Wciąż mi się zdaje, że czuję jej smak na podniebieniu. Dziwne, jak się te skojarzenia człowieka trzymają.

Talman podał trunek z inhalatora. - A więc uważasz, że wyjąwszy stronę fizyczną nie zmieniłeś się?

- A ty uważasz, że jestem surowym mózdzkiem w metalowym cylindrze. Nie mającym nic wspólnego z facetem, z którym złopałeś wodę na Trzeciej Alei. Och, zmieniłem się, na pewno. Ale to jest normalna zmiana. To, że człowiek ma kończyny w postaci metalowych przystawek, nie jest samo w sobie niczym wstrętnym. To tylko jeden krok dalej od jeżdżenia samochodem. Gdybym był rodzajem supermaszyny, jak podświadomie o mnie myślisz, byłbym skrajnym introwertykiem, który nie odrywa się od obliczeń astronomicznych. - Quentin zaklął wulgarnie. - Dostałbym kręćka, gdyby mi na to przyszło. Dlatego że nie jestem superczłowiekiem. Jestem normalnym facetem, niezłym fizykiem, który musiał dostosować się do nowego ciała, co oczywiście niesie ze sobą pewne niedogodności.

- Jakie na przykład?

- Zmysłły czy też ich brak. Staralem się wypracować wiele metod kompensacji. Czytam literaturę eskapistyczną, upijam się podrażnieniem elektrycznym, nawet kosztuję potraw, mimo że nie mogę jeść. Oglądam telewizję. Usiłuję znaleźć ekwiwalent wszystkich typowo ludzkich przyjemności. To daje równowagę, która jest tak bardzo potrzebna.

- Zapewne. Ale czy to jest skuteczne?

- Posłuchaj! Mam oczy, które odróżniają najsubtelniejsze odcienie i tony kolorów. Mam przyczepy zastępujące ręce, które są tak sprawne, że mogę posługiwać się mikroskopijnymi przyrządami. Potrafię rysować i pod pseudonimem zyskałem sporą popularność jako karykaturzysta. To na marginesie mojej działalności. Dalej zasadniczą sprawą pozostaje dla mnie fizyka i jest to ciągle piękna

sprawa. Znasz pewnie uczucie niezmażonej rozkoszy, kiedy uda ci się rozwikłać problem z zakresu geometrii czy elektroniki, czy psychologii - czy z jakiegokolwiek innej dziedziny. Obecnie rozwiązuję zadania nieskończenie bardziej złożone i to zarówno takie, które wymagają reakcji w ułamku sekundy, jak i takie, które wymagają rozważań. Jak na przykład prowadzenie statku kosmicznego. Daj jeszcze brandy. Szybko się ulatnia w gorącym pokoju.

- Wciąż jesteś Bartem Quentinem - powiedział Talman - ale mocniej w to wierzę, gdy mam zamknięte oczy. Pilotowanie statku...

- Nie straciłem żadnej ludzkiej cechy - obstawał przy swoim Quentin. - Nie zmieniły się fundamentalne cechy emocjonalne. To... to naprawdę nie jest miłe, kiedy tak wkraczasz tutaj i wytrzeszczasz na mnie oczy, ale potrafię to zrozumieć. Tak długo byliśmy przyjaciółmi, Van. Być może zapomnisz o tym wcześniej niż ja.

Talman poczuł nagle na brzuchu krople zimnego potu. Ale po ostatnich słowach Quentina uświadomił sobie, że częściowo otrzymał odpowiedź, po którą przybył do Quebecu. Ten Transplant nie ma nadnaturalnej mocy i nie ma zdolności telepatycznych.

Oczywiście należało rozszyfrować jeszcze wiele innych spraw.

Nalał sobie następną brandy i uśmiechnął się do matowo lśniącego cylindra po drugiej stronie stołu. Z kuchni dobiegało ciche nuciwanie Lindy.

Ten statek kosmiczny nie miał nazwy z dwóch powodów. Po pierwsze, miał odbyć tylko jeden rejs na Callisto; drugi powód był osobliwszy. Nie był to statek z ładunkiem. Był to ładunek ze statkiem.

Elektrownie atomowe to nie są zwykłe generatory, które można zdemontować i załadować na byle jaki pojazd. Są one niesamowicie wielkie, nieporęczne i poczwórne. Potrzeba dwóch lat na ukończenie montażu stosu atomowego, a potem, gdy się to osiągnie, pierwsza faza rozruchu musi być przeprowadzona na Ziemi przez nieprawdopodobnych rozmiarów elektrownię sterującą, która zajmuje powierzchnię siedmiu okręgów w Pensylwanii. W Ministerstwie Miar, Wąg i Mocy w Waszyngtonie przechowuje się w szklanej gablocie metalowy pręt ze stabilizacją temperatury - jest to wzorzec metra. Podobnie w Pensylwanii znajduje się obwarowany niewiarygodnymi środkami ostrożności jedyny kluczowy wyzwalacz atomowy w Układzie Słonecznym.

Jeżeli chodzi o paliwo, należało spełnić tylko jeden warunek; powinno zostać przepuszczone przez druciane sito o mniej więcej calowej średnicy oczka. Była to zasada czysto umowna, wprowadzona dla udogodnienia, bo łatwiej stosować paliwo znormalizowane. Poza tym elektrownia atomowa zadowalała się byle jaką strawą.

Niewielu ludzi igrało z energią atomową - zabawa nie była bezpieczna. Inżynierowie zatrudnieni przy pracach badawczych pracowali na zmiany. Mimo to jedynie gwarancja nieśmiertelności zapobiegała przeradzaniu się neuroz w psychozy.

Elektrownia atomowa przeznaczona na Callisto z powodu swych olbrzymich rozmiarów nie nadawała się do załadowania nawet na największy statek którejkolwiek linii handlowej, jednakże na Callisto dotrzeć musiała. Tak więc inżynierowie dobudowali statek do elektrowni. Nie był to ściśle biorąc prototyp statku, ale prezentował się

całkowicie niestandardowo. Niektóre elementy konstrukcji ekstrawagancko odbiegały od przyjętych norm. Wyjątkowym wymogom, które zostały postawione, sprostano stosując pomysłowe, często nieortodoksyjne rozwiązania. Ponieważ całkowity nadzór nad statkiem miał spoczywać w rękach Transplanta, dla wygody niewielkiej awaryjnej załogi przewidziano jedynie prowizoryczne pomieszczenia. Założono, że personel nie będzie się szwendać po całym statku, o ile nie nastąpi jakaś awaria, lecz awaria była prawie niemożliwa. W rzeczywistości pojazd na dobrą sprawę był żywą istotą. Ale niezupełnie.

Transplant miał terminale peryferyjne: narządy - w przeróżnych działach olbrzymiego pojazdu. Były one wyspecjalizowane w wykonywaniu poszczególnych zadań. Poza słuchem i wzrokiem nie podłączono innych zmysłów. Quentin był na tę okazję po prostu supernadzorem lotu statku kosmicznego. Summers wniósł cylindro-mózg do pojazdu, umieścił go - gdzieś! - podłączył i na tym prace konstrukcyjne zostały zakończone.

O północy ruchoma elektrownia wystartowała na Callisto. Kiedy miała już za sobą jedną trzecią drogi do orbity Marsa, sześciu mężczyzn w skafandrach kosmicznych wkroczyło do olbrzymiej kabiny - wyjętej jakby z sennego koszmaru technika.

Ze ściennego głośnika rozległ się głos Quentina:

- Van, co ty tu robisz?
- Okej - powiedział Brown. - To tutaj. Teraz pójdzie szybko. Cunningham, zlokalizuj miejsce połączenia. Dalquist, trzymaj broń w pogotowiu.

- Co mam mieć na oku? - zapytał rosły blondyn.

Brown rzucił spojrzenie Talmanowi. - Pewien jesteś, że nie może się poruszać?

- Jestem pewien - odparł Talman, szukając czegoś oczyma. Czuł się obnażony pod spojrzeniem Quentina i było mu nieswojo.

Cunningham chmurny, zmarszczony i zasepiony odezwał się: - Nie ma możliwości żadnego ruchu poza samym lotem. Byłem tego pewien jeszcze przedtem, nim Talman to wyniuchał. Kiedy Transplanta podłącza się do jakiejś pracy, wyposaża się go jedynie w takie urządzenia, których ta praca wymaga.

- Dobra. Nie trać czasu na gadanie. Przerwij obwód.

Cunningham wpatrywał się przez szybkę swego wizjera. - Chwileczkę, to nie jest typowa aparatura. Eksperymentalna... unikalna. Muszę odszukać parę... hm.

Talman ukradkiem próbował zlokalizować soczewki oczne Transplanta, ale bez powodzenia. Był świadom, że z któregoś punktu w tym labiryncie rur, lin, drutów, przewodów i wszelakich technicznych rupieci Quentin patrzy na niego. Z kilku punktów bez wątpienia - musi tu być pełnopanoramiczny ogląd za pomocą oczu rozmieszczonych strategicznie po całym pomieszczeniu.

A pomieszczenie było wielkie, jak przystało na kabinę centrali nadzoru lotu. Rozjaśnione mgliście żółtym światłem przez swój wyniosły pusty ogrom przywodziło na myśl dziwną nieziemską katedrę, na jej tle sześciu mężczyzn wydawało się karłami. Nagie przewody gigantycznych rozmiarów brzęczały i iskrzyły się, potężne lampy elektronowe płonęły niesamowicie. Wzdłuż ścian, powyżej ich głów, biegł stalowy pomost, dwadzieścia stóp nad nim - stalowa balustrada jako ewentualne zabezpieczenie. Prowadziły tam dwie drabiny

ustawione na przeciwległych ścianach. Nad głowami zwieszał się globus nieba, przytłumione pulsowanie olbrzymiej mocy dudniło w przesiąkniętym chlorem powietrzu. Głośnik odezwał się. - Cóż to, piractwo?

- Możesz to tak nazwać. - Niedbale odparł Brown. - I bądź spokojny. Nic ci się nie stanie. Być może odesłemy cię nawet na Ziemię, jeśli znajdzie my sposób, żeby to zrobić bez ryzyka.

Cunnigham badał płataninę przewodów starając się niczego nie dotykać.

Quentin odezwał się ponownie: - Ten ładunek nie jest wart porwania. Wiecie przecież, że nie przewożę radu.

- Potrzebna mi elektrownia - rzucił Brown szorstko.
- Jak dostaliście się na pokład?

Brown uniósł rękę, żeby obetrzeć pot z twarzy, i pohamował się z grymasem na ustach. - Cunnigham, znalazłeś już coś?

- Muszę mieć trochę czasu. Ja jestem tylko od elektroniki. Co za pieprzony układ. Fern, chodź no mi pomóc.

Nieprzyjemne samopoczucie Talmana rosło. Uświadomił sobie, że Quentin, wyjąwszy pierwszą reakcję zaskoczenia, ignoruje go. Jakiś niewytłumaczalny przymus kazał mu przechylić do tyłu głowę i wymówić imię Quentina.

- A więc? - spytał Quentin. - Należysz do tego gangu?
- Tak.
- I sprawdzałeś mnie wtedy, w Quebecu. Żeby się przekonać, czy jestem niebezpieczny.

Talman nadał swemu głosowi beznamiętne brzmienie. - Musieliśmy się upewnić!

- No tak. Jak dostaliście się na pokład? Radar automatycznie

wychwytuje zbliżające się obiekty. Nie mogliście w przestrzeni podprowadzić swego statku w pobliże naszego.

- Nie próbowaliśmy tego. Pozbyliśmy się awaryjnej załogi i włożyliśmy ich skafandry.

- Pozbyliście się ich?

Talman podniósł wzrok na Browna. - Cóż nam innego pozostało? Gdy gra idzie o tak wielką stawkę, nie możemy pozwolić sobie na półśrodki. Z czasem, gdy zaczniemy realizować nasze plany, stanowią one zagrożenie. Nikt oprócz nas, i ciebie, nie może nic wiedzieć. - Talman raz jeszcze spojrzął na Browna. - Wydaje mi się, Quentin, że powinieneś przyłączyć się do nas.

Głośnik zignorował groźbę, którą wyczuwało się w tej propozycji.

- Do czego jest wam potrzebna elektrownia?

- Wyszukaliśmy sobie asteroidę - powiedział Talman odchylając się do tyłu, żeby zlustrować wielkie, zagracone wnętrza statku. Odrobinę kręciło mu się w głowie od tutejszej mglistej, trującej atmosfery. Niemal czekał, żeby Brown przerwał mu raptownie, ale grubas nie odezwał się ani słowem. Jak dziwnie trudno mówić przekonująco do kogoś, o kim nie wiadomo, gdzie się znajduje. - Szkopuł jest tylko jeden: nie ma tam powietrza. Mając elektrownię będziemy mogli wytwarzać powietrze. Trzeba by cudu, żeby ktokolwiek znalazł nas w Pasie Asteroidów.

- A co dalej? Piractwo?

Talman nie odpowiedział. Z głośnika dalej wydobywał się zamysłony głos: - Taki numer miałyby szanse powodzenia. Przynajmniej do czasu. Wystarczająco długo, żeby sporo zgarnąć. Nikt by nie wpadł na coś takiego. Tak, ten pomysł mógłby się udać.

- A więc - powiedział Talman - skoro tak myślisz, jaki powinien być następujący logiczny krok?

- Nie taki, jak ci się zdaje. Nie przystąpię do was. Nie tyle ze względów moralnych, co samozachowawczych. Byłbym dla was bezużyteczny. Transplanty są potrzebne tylko w świecie wysoko rozwiniętej i powszechnej cywilizacji. Dla was byłbym zbędnym ciężarem.

- Jeśli dam ci słowo...

- Nie ty tu rządysz - odparł Quentin. Talman odruchowo posłał kolejne spojrzenie w stronę Browna. Ze skrzynki głośnika na ścianie wydobył się dziwny dźwięk, jakby stłumiony śmiech.

- W porządku - powiedział Talman wzruszając ramionami. - Jasne, że nie opowiesz się za nami od razu. Przemyśl to. Pamiętaj, że nie jesteś już Bartem Quentinem - masz pewne techniczne niedostatki. Nie zostało co prawda zbyt wiele czasu, ale możemy poświęcić kilka - powiedzmy dziesięć minut - zanim Cunningham skończy przegląd. Później... Słuchaj, Quentin, my tu nie gramy na zapalki. - Zaciął usta. - Jeśli przystaniesz do nas i poprowadzisz statek według naszych rozkazów, będziemy mogli sobie pozwolić na darowanie ci życia. Ale decydować musisz się szybko. Cunningham zaraz cię wytropi i przejmie sterowanie. A wówczas już...

- Skąd masz pewność, że można mnie wytropić? - zapytał Quentin spokojnie. - Wiem dobrze, ile warte byłoby moje życie, gdybym was doprowadził tam, gdzie chcecie. Nie jestem wam potrzebny. Nie jesteście w stanie zapewnić mi odpowiedniej egzystencji, nawet gdybyście chcieli. Nie, zwyczajnie podzieliłbym los tych członków załogi, których załatwiliście na początku. Postawię wam moje ultimatum.

- Co nam postawisz?

- Siedzicie cicho i niczym nie majstrujcie, to wyląduję w nie zamieszkaną część Callisto i pozwolę wam wszystkim uciec - oznajmił Quentin. - A jeśli nie, to niech was Pan Bóg ma w swojej opiece.

Po raz pierwszy Brown dał poznać, że dociera do niego ten odległy głos.

- Czy to bluff?

Talman wolno skinął głową. - Najwidoczniej. On jest niegroźny.

- Bluff - rzucił Cunningham nie odrywając się od roboty.

- Nie - odpowiedział spokojnie głośnik. - Nie bluffuję. I radzę ci uważać z tą tablicą. Jest to część stosu atomowego. Jeśli będziesz dłużej przy niewłaściwych złączach, to uda ci się wysadzić nas wszystkich w kosmos.

Cunningham odskoczył od kłębowiska drutów wijących się z berylitu niczym węże. Fern, stojący nieco dalej, zwrócił swą smagłą twarz, by się przyjrzeć. - Spokojnie - powiedział. - Musimy wiedzieć na pewno, co robimy.

- Zamknij się - warknął Cunningham. - Wiem, co robię. Może właśnie jestem przy tym, czego Transplant się boi. Zachowam wszelkie środki ostrożności, żeby nie dotykać połączeń atomowych, ale... - Zamilkł i zaczął badać poplątane druty. - Nie, ten nie jest atomowy, jak mi się zdaje. W każdym razie nie jest to przewód sterujący. A gdybym tak je rozłączył... - Urękawiczona ręka z nożownicą w kauczukowej osłonie uniosła się.

Głośnik powiedział: - Cunningham, nie rób tego. - Cunningham przyłożył nożownicę. Z głośnika dobiegło westchnienie.

- A więc ty pierwszy. No i proszę!

Talman uczył bolesne uderzenie w nos przezroczystą szybą helmu. Chwiejnie sunął naprzód nie mogąc się zatrzymać. Kabina miała się szaleńczo. Wokół siebie widział groteskowe postaci w skafandrach potykające się i zataczające. Brown utracił równowagę i runął ciężko przed siebie. Cunnigham, kiedy statek gwałtownie zmniejszył szybkość, został ciśnięty do przodu na druty. Zwisiał teraz niczym uwięziona w pajęczynie mucha. Jego kończyny, głowa, całe ciało podrygiwało i skręcało się w spazmatycznych kurczach. Diabelski taniec wzmagał się opętańczo.

- Wyciągnijcie go stamtąd! - wrzasnął Dalquist.

- Stać! - krzyknął Fern. - Odłączę najpierw zasilanie... - Ale nie wiedział jak.

Talman z zaschniętym gardłem patrzył na ciało Cunnighama, wyginające się, drgające w kurczach męczarni. Nagle rozległ się trzask kości.

Cunnigham zwisiał teraz bezwładnie, głowa kiwała mu się groteskowo.

- Wyciągnijcie go! - warknął Brown, ale Fern potrząsnął głową.

- Cunnigham nie żyje, a ten zespół jest niebezpieczny.

- Jak to? Nie żyje?

Wargi Ferna osłonięte cienkim wąsikiem rozchyliły się w bezradnym uśmiechu. - Facet w ataku epilepsji ma prawo skrećić sobie kark.

- Tak - powiedział wyraźnie wstrząśnięty Dalquist. - Kark ma rzeczywiście skrećony. Patrzcie, jak mu lata głowa.

- Przepuść przez siebie prąd zmienny dwadzieścia herców, to też cię złapią konwulsje - doradził mu Fern.

- Nie możemy go tak po prostu zostawić!

- Możemy - powiedział Brown gniewnie. - Trzymać się z daleka

od ścian, wszyscy! - popatrzył na Talmana. - Dlaczego ty nie...

- Oczywiście, wiem. Ale Cunningham powinien, mieć dość oleju w głowie, żeby nie dotykać gołych drutów.

- Niewiele masz tu drutów z izolacją - burknął grubas. - Twierdziłeś, że Transplant jest niegroźny.

- Powiedziałem, że jest pozbawiony możliwości poruszania. I że nie jest telepatą. - Talman zdał sobie sprawę, że w jego głosie brzmi chęć usprawiedliwienia się.

Fern zauważył: - Ilekroć statek przyspiesza albo wytraca szybkość, powinien odezwać się sygnał. Nie było go tym razem. Widocznie Transplant go wyłączył, żeby nas zaskoczyć.

Spojrzeli w górę, w szumiącą, ogromną, żółtą otchłań. Talmana opanowała klaustrofobia. Miał wrażenie, jakby stał w zagłębieniu dłoni tytana, zdawało mu się, że ściany za chwilę runą składając się do środka.

- Możemy rozbić jego soczewki oczne - podsunął Brown.

- Jak je znajdziesz. - Fern wskazał palcem labirynt aparatury.

- Jedyne, co trzeba zrobić, to odczepić Transplanta. Przerwij jego połączenie. To go uśmierci.

- Pech chciał - odezwał się Fern - że Cunningham był wśród nas jedynym elektronikiem. Ja jestem tylko astrofizykiem.

- Nie szkodzi. Wystarczy wyciągnąć wtyczkę i mamy Transplanta z głowy. Tyle chyba potrafisz.

Gniew wzrastał. Ale Cotton, mały człowieczek z niebieskimi, mrugającymi oczkami, rozładował napięcie.

- Matematyka, ściślej geometria, powinna nam pomóc. Chcemy zlokalizować Transplanta i... - Spojrzał w górę i zamarł. - Zboczyliśmy

z kursu - wykrztusił w końcu, oblizując suche wargi. - Widzicie ten sygnał ostrzegawczy?

Talman spojrział na zawieszony wysoko w górze ogromny globus nieba. Na jego ciemnej powierzchni wyraźnie rysował się czerwony świetlny punkt.

Na śniadą twarz Ferna wypełził wyraz szyderstwa.

- Jasne. Transplant wieje, żeby znaleźć pomoc. Ziemia jest najbliższym miejscem, gdzie ją może uzyskać. Ale zostało nam jeszcze dużo czasu. Ja nie jestem specem od techniki jak Cunningham, ale nie jestem też głupkiem. - Nie patrzył w stronę ciała kiwającego się rytmicznie na drutach. - Nie musimy sprawdzać każdego złącza na statku.

- Dobra. Więc weź się za to - odchrząknął Brown.

Poruszając się niezgrabnie w swym stroju, Fern podszedł do kwadratowego otworu w podłodze i bacznie przyglądał się metalowemu situ znajdującemu się osiemdziesiąt stóp poniżej.

- No tak. Tutaj jest zasilanie paliwem. Nie ma potrzeby sprawdzania wszystkich złączy na statku. Paliwo wyrzucane jest z tej ołowianej rury nad nami. Zwróćcie uwagę: wszystko, co jest związane z energią atomową, najwyraźniej zostało oznakowane czerwoną kredką. Widzicie?

Widzieli. Tu i ówdzie na gołych płytach i tablicach widniały tajemnicze czerwone oznakowania. Inne symbole były niebieskie, zielone, czarne i białe.

- Pozostańmy przy tym założeniu – powiedział Fern. - Przy najmniej na razie. - Czerwony oznacza energię atomową. Niebieski... zielony... hm...

Talman wpadł mu w słowo: - Nie widzę tutaj niczego, co by przypominało pojemnik mózgowy Quentina.

- A spodziewałeś się? - zapytał astrofizyk z przekąsem. - Musi gdzieś tu być wciśnięty w jakieś wyścielane gniazdko. Mózg może wytrzymać więcej przeciążeń niż ciało, ale tak czy inaczej siedem G to już maksimum. Nawiasem mówiąc, jest to nam na rękę. Zastosowanie wysokiego ciągu na tym statku nie miałyby sensu. Byłoby zabójcze dla Transplanta w tym samym stopniu, co dla nas.

- Siedem G - powtórzył Brown w zamyśleniu.

- Które unieszkodliwiłyby także Transplanta. Musi pozostać przytomny, żeby przeprowadzić statek przez atmosferę Ziemi. Mamy masę czasu.

- Lecimy teraz całkiem wolno - wtrącił Dalquist.

Fern przyjrzał się bacznie: - Na to wygląda. Spróbuję popracować w ten sposób. Odwinął kawałek opasującej go liny i przymocował się do jednego z centralnych słupów. - To mnie zabezpieczy przed ewentualnymi wypadkami.

- Odszukanie obwodu nie powinno nastęczać większych trudności - powiedział Brown.

- Na ogół nie. Ale w tej kabinie mamy dosłownie wszystko: atomowe urządzenia kontrolne, radar, zlew kuchenny. A te oznakowania były jedynie pomocne przy montażu. Statek nie został zbudowany według powielanego planu. Jest jednorazowym modelem. Potrafię odnaleźć Transplanta, ale to zajmie trochę czasu. Więc zamknijcie się i dajcie mi pracować.

Brown zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Łysa czaszka Cottona pokryła się potem. Dalquist objął ramieniem stalowy słup i czekał. Talman ponownie spojrzął na balkon ciągnący się wokół ścian. Na globusie widniał krążek czerwonego światła.

- Quent! - zawołał.

- Słucham, Van. - Głos Quentina był stłumiony oddaleniem. Brown od niechcienia położył jedną rękę na miotaczu przytwierdzonym do pasa.

- Dlaczego się nie poddajesz?

- A wy dlaczego nie?

- Nie dasz nam rady. Z Cunnighamem udało ci się przypadkowo. Teraz mamy się na baczności, nie dosięgniesz nas. Wytropienie cię jest tylko kwestią czasu. I nie licz wtedy na litość, Quent. Mógłbyś nam zaoszczędzić zachodu i powiedzieć, gdzie jesteś. Jesteśmy skłonni zapłacić ci za to. Jeśli cię wykryjemy sami, nie będziesz miał szans. No więc, jak?

Quentin odpowiedział krótko:

- Nie.

Przez kilka minut panowała cisza. Talman obserwował Ferna, który popuszczając co chwila liny z wielką ostrożnością badał płataninę drutów, gdzie ciągle jeszcze wisiało ciało Cunnighama.

Quentin odezwał się. - Tam nie ma co szukać. Jestem nienajgorzej zakamuflowany.

- Ale bezradny - dodał szybko Talman.

- Tak samo jak wy. Zapytaj Ferna. Jeśli zaczniesz manipulować przy niewłaściwych złączach, ma szansę rozwalić statek. Rozważcie swoją obecną sytuację. Przechodzę na nowy kurs, który doprowadzi nas do macierzystego portu. Jeżeli poddacie się teraz...

Brown odezwał się: - Nie zmieniono dotąd dawnych ustaw. Piractwo karane jest śmiercią.

- Od setek lat nie było wypadku piractwa. Gdyby wasza sprawa trafiła teraz do sądu, mogłoby to wyglądać inaczej.

- Więzienie? Resocjalizacja? - myślał głośno Talman. - Sto razy wołałbym umrzeć.

- Zwolniony! - krzyknął Dalquist, silniej przywierając do słupa.

Spojrzawszy na Browna Talman pomyślał, że grubas domyśla się, jaki jest jego plan. Tam, gdzie zawodzi wiedza techniczna, może przyjść w sukurs psychologia. Quentin, cokolwiek by powiedzieć, był ludzkim mózgiem.

Najpierw odwrócić uwagę podmiotu.

- Quent.

Ale Quentin nie odpowiedział. Brown z grymasem na twarzy okręcił się, żeby obserwować Ferna. Pot lał się po smagłym obliczu fizyka, kiedy badał aparaturę i kreślił wykresy w notatniku przy-mocowanym do przedramienia.

W pewnej chwili Talman poczuł zawrót głowy. Wstrząsnął głową, uświadamiając sobie, że statek wytracił szybkość niemal do zera, i uczeplił się mocno najbliższego filaru. Fern zaklął. Z trudem mógł ustać w miejscu.

W końcu, gdy statek zawisł zupełnie bez ruchu, poddał się. Pięć postaci w skafandrach kosmicznych kurczowo przywarło do pierwszych lepszych uchwytów. Fern warknął: - Może to jest pułapka. Ale Transplantowi to nic nie da. Ja nie mogę pracować bez ciężenia, on nie może dotrzeć do Ziemi bez przyspieszenia.

Głośnik odezwał się: - Nadałem SOS.

- Rozpracowałem to z Cunnighamem. - Roześmiał się Fern. - A oprócz tego, ty sam za dużo gadałeś przy Talmanie. Skoro masz radarowy wykrywacz meteorytów, niepotrzebne jest urządzenie sygnalizacyjne i nie masz go. - Odszukał wzrokiem aparaturę, od której przed chwilą się oddalił. - Może byłem o krok od właściwej odpowiedzi, co? Czy to dlatego?

- Nawet nie w pobliżu - odparł Quentin.

- Mimo to... - Fern odbił się od słupa ciągnąc za sobą linę.

Owinął ją sobie wokół lewego nadgarstka i wisząc w powietrzu zabrał się do studiowania zespołów.

Brownowi nie udało się przytrzymać śliskiego słupa i poślizgnął swobodnie niczym nadmiernie nadmuchany balon. Talman odbił się i doleciał aż do balkonu. Uchwycił metalową poręcz dłońmi w rękawicach, przekoziółkował do środka niczym cyrkowiec i spojrzął w dół - chociaż w gruncie rzeczy to nie był dół - do kabiny kontrolnej.

- Chyba powinniście się poddać – powiedział Quentin.

Brown szybował na drugą stronę, żeby dotrzeć do Ferna. - Nigdy - odparł i w tym momencie cztery G popchnęły statek z całą siłą ciągu atomowego. Nie było to proste liniowe przyspieszenie. Skierowane było w inną, z górą zaplanowaną stronę. Fern uratował się kosztem ręki niemal wyłamanej w przegubie, ale okręcona lina uratowała go przed śmiertelnym upadkiem na odsłonięte druty.

Talman został ciśnięty na podłogę balkonu. Widział stąd innych, rozplaszczonych na przypadkowych obiektach potężnym uderzeniem. Tylko Brown nie zatrzymał się na podłodze.

Unosił się akurat nad otworem zasilania paliwem, kiedy nastąpiło przyspieszenie.

Talman ujrzał, jak okrągła sylwetka ginie z pola widzenia w otworze. Towarzyszył temu nie dający się opisać odgłos.

Dalquist, Fern i Cotton porwali się na nogi. Ostrożnie podeszli do otworu i zajrzeli w głąb.

- Czy on...?! - Talman krzyknął.

Cotton odwrócił się i odszedł. Dalquist pozostał na miejscu najwyraźniej zahipnotyzowany, jak się Talmanowi zdawało, dopóki nie

zobaczył, że ramiona mężczyzny drgają. Fern podniósł wzrok na balkon.

- Przeleciał przez sito - powiedział. - Jest to jednocalowa metalowa krata.

- Wyłamał ją?

- Nie - powiedział Fern z naciskiem. - Nie wyłamał. Przeleciał.

Przyspieszenie czterech G i upadek z wysokości osiemdziesięciu stóp składają się na dość przerażający rezultat. Talman zamknął oczy i powiedział:

- Quent!

- Poddajecie się?

Fern warknął: - Nigdy w życiu. W naszej grupie nie ma ludzi niezastąpionych. Damy sobie radę bez Browna.

Talman usiadł na balkoniku, uchwycił się balustrady i swobodnie zwiesił nogi w pustkę pod sobą. Popatrzył w lewo na globus, oddalony o czterdzieści stóp. Czerwony punkt oznaczający statek tkwił nieruchomo.

- Nie uważam, Quent, żebyś był w dalszym ciągu człowiekiem - powiedział.

- Dlatego, że nie posługuję się miotaczem? Rozporządzam teraz inną bronią. Ja się nie bawię, Van. Walczę o życie.

- Jeszcze możemy się dogadać.

- Powiedziałem ci kiedyś, że zapomnisz o naszej przyjaźni wcześniej niż ja - odrzekł Quentin. - Musiałeś sobie zdawać sprawę, że takie porwanie nieuchronnie doprowadzi do mojej śmierci. Ale najwyraźniej nie miało to dla ciebie znaczenia.

- Nie spodziewałem się, że ty...

- Tak - powiedział głośnik. - Ciekaw jestem, czy równie gorliwie realizowałbyś ten plan, gdybym dalej miał ludzkie ciało. Co do przyjaźni, wypróbuj własne psychologiczne chwytły. Traktujesz moją

mechaniczną powłokę jak wroga, jak barierę, która oddziela cię od prawdziwego Barta Quentina. Być może podświadomie nienawidzisz jej i w związku z tym pragniesz ją zniszczyć. Nawet jeżeli razem z nią zniszczysz mnie. Nie wiem, może ty sobie wyobrażasz, że w ten sposób wyzwalamy mnie od tego, co stworzyło ową barierę. I zapominasz, że ja się właściwie nie zmieniłem.

- Kiedyś grywaliśmy w szachy - powiedział Talman - ale nie zbijaliśmy sobie pionków.

- Ja jestem trzymany w szachu - odparł Quentin. - Do walki zostały mi tylko skoczki. Ty zachowałeś dotąd wieże i gońców. Możesz prostymi drogami dojść do celu. Poddajesz się?

- Nie - odparł ostro Talman. Nie spuszczał oczu z czerwonego światelka. Zauważył, że drgnęło, i kurczowo złapał się metalowej poręczy. Jego ciało wyleciało poza barierę, kiedy statek runął naprzód. Jedna dłoń w rękawicy została oderwana od balustrady. Ale druga utrzymała chwyt. Globus kołysał się gwałtownie. Talman przerzucił nogę przez balustradę, wgramolił się ponownie na swą niebezpieczną grzędę i spojrzął w dół.

Fern był wciąż zakotwiczony na linii asekuracyjnej. Dalquist i mały Cotton zjeżdżali po podłodze, a po chwili z trzaskiem uderzyli o słup. Któryś z nich krzyknął.

Zlany potem Talman szedł ostrożnie. Ale gdy dotarł do Cottona, ten był już martwy. Rozchodzące się promieniście pęknięcia na osłonie twarzy i wykrzywione, zbiegające rysy świadczyły o tym, co się stało.

- Rąbnął prosto we mnie - zachłysnął się Dalquist. - Uderzył osłoną w tył mojego hełmu...

Chlorowana atmosfera wewnątrz hermetycznego statku odebrała

Cottonowi życie w sposób nie tyle łatwy, co szybki. Dalquist, Talman i Fern wymienili spojrzenia.

Jasnowłosy olbrzym mruknął: - Trzech z nas już jest załatwionych. Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba.

Fern nasrożył się. - Ciągle zbyt nisko szacujemy tego typu. Na przyszłość macie się przywiązywać do słupów. Nie ruszać się bez pewnej asekuracji. Trzymać się z dala od wszystkiego, co wygląda podejrzanie.

- W dalszym ciągu lecimy w kierunku Ziemi - zauważył Talman.
- Istotnie - przytaknął Fern. - Moglibyśmy otworzyć luk i wyjść w przestrzeń kosmiczną. Ale co wtedy? Liczyliśmy na to, że statek może się przydać. Teraz musi się przydać.
- Jeżeli się poddamy... - Dalquist wtrącił.
- Egzekucja - powiedział Fern bezbarwnie. - Ciągle jeszcze mamy czas. Odnalazłem niektóre złącza. Wyeliminowałem sporo zespołów.

- W dalszym ciągu uważasz, że potrafisz to zrobić?
- Chyba tak. Ale ani na chwilę nie puszczajcie się uchwytów. Znajdę rozwiązanie, zanim wejdziemy w atmosferę.

Talman miał pomysł: - Mózgi wysyłają rozpoznawalne prądy wi-bracyjne. Może by tak zastosować pelengator?

- Owszem. Byłoby to celowe, gdyśmy się znajdowali na środku Mojave. Ale nie tutaj! Ten statek oblaży wszelkiego rodzaju prądy i pola elektromagnetyczne. Jak wyłuskać bez aparatury ten jeden?

- Trochę przyrządów mamy ze sobą. Poza tym pełno ich tutaj na ścianach.

- Wzajemnie sprzężonych. Sądzę, że jeśli już naruszać *status quo*, to przy zachowaniu maksimum ostrożności. Szkoda, że Cunningham został zabity.

- Quentin nie jest głupi - powiedział Talman. - Najpierw załatwił inżyniera elektronika, a potem Browna. Teraz usiłował dostać ciebie. Goniec i królowa.

- A ja kim jestem w tym układzie?

- Wieżę. Zgarnie cię, jak będzie mógł. - Talman zmarszczył brwi, próbując coś sobie przypomnieć. W końcu odnalazł to. Pochylił się nad notatnikiem na ręku Ferna, własnym ciałem zasłaniając zapis przed kamerami, które mogły być zainstalowane na ścianach i na suficie. Napisał: „Upija się wysoką częstotliwością. Umiałbyś?”

Fern zgniółł bibułkę i palcami w rękawicach niezdarnie podarł ją na kawałki. Puścił oko do Talmana i szybko skinął głową.

- Dobra. Będę próbował - powiedział i przeciągnął swoją linę do zestawu aparatury, którą wspólnie z Cunninghamem przynieśli na statek.

Dalquist i Talman skazani na bezczynność przymocowali się do słupów i czekali. Nic innego nie mogli zrobić. Swego czasu Talman wspominał Fernowi i Cunninghamowi o drażnieniu wysoką częstotliwością; wtedy nie przywiązywali wagi do tej informacji. Teraz, przy wsparciu psychologii stosowanej środkami technicznymi, mogła przynieść rozwiązanie.

Tymczasem Talman marzył o papierosie. Ale, pocąc się w swym niewygodnym ubiorze, zdołał jedynie nastawić wmontowany w skafander aparat, dzięki któremu mógł połknąć tabletkę soli i kilka łyków letniej wody. Serce mu waliło, w skroniach czuł tępy ból. Skafander był niewygodny. Talman nie był przyzwyczajony do takiego ograniczenia ruchów.

Przez wbudowany aparat odbiorczy słyszał szumiącą ciszę, zakłóconą stłumionym szelestem butów kosmicznych Ferna, który kręcił się nie opodal. Talman nie mógł znieść technicznego chaosu dookoła i zamknął powieki; bezlitosne żółte światło, nie przeznaczone dla ludzkich oczu, przyprawiało go o niespokojne, płytkie pulsowanie tętniące w oczodołach. Gdzieś na tym statku, myślał, może nawet w tym pomieszczeniu, znajduje się Quentin. Ale zamaskowany. Jak?

Przechwycono korespondencję? Wątpliwe. Quentin nie miał żadnego powodu, żeby spodziewać się porwania. To, że Transplant miał tak znakomitą, bezpieczną kryjówkę, było wynikiem czystego przypadku oraz niefrasobliwych metod pracy konstruktorów budujących urządzenia dla jednorazowego użytku według dowolnych reguł poddyktowanych wygodą.

Jednak, zastanawiał się Talman, czy nie można by zmusić Quentina do zdradzenia swej kryjówki? Jak? Przez indukowane podrażnienie mózgu - odurzenie?

Grać na instynktach podstawowych? Ale mózg nie jest zdolny do przedłużania gatunku. Jedynie instynkt samozachowawczy pozostał constans. Talman żałował, że nie wziął ze sobą Lindy. Miałby się kim posłużyć.

Gdyby Quentin miał ludzkie ciało, uzyskanie odpowiedzi nie byłoby takie trudne. I niekoniecznie trzeba wtedy uciekać się do tortur. Odruchowe reakcje mięśniowe, od wieków wykorzystywane przez profesjonalnych magików, pozwoliły Talmanowi osiągnąć cel. Na nieszczęście sam Quentin był celem - mózg bez ciała w wyścielonym, metalowym cylindrze. A jego rdzeniem kręgowym był drut. Jeśli

Fern zdoła nastroić aparat na wysokie częstotliwości, promieniowanie osłabi siły obronne Quentina - w ten czy w inny sposób. Na razie Transplant był przeciwnikiem bardzo, ale to bardzo niebezpiecznym. A przy tym doskonale ukrytym.

Zaraz. Niedoskonale. Absolutnie nie. Ponieważ, jak Talman uświadomił sobie z nagłym przyływem podniecenia, Quentin nie siedział ot, tak sobie, rozparty, ignorując piratów i zmierzając najkrótszą drogą do Ziemi. Już sam fakt, że zawracał, zamiast lecieć dalej na Callisto, oznaczał, że potrzebuje pomocy. A poza tym z tych morderstw widać, że robił co w jego mocy, aby obezwładnić niepożądaną gości.

Ponieważ, najwyraźniej, Quentin mógł być odkryty.

Kwestia czasu.

Mógł tego dokonać Cunningham. Ale i Fern był groźny dla Transplanta. To oznaczało, że Quentin się boi.

Talman ze świstem wciągał powietrze. - Quent - powiedział. - Mam propozycję. Słuchasz mnie?

- Tak - odpowiedział daleki, przeraźliwie znajomy głos.
- Znalazłem rozwiązanie do przyjęcia dla nas wszystkich. Ty chcesz zachować życie, my chcemy mieć statek. Zgadza się?
- Zgadza.
- Załóżmy, że zrzucimy cię na spadochronie po wejściu w atmosferę Ziemi. Wtedy będziemy mogli przejąć stery i zawrócić. W ten sposób...
- „Bo Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny” - zadeklamował Quentin. - Tyle że właśnie nie był. Nie mogę ci już ufać, Van.

Psychopaci i kryminaliści są zbyt amoralni, są bezwzględni, bo uważają, że cel uswiewa środki. Ty, Van, jesteś psychopatycznym psychologiem. I dlatego właśnie nie uwierzę żadnemu twemu słowu.

- Sporo ryzykujesz. Jeśli zdążymy znaleźć właściwe złącze, mowy nie będzie o żadnych układach. Wiesz o tym.

- Jeśli.

- Do Ziemi jeszcze kawał drogi. Mamy się teraz na baczności. Już nie zdołasz nikogo więcej zabić. Będziemy po prostu pracować systematycznie, aż cię znajdziemy. A zatem - jak decydujesz?

Po chwili milczenia Quentin odparł: - Chyba jednak zaryzykuję. Znam się lepiej na technice niż na ludziach. Bezpieczniej jest dla mnie trzymać się własnej dziedziny wiedzy niż wkraczać na teren psychologii. Znam się na koeficientach i cosinusach, ale niewiele wiem o maszynce koloidalnej w twojej czaszce.

Talman spuścił głowę, pot kapął mu z nosa do wnętrza maski. Nagle chwycił go atak klaustrofobii - lęk przed krepującym ruchy ubraniem i lęk przed obszerniejszym lochem, jakim była dla niego ta kabina i cały statek.

- Masz ograniczony wybór broni, Quent - powiedział zbyt głośno. - Nie możesz zwiększyć ciśnienia atmosferycznego na statku, inaczej dawno już byś zastosował kompresję i zgniótł nas.

- Miałbyś jednocześnie najpotrzebniejsze urządzenia. A swoją drogą te skafandry wytrzymują bardzo wysokie ciśnienia.

- Twój król jest dalej w szachu.

- Tak samo jak twój - odparł Quentin spokojnie.

Fern przesłał Talmanowi znaczące spojrzenie, które wyrażało aprobatę i leciutki odcień triumfu.

Aparatura rozpracowana umiejętnie rękami w niezgrabnych rękawicach zaczęła odsłaniać swe tajemnice. Szczęśliwym trafem była to sprawa raczej konwersji niż konstrukcji, w przeciwnym wypadku za mało byłoby czasu.

- Bawcie się dobrze - powiedział Quentin. - Dokładam teraz tyle przeciążenia, ile damy radę wytrzymać.

- Nie czuję tego - odparł Talman.

- Ile damy radę wytrzymać, a nie ile mógłbym przyłożyć. Życzę wam przyjemnej zabawy. Nie wygracie ze mną.

- Czyżby?

- Zastanów się. Póki macie się czego uchwycić, jesteście względnie bezpieczni. Ale mogę was wykończyć, jak tylko ruszycie się z miejsca.

- To znaczy, że będziemy musieli się gdzieś ruszyć, żeby cię dostać, tak?

Quentin zaśmiał się. - Tego nie powiedziałem. Jestem dobrze ukryty. Wyłącz to!

Okrzyk odbił się dwukrotnym echem od sklepionego stropu, wstrząsając bursztynowym powietrzem. Talman wzdrygnął się nerwowo. Napotkał spojrzenie Ferna i spostrzegł, że astrofizyk uśmiecha się szeroko.

- Wzięło go - powiedział Fern. Na wiele minut zapadła cisza.

Statek gwałtownie szarpnął. Ale induktor częstotliwości był mocno przytwierdzony, ludzie także zakotwiczili się na swoich linach.

- Wyłącz to - powiedział Quentin znowu. Niezupełnie panował nad głosem.

- Gdzie jesteś? - zapytał Talman.

Żadnej odpowiedzi.

- Poczekamy, Quent!

- No to sobie czekajcie! Mnie... Mojej uwagi nie rozprasza strach

o własną skórę. To jest jedna z dobrych stron bycia Transplantem.

- Wysokie wartości drażniące - mruknął Fern. - Szybko działa.

- Posłuchaj, Quent - rozpoczął Talman tonem perswazji. - Nie zatraciłeś przecież instynktu samozachowawczego. To nie może być dla ciebie przyjemne.

- Jest... aż nazbyt przyjemne - powiedział Quentin niepewnym głosem. - Ale niczego nie osiągniecie. Zawsze miałem mocną głowę.

- Tylko, że to nie alkohol - odrzucił Fern. Dotknął przełącznika.

Transplant roześmiał się. Talman odnotował z satysfakcją, że zaczyna on tracić kontrolę nad językiem.

- Powiadam, że to nic nie da. Jestem dla was zbyt inteligentny.

- Doprawdy?

- Nie twierdzę, że jesteście kretydami - ty albo tamci. Fern jest może dobry w technice, ale nie dość dobry. Pamiętasz, Van, pytałeś mnie w Quebecu, czy zaszła jakaś... zmiana. Powiedziałem, że nie. Teraz widzę, że się myliłem.

- Co masz na myśli?

- Nierozpraszenie uwagi - Quentin gadał za wiele; oznaka stanu upojenia. - Mózg w ludzkim ciele nigdy nie może skoncentrować się całkowicie. Ma zbyt silną świadomość tegoż ciała, które nie jest mechanizmem doskonałym. Jest zbyt wyspecjalizowany, by mógł być sprawny. Oddychanie, krążenie - wszystkie te systemy przeszkadzają. Sam nawyk oddychania rozprasza. Teraz moim ciałem jest statek - przejściowo, ale jest to mechanizm doskonały. Funkcjonuje z maksymalną precyzją. A więc mój mózg jest odpowiednio lepszy.

- Superczłowiek.
- Supersprawny. Sprawniejszy umysł wygrywa zazwyczaj w szachach, bo umie przewidywać możliwe gambity. Potrafię przewidzieć wszystko, co możecie zrobić. Ty jesteś w dużo gorszej sytuacji.
- Dlaczego?
- Jesteś człowiekiem.

Egotyzm, pomyślał Talman. Czyżby to była właśnie pięta achillesowa? Smak sukcesu najwyraźniej odcisnął ślad na psychice Transplanta, a elektroniczny ekwiwalent stanu upojenia zwolnił hamulce. Całkiem logiczne. Po pięciu latach zwyczajnej pracy, nieważne jak nowatorska była ta nagle zmieniona sytuacja, przejście od aktywności do bierności, od automatyzmu do roli protagonisty, mogło działać jak katalizator. Ego. I mętne dywagacje.

Quentin nie był bowiem supermózgiem. Z całą pewnością nim nie był. Im wyższy iloraz inteligencji, tym mniejsza potrzeba samousprawiedliwiania bezpośredniego czy pośredniego. I dziwna rzecz, Talman poczuł się naraz zwolniony od jakichkolwiek skrupułów. Prawdziwy Bart Quentin nie splamiłby się nigdy rozumowaniem o znamionach paranoi.

A więc...

Quentin wymawiał słowa czysto, nie bełkotał. Ale zanikła miękkość podniebienia, języka i warg, i wykorzystujących słup powietrza. Ponadto nie panował nad brzmieniem i jego głos oscylował między donośnym szeptem a prawie krzykiem.

Talman odsłonił zęby w uśmiechu. Poczuł się jakoś raźniej.

- Jesteśmy ludźmi - powiedział - ale wciąż jesteśmy trzeźwi.
- Bzdury. Popatrz przez wizjer. Zbliżamy się do Ziemi.

- Daj sobie z tym spokój, Quent - powiedział Talman ostrożnie.
- Bluffujesz i obaj wiemy, że to bluff. Nie wytrzymasz nieograniczonej dawki wysokiej częstotliwości. Oszczędź nam czasu i poddaj się teraz.

- Wy się poddajcie - odparował Quentin. - Widzę wszystko, co robicie. Statek jest dżunglą pełną pułapek. Jedyne, co mam tu na górze do roboty, to obserwować, czy zbliżacie się do którejś. Ja obmyślam grę z wyprzedzeniem, każdy gambit jest tak zaplanowany, że doprowadzi do mata.

Na g ó r z e, pomyślał Talman. Gdzie na górze? Przypomniała mu się uwaga Cottona, że Transplanta można by zlokalizować posługując się geometrią. Jasne. Geometria i psychologia. Podzielić statek na połowy, na ćwiartki i dalej na coraz mniejsze sektory...

Niekoniecznie. „Na górze” było słowem-kluczem. Talman uczepił się go ze skwapliwością, której nie dał po sobie poznać. „Na górze” redukowało przypuszczalnie do połowy obszar, który należało przeszukać. Dolne części statku można zostawić w spokoju. Teraz trzeba podzielić na pół górną część przyjmując, powiedzmy, globus za element dzielący. Transplant ma oczywiście komórki oczne rozmieszczone w różnych punktach, ale Talman doraźnie założył, że Quentin myśli o sobie jako o kimś, kto znajduje się w jednym konkretnym miejscu, a nie jest rozrzucony po całym statku, gdzie tylko zainstalowano któreś z oczu. We własnym odczuciu człowiek jest tam, gdzie jest jego głowa.

A więc Quentin mógł widzieć czerwony punkcik na globusie, ale to wcale nie znaczyło, że znajduje się w ścianie naprzeciwko tej jego półkuli. Należało osaczyć Transplanta gromadząc spostrzeżenia o jego relacjach wobec różnych obiektów na statku - co nie było łatwe,

zważywszy, że najprościej można tego dokonać odwołując się do postrzegania wzrokowego, które dla normalnego człowieka jest najważniejszym łącznikiem z otoczeniem. A wzrok Quentina był niemal wszechogarniający. Mógł widzieć wszystko.

Trzeba go jednak było zlokalizować.

Test na kojarzenie słów załatwiłby sprawę. Ale do tego konieczna była współpraca. Quentin nie był aż tak pijany!

Niczego nie można wywnioskować na podstawie analizy, co Quentin widzi - jego mózg niekoniecznie musiał znajdować się w pobliżu któregoś z jego oczu. U Transplanta powinna istnieć przenikliwa wewnętrzna świadomość własnej lokalizacji, przekonanie, że o n - ślepy, głuchy, niemy bez swych oddalonych mechanizmów sensorycznych - znajduje się w określonym miejscu. I jak, jeśli odrzucić nazbyt oczywiste pytanie wprost, można zmusić Quentina, żeby dał pożądaną odpowiedź?

To niemożliwe, myślał Talman z uczuciem rozpaczliwej, bezsilnej wściekłości. Gniew wzrastał oblewając twarz potem, budząc tępą, palącą nienawiść do Quentina. Wszystkiemu był winien Quentin, temu, że Talman siedzi zapuszkowany w tym cholernym skafandrze i na tym statku-pułapce. Wina maszyny...

Nagle olśniła go myśl.

Wszystko będzie zależało od tego, czy Quentin jest dostatecznie pijany. Zerknął na Ferna pytająco. W odpowiedzi Fern przestawił tarczę i skinął głową.

- Żeby was cholera! - rozległ się szept Quentina.
- Widzisz - powiedział Talman. - Sugerowałeś, że zatraciłeś wszelki instynkt samozachowawczy.

- Ja... nie...
- Więc to prawda?
- Nie - powiedział Quentin donośnie.
- Zapominasz, Quentin, że masz do czynienia z psychologiem.

Powinienem wcześniej dostrzec te aspekty. Mogłem czytać jak w otwartej księdze, jeszcze zanim cię zobaczyłem. Kiedy zobaczyłem Lindę.

- Wara ci od Lindy.

Talmanowi przez mgnienie zamajaczył przyprawiający o mdłości obraz pijanego, udręczonego mózgu ukrytego gdzieś w ścianach, surrealistyczny koszmar. - Pewnie - odparł. - Ty sam nie chcesz o niej myśleć.

- Zamknij się.
- O sobie też nie chcesz myśleć, prawda?
- Do czego zmierzasz, Van? Chcesz, żebym zwariował?
- Nie - powiedział Talman. - Po prostu mam już powyżej uszu

tej całej sprawy, doprowadza mnie do mdłości udawanie, że jesteś Bartem Quentinem, że ciągle jesteś człowiekiem, że możemy znaleźć wspólną płaszczyznę.

- Nie będziemy szukać wspólnej płaszczyzny.
- Nie to miałem na myśli i dobrze o tym wiesz. Dopiero teraz dotarło do mnie, czym jesteś. - Pozwolił słowom zawisnąć w zamglo-nym powietrzu. Wyobraził sobie, że łowi uchem ciężki oddech Quen-tina, chociaż wiedział, że to tylko złudzenie.
- Van, proszę cię, zamknij się - powiedział Quentin.
- Któż to prosi mnie, żebym się zamknął?
- Ja.
- A to co znowu?

Statek poderwał się. Talman omal nie stracił równowagi. Uratowała

go lina przywiązana do słupa. Roześmiał się.

- Byłoby mi przykro z twojego powodu, Quent, gdybyś był Quentem! Ale nim nie jesteś.

- Nie dam się nabrać na żadne triki.

- Może to i trik, ale oprócz tego jest to prawda. Tobie samemu przychodziło to do głowy. Jestem zupełnie pewien.

- Co przychodziło mi do głowy?

- Że nie jesteś już człowiekiem - powiedział Talman. - Jesteś rzeczą. Maszyną. Gadgetem. Szarym, gąbczastym ochłapem mięsa w pudełku. Czy naprawdę myślałeś, że potrafię się do ciebie przyzwyczaić - teraz? Że mogę cię utożsamiać z dawnym Quentinem. Przecież ty nie masz twarzy!

Z głośnika wydobywały się jakieś dźwięki. Robiły wrażenie odgłosów mechanicznych. Po chwili Quentin powtórzył niemal płaczliwie: - Zamknij się. Wiem, co chcesz osiągnąć.

- A ty nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. Mimo to będziesz musiał, wcześniej czy później. Niezależnie od tego, czy nas teraz pozabijasz, czy nie. Ta... sprawa... jest czymś ubocznym. Ale refleksje w twoim mózgu będą narastać i narastać. A ty dalej będziesz się zmieniał i zmieniał. Już się bardzo zmieniłeś.

- Oszalałeś - powiedział Quentin. - Nie jestem monstrum...

- Masz taką nadzieję, co? Spójrz na siebie trzeźwo. Do tej pory nie starczało ci odwagi, prawda? - Talman uniósł dłoń w rękawicy i zaczął zaginać końce osłoniętych palców. - Kurczowo usiłujesz trzymać się czegoś, co wyslizguje ci się z rąk - człowieczeństwa, które było ci przeznaczone. Czepiasz się symboli w złudnej nadziei, że

są rzeczywistością. Dlaczego pozorujesz jedzenie? Dlaczego obstarasz, żeby pić brandy ze szklanki? Wiesz przecież, że równie dobrze można by ją w ciebie wlać z kanistra po oleju.

- Nie! Nie! To estetyczna...

- Bzdury! Oglądasz telewizję, czytasz. Chcesz uchodzić za pełnego człowieka, więc zajmujesz się karykaturą. Całe to udawanie jest tylko rozpaczliwym, beznadziejnym czepianiem się czegoś, czego zostałeś pozbawiony. Dlaczego nachodzi cię potrzeba zalania się? Zostałeś zmontowany po partacku, skoro udajesz, że ciągle jesteś człowiekiem, choć nim nie jesteś.

- Ja... jestem, no, czymś lepszym...

- Być może... gdybyś urodził się maszyną. Ale ty byłeś człowiekiem. Miałeś ludzkie ciało. Miałeś oczy i włosy, i wargi. Linda musi to pamiętać, Quent.

Trzeba jednak było domagać się rozwodu. Posłuchaj - gdybyś w wyniku eksplozji został po prostu kaleką, ona mogłaby się o ciebie troszczyć. Potrzebowałbyś jej wtedy. W obecnej sytuacji jesteś jednostką niezależną i samowystarczalną. Ona nieźle zachowuje pozory. To trzeba jej przyznać. Stara się nie myśleć o tobie jak o mechanicznej zabawce. Aparat. Plama mokrej tkanki komórkowej. Musi być jej ciężko. Pamięta, jaki byłeś dawniej.

- Ona mnie kocha.

- Lituje się nad tobą - powiedział Talman z okrucieństwem.

Wśród huczącej martwoty pełzył po powierzchni globusa czerwony punkt kontrolny. Fern wysunął język i oblizwał wargi. Dalquist obserwował stojąc cicho, oczy mu się zwężyły.

- Tak, tak - ciągnął Talman - spójrz prawdzie w oczy. I pomyśl

o przyszłości. Istnieją kompensaty. Będziesz miał sporo frajdy z kręcenia się twoich trybików. W końcu zapomnisz nawet, że byłeś kiedyś człowiekiem. Wtedy zrobi ci się lepiej. Bo ty nie możesz ciągle przy tym trwać, Quent. To odchodzi. Przez pewien czas możesz zachowywać pozory, ale w końcu stracą znaczenie. Będzie ci wystarczało, że jesteś aparatem. Nie Linda będzie ci się wydawała piękna, lecz maszyna. Może już nawet tak jest. Może Linda wie, że już tak jest. Nie musisz być wobec siebie uczciwy. Jesteś nieśmiertelny. Ale ja nie uważałbym tego rodzaju nieśmiertelności za dar losu.

- Van...

- Ja dalej jestem Vanem. A ty jesteś maszyną. Jazda, zabij nas. Jeśli chcesz i jeśli potrafisz. Potem wracaj na Ziemię i kiedy znowu spotkasz się z Lindą, popatrz na jej twarz. Popatrz, kiedy nie będzie wiedziała, że patrzysz. Łatwo ci to przyjdzie. Zainstaluj fotokomórkę w lampie czy w czymś takim.

- Van... Van!

Ręce Talmana opadły wzdłuż tułowia. - Dobra. Gdzie jesteś?

Nieuchwytnie dla ucha pytanie zawisło w szumiącej, żółtej pustce zagęszczając ciszę. Pytanie, czające się być może w mózgu każdego Transplanta. Pytanie o - cenę.

Jaka jest cena?

Całkowita samotność, bolesna świadomość, że dawne więzy zrywają się jeden po drugim i że miejsce ciepłego żywego człowieka zajmuje monstualny mózgowiec.

Tak, takie myśli musiały nawiedzać Transplanta, który kiedyś był Bartem Quentinem. Tak musiał myśleć, a tymczasem potężne,

wspaniałe maszyny, które stanowiły jego ciało, stały w pogotowiu, by zniszczyć tętniące życie.

Czy się zmieniam? Czy jestem jeszcze Bartem Quentinem?

Czy też oni - ludzie - patrzą na mnie jak... Co naprawdę czuje do mnie Linda? Czy ja jestem...?

Czy ja jestem rzeczą?

- Wejdźcie na balkon - powiedział Quentin.

Jego głos był dziwnie bezbarwny i martwy.

Talman uczynił szybki gest ręką. W Fern i Dalquista wstąpiło życie. Wspięli się, każdy po innej drabinie, które zainstalowane były po przeciwnych stronach kabiny, dla ostrożności zaczepiając linę na każdym szczeblu.

- Gdzie to jest? - zapytał Talman łagodnie.

- Południowa ściana... Posłuż się sferą niebieską dla orientacji.

Możesz mnie dosięgnąć... - Głos załamał się.

- Tak?

Cisza.

Fern przechylony w dół zawołał: - Czy on zemdlał?

- Quent?

- Tak... Mniej więcej pośrodku balkonu. Powiem wam, kiedy tam dojdziecie.

- Spokojnie - przestrzegął Fern Dalquista.

Zawiązał linę wokół balustrady balkonu i zaczął posuwać się naprzód badając ściany wzrokiem.

Talman ramieniem otarł zapoconą szybę hełmu. Pot spływał mu po skroniach. Pełzające żółte światło, szumiąca martwota maszyn, które powinny ogłuszająco ryczeć, doprowadziły jego nerwy do stanu nieludzkiego napięcia.

- Tutaj?! - zawołał Fern.

- Gdzie to jest, Quent? - zapytał Talman. - Gdzie jesteś?

- Van - odezwał się Quentin głosem nabrzmiałym straszliwą męką - ty nie możesz wierzyć w to, co powiedziałeś. Nie możesz. To jest... Ja muszę wiedzieć. Myślę o Lindzie!

Talman wzdrygnął się. Zwilżył wargi.

- Jesteś maszyną, Quent - powiedział zdecydowanie. - Jesteś przyrządem. Wiesz, że nigdy nie próbowałbym cię zabić, gdybyś był nadal Bartem Quentinem.

I wówczas, zaskakująco nagle, Quentin roześmiał się.

- Masz, czego chciałeś, Fern! - I echo tego okrzyku niczym grzmot przewaliło się przez sklepioną kabinę. Fern wczepił się w balustradę balkonu.

Był to fatalny błąd. Lina przywiązująca go do balustrady zadziałała jak potrzask, gdyż nie odcepił się w porę nie zauważywszy niebezpieczeństwa.

Statek skoczył.

Pięknie to było wyliczone. Ferna rzuciło ku ścianie, ale zatrzymała go lina. Jednocześnie wielki, zwisający globus nieba zakołysał się wykonując wahadłowy łuk niczym gargantuiczna packa na muchy. Uderzenie przerwało linę Ferna w okamgnieniu. Ściany zadrgały.

Talman uczeplił się słupa i nie spuszczał oczu z globusa. Globus kołysał się w tył i w przód z coraz mniejszym rozmachem, w miarę jak siła bezwładu przewyciężała siłę rozpędu. Bryzgała i kapiała z niego jakaś ciecz.

Zobaczył wychylający się nad balustradą hełm Dalquista i usłyszał jego krzyk:

- Fern!

Nie było odpowiedzi.

- Fern! Talman!

- Tu jestem - odezwał się Talman.

- Gdzie jest... - Dalquist odwrócił głowę i wlepił oczy w ścianę.

Krzyknął przeraźliwie.

Obrzydliwy charkot wydobywał się z jego ust. Wyszarpnął miotacz zza pasa i wycelował go w płataninę przyrządów w dole.

- Dalquist! - krzyknął Talman. - Nie rób tego.

Dalquist nie słyszał.

- Rozwalę statek! - krzyczał. - Ja go...

Talman wyciągnął swój miotacz, wsparł go mocno o słup i strzelił Dalquistowi w głowę. Patrzył, jak ciało przegina się przez balustradę, wypada i wali się na płytki podłogi. Potem sam upadł twarzą w dół i leżał tak wydając rozpaczliwe, żalosne dźwięki.

- Van - odezwał się Quentin.

Talman nie odpowiedział.

- Van!

- Co?

- Wyłącz induktor.

Talman podniósł się, niepewnym krokiem podszedł do aparatury i zerwał przewody. Nie chciało mu się szukać prostszego sposobu.

Po pewnym czasie statek wylądował na Ziemi. Umilkły huczące wibracje prądów. Olbrzymia przyćmiona kabina kontrolna wydawała się teraz dziwnie pusta.

- Otworzyłem luk ładunkowy - powiedział Quentin. - Denver leży mniej więcej pięćdziesiąt mil na północ stąd. Autostrada, biegnąca w tamtym kierunku, jest odległa o jakieś cztery mile.

Talman wstał rozglądając się wokół. Jego twarz nosiła ślady spuszczenia.

- Wykiwałeś nas - wybełkotał. - Cały czas bawiłeś się z nami jak kot z myszą. Moja psychologia...

- Nie - odparł Quentin. - Tobie się prawie udało.

- Co...

- W istocie nie uważasz mnie za aparat. Udawałeś tylko, ale uratowała mnie drobna subtelność semantyczna. Kiedy dotarło do mnie, co powiedziałeś, oprzytomniałem.

- Co ja powiedziałem?

- Właśnie, że nigdy nie próbowałbyś mnie zabić, gdybym był nadal Bartem Quentinem.

Talman z wolna wyswobadzał się ze skafandra. Świeże, czyste powietrze już wtargnęło do wnętrza wypierając trującą atmosferę statku. Z oszołomieniem potrząsnął głową.

- Nie rozumiem.

Rozległ się śmiech Quentina wypełniając kabinę ciepłą ludzką wibracją.

- Maszynę można zatrzymać albo zniszczyć, Van, ale nie można jej zabić.

Talman nic nie odrzekł. Uwolnił się już od krępującego ruchu ubioru i teraz niepewnie zwracał się ku drzwiom. Obejrzał się za siebie.

- Puszczasz mnie wolno?

- Powiedziałem ci w Quebecu, że ty wcześniej zapomnisz o naszej przyjaźni niż ja. Lepiej wychodź, Van, póki czas. Z Denver już na pewno wysłali helikoptery.

Talman jednym pytającym spojrzeniem omiótł przestronną kabinę. Gdzieś tam, doskonale zamaskowany wśród tych potężnych maszyn, znajdował się mały metalowy cylinder usadowiony i osłonięty w swym ukrytym gnieździe. Bart Quentin...

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Stłumiony odgłos jego kroków ucichł.

Sam w milczącym statku Bart Quentin czekał na obsługę techniczną, która ponownie przygotuje jego ciało do lotu na Callisto.

przełożyła Monika Dutkowska

TWONK

W Mideastern Radio panowała taka fluktuacja kadr, że Mickey Lloyd sam już nie bardzo wiedział, kto u niego pracuje. Ludzie rzuca-
li posady i odchodzili tam, gdzie lepiej płacono. Dlatego, kiedy z
magazynu wyłonił się niepewnie mikry człowieczek z dużą głową,
ubrany w przepisowy kombinezon, Lloyd jedynie rzucił okiem na
spodnie typu ogrodniczki, w jakie firma zaopatrywała swoich pra-
cowników, i zagadnął dobrotliwie:

- Gwizdali już pół godziny temu. Piorunem do roboty!
- Robotty-ty? - Człowieczek miał wyraźny kłopot z wymówie-
niem słowa.

Pijany? Lloyd, jako mistrz zmianowy, nie mógł do tego dopuścić.
Zduślił papierosa, zbliżył się do faceta i pociągnął nosem. Nie, nie
było czuć alkoholu. Zerknął na emblemat przy kombinezonie ro-
botnika.

- Dwieście cztery... mmm. Nowy?
- Nowy. Ee? - Facet potarł sterczący na czole guz. W ogóle wy-
glądał dziwnie: twarz bez cienia zarostu, blada, wymizerowana, ocz-
ka maleńkie, a w nich wyraz nieustającego zdziwienia.
- No, co z tobą, szefie? Pobudka! - zniecierpliwiał się Lloyd. -
Pracujesz tutaj, tak czy nie?
- Szefie - powtórzył facet z namaszczaniem. - Pracujesz. Tak.
Robię.

Jakoś dziwnie klecił słowa, jakby miał rozszczepione podniebie-
nie.

Raz jeszcze zerknąwszy na emblemat, Lloyd chwycił gościa za
ramię i przemaszerował z nim przez halę montażową.

- To twoje stanowisko. Zabieraj się do roboty. Wiesz, co masz robić?

Zagadnięty w odpowiedzi dumnie wyprężył cheralwy tors.

- Ja... ekspert - oświadczył. - Moje lepsze niż Ponthwanka.

- Okej - powiedział Lloyd. - To rób dalej takie dobre. - I poszedł sobie.

Człowiek zwany Szefem przez chwilę się wahał, głaszcząc szramę na głowie. Uwagę jego przyciągnął kombinezon, obejrzał go w nabożnym skupieniu i zdziwieniu. Skąd? - ano tak! Wisiał w pokoju, do którego najpierw trafił. Jego własna garderoba ulotniła się, naturalnie, w czasie podróży - jakiej podróży?

Amnezja, pomyślał. Spadł z... tego czegoś, kiedy to coś zwolniło i zatrzymało się. Jak tu dziwnie, w tej ogromnej, pełnej maszyn stodo-le! Z niczym mu się to miejsce nie kojarzyło.

Amnezja, nic innego. Był robotnikiem Wytwarzał przedmioty. Nieznajomość otoczenia nie miała tu nic do rzeczy. Nadal był oszołomiony. Za chwilę mózg mu się rozjaśni. Już się przeciera.

Praca. Szef zlustrował halę, usiłując jakoś wspomóc osłabioną pamięć. Ludzie w kombinezonach wytwarzali przedmioty. Proste, oczywiste przedmioty. Jakież dziecinne, jakie elementarne! Może to przedszkole?

- Po chwili Szef udał się do magazynu i obejrzał sobie kilka gotowych modeli radia połączonego z fonografem. Więc o to chodziło. Dziwaczne i niezgrabne, ale nie jego rzeczą było oceniać. Nie. Jego zadaniem było robić twonki.

Twonki? To słowo podziałało na jego pamięć jak ostroga. Naturalnie, że wiedział, jak się robi twonki. Robił je przecież całe życie,

przeszedł specjalne szkolenie zawodowe. Tu stosowali, jak widać, inny model twonka, ale co za różnica! Dla zręcznego fachowca to dziecinna igraszka.

Szef wrócił do warsztatu i znalazł wolny stół. Zaczął budować twonka. Co jakiś czas wymykał się i podkradał niezbędne materiały. W jednym przypadku, nie mogąc znaleźć tungstenu, pośpiesznie zbudował mały aparacik i sam go wytworzył.

Jego stół mieścił się w samym kącie hali, do tego słabo oświetlonym - chociaż dla oczu Szefa było tam całkiem jasno. Nikt nie zwracał uwagi na jego radioadapter, który był już prawie skończony. Szef pracował bardzo szybko. Zignorował gwizdek południowy i do fajrantu ukończył dzieło. Może przydałaby się jeszcze jedna warstwa farby - produktowi brak było migotliwego połysku standardowych twonków - ale tutaj żaden egzemplarz nie błyszczał. Szef westchnął, wczuł się pod stół, bezskutecznie rozejrzał się za relakso-pakiem i zapadł w sen na gołej podłodze.

Zbudził się po paru godzinach. W fabryce było pusto. Dziwne. Może zmienili godziny pracy? Może... W myślach Szefa panował dziwny zamęt. Sen rozwiął opary amnezji, jeżeli w ogóle miała ona miejsce, ale Szef nadal nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Pomrukując pod nosem, wstawił twonka do magazynu i porównał z innymi. Z zewnątrz twonk niczym się nie różnił od najnowszego modelu radioadapteru. Naśladując towarzyszy pracy, Szef starannie ukrył w środku i zakamuflował wszystkie organy i reaktory. Wrócił do warsztatu. Wtedy z jego mózgu unióś się ostatni welon mgły. Ramiona drgnęły mu konwulsyjnie.

- A niech to szpindel! - Aż się zachłysnął. - Jasne! Wpadłem na rafę czasu!

Rozglądając się lekliwie, popędził do magazynu, tego samego, do którego trafił na samym początku. Zdjął kombinezon i odwiesił go na miejsce. Następnie poszedł do kąta, pomachał ręką w powietrzu, z zadowoleniem pokiwał głową i usadowił się na niczym, trzy stopy ponad ziemią. Po czym zniknął.

- Czas - wywodził Kerry Westerfield - jest krzywizną. Ostatecznie nie wraca tam, gdzie się zaczynał. Zjawisko duplikacji.

Złożył stopy na sposobnie sterczący gzyms kominka i przeciągnął się w poczuciu luksusu. W kuchni Marta pobrzękiwała butelkami i szklankami.

- Wczoraj o tej porze piłem martini - oznajmił Kerry. - Krzywizna czasu wymaga, abym w tej chwili dostał następne. Słyszysz, aniołku?

- Nalewam - odezwał się z kuchni aniołek.

- Czyli zrozumiałaś, o czym mówię. Ale to nie wszystko. Czas zakreśla nie koło, lecz spiralę. Jeżeli pierwszy skręt oznaczamy jako „a”, to drugi należałoby oznaczyć „a plus 1”, rozumiesz? Czyli że dzisiaj należy mi się podwójne martini.

- Już ja wiem, czym to się skończy - powiedziała Marta wchodząc do przestronnego, obitego boazerią salonu. Marta była drobną brunetką o wyjątkowo ładnej buzi i stosownej do urody figurze. Kuchenny fartuszek w kratkę wyglądał na niej dość absurdalnie w połączeniu ze spodniami i jedwabną bluzką. - A nieskończenie procentowego dżinu jeszcze nie produkują. Proszę, twoje martini.

Majstrowała przy mikserze i manipulowała szklankami.

- Mieszaj powoli - pouczał ją Kerry. – Nigdy nie miksuj. O, tak dobrze. - Ujął szklankę i przyjrzał jej się z uznaniem. Jego czarne, lekko szpakowate włosy zaśniły w świetle lampy, kiedy sączył martini. - Dobrze. Bardzo dobrze.

Marta piła powoli, patrząc na męża. Miły facet, ten Kerry Westfield. Sympatyczny brzydał, lat czterdzieści z hakiem, o szerokich ustach i od czasu do czasu - kiedy kontemlował sens życia - o sardonicznym błysku w szarych oczach. Pobrali się dwanaście lat temu i jakoś tego nie żalowali.

Ostatni nikły blask zachodzącego słońca wpadł przez okno prosto na skrzynkę radioadapteru, stojącego pod ścianą koło drzwi. Kerry z satysfakcją popatrzył na aparat.

- Niezła sztuka - zauważył. - Tylko...
- Co? Och, ledwo to wtaszczyli po schodach. Czemu nie wypróbujesz, jak działa, Kerry?
- A ty nie próbowałaś?
- Już ten stary był dla mnie zbyt skomplikowany - nadąsała się Marta. - Te mechanizmy! Nie znam się na nich. Wychowałam się na Edisonie. Nakręcasz korbką i z tuby wydobywają się dziwne odgłosy. To jeszcze rozumiałam - ale teraz? Wciskasz guzik i dzieją się niestworzone rzeczy. Elektryczne oczka, selekcja tonu, płyty, które grają po obu stronach przy akompaniamencie nieludzkich zgrzytów i trzasków z wnętrza pudła - może ty to potrafisz zrozumieć. Ja nawet nie chcę. Kiedy odgrywam na takiej machinie płytę Crosby'ego, mam wrażenie, że Bing czerwieni się z zażenowania.

Kerry zjadł oliwkę.

- Nastawię Debussy'ego. - Ruchem głowy wskazał na stół. -Masz

tam nową płytę Crosby'ego. Ostatnią.

Marta zakreśliła się radośnie.

- Mogę, jak myślisz?

- Mhm.

- Ale musisz mi pokazać jak.

- Całkiem prosto. - Kerry uśmiechnął się promiennie do odbiornika. - To chytne sztuki, wiesz? Jedyne, czego nie potrafia, to myśleć.

- Szkoda, że nie zmywają naczyń - zauważyła Marta. Odstawiła szklanke, wstała i znikła w kuchni.

Kerry zapalił stojącą pod ręką lampę i podszedł do nowego radia, aby obejrzeć je z bliska. Najnowszy model firmy Mideastern, z wszystkimi udoskonaleniami. Kosztował sporo - ale co tam, Kerry mógł sobie na to pozwolić. Stary odbiornik był już do niczego.

Zauważył, że urządzenie nie jest włączone do kontaktu. Nie było też widać żadnych kabli - nawet uziemienia. Pewnie nowość. Z wmontowaną anteną i uziemieniem. Kerry przykucnął, odnalazł kontakt i podłączył aparat.

Otworzył klapę i z wyrazem zadowolenia przyjrzał się pokrętlom. Nagły błysk niebieskawego światła walnął go niespodziewanie po oczach. Z głębi konsoly dobiegło nikle, pełne namaszczenia tykanie. Ni stąd, ni zowąd - ustało. Kerry zamrugał oczami, pomajstrował przy galkach i wtykach i przygryzł paznokcie.

- Schemat psychologiczny sprawdzony i zarejestrowany - oznajmiło radio beznamiętnym głosem.

- Co? - Kerry pokręcił galką. - Ciekawe, co to było? Jakaś amatorska stacja - nie, one nie wchodzi na antenę. Ciekawe...

Wzruszył ramionami i przeniósł się na fotel koło półki z albumami płytowymi. Omiótł wzrokiem tytuły i nazwiska kompozytorów. Gdzie się podział „Łabędź z Tuoneli”? Jest, koło „Finlandii”. Kerry zdjął album z półki i rozłożył go na kolanach. Wolną ręką wydostał z kieszeni papierosa, wsadził go do ust i zaczął na oślep szukać zapalek na stoliku. Pierwsza, którą zapalił, natychmiast zgasła.

Cisnął ją do kominka i już miał sięgnąć po następną, kiedy uwagę jego przykuł nikły odgłos. Było to radio: maszerowało ku niemu przez pokój. Nie wiadomo, skąd wysunął się biczykowaty czulek, ujął zapalke, potarł ją o spód blatu - tak jak to czynił Kerry - i podał Kerry'emu ogień.

Zwyciężyły odruchy automatyczne. Kerry wciągnął dym, po czym wypuścił go gwałtownie, z szarpiącym wnętrzości kaszlem. Zgiął się w pół, chwilowo podduszony i oślepiony.

Kiedy przejrzał na nowo, radio stało na swoim miejscu.

Kerry zagryzł dolną wargę.

- Marta? - zawołał.

- Zupa na stole - odpowiedział głos Marty.

Kerry nie zareagował na to. Wstał, podszedł do radia i przyjrzał mu się podejrzliwie. Kabel był wyciągnięty z gniazdka. Kerry ostrożnie włączył go z powrotem.

Przykucnął, aby zbadać nogi konsoly. Wyglądały na pięknie wypolerowane drewno. Wysłana na przeszpiegi ręka niczego mu nie wyjaśniła. Drewno, twarde i absolutnie sztywne.

Więc jakim cudem, u diabła...

- Obiad! - zawołała Marta.

Kerry rzucił papierosa do kominka i powoli wyszedł z pokoju. Żona, która właśnie stawiała na stole sosjerkę, przyjrzała mu się z uwagą.

- Ile martini wypijeś?

- Tylko jedno - odparł półprzytomnie Kerry. - Musiałem się chyba zdrzemnąć. Tak, na pewno.

- No, zajadaj - zakomenderowała Marta. - Masz ostatnią szansę, żeby się utuczyć jak wieprzek na moich pierogach - przynajmniej ostatnią w tym tygodniu.

Kerry machinalnie namacał w kieszeni portfel, wyjął z niego kopertę i rzucił ją Marcie.

- Twój bilet, aniołku. Nie zgub.

- Naprawdę? Mam cały przedział dla siebie? - Marta z radośnym pomrukiem wepchnęła kartonik z powrotem do koperty. - Dobry z ciebie kumpel. Na pewno poradzisz sobie beze mnie?

- Co? Tak, tak... Tak, myślę, że tak. - Kerry posolił avocado. Otrząsała się, jakby wychodził z lekkiej drzemki. - Pewnie, że sobie poradzę. Ty leć do Denver i pomóż Carol urodzić dziecko. Grunt, że wszystko zostaje w rodzinie.

- Moja jedyna siostra. - Marta uśmiechnęła się szeroko. - Wiesz, jacy oni są, ona i ten jej Bill. Kompletni wariaci. Potrzeba im teraz statecznej ręki.

Odpowiedzi nie było. Kerry medytował nad nabitym na widelec kawałkiem avocado. Mruknął coś o Czcigodnym Bedzie.

- Co ci się przypomniało?

- Mam jutro wykład. Co semestr użeramy się z tym Bedą, diabli wiedzą po co. Ha, trudno..

- Przygotowałeś się do wykładu?

Kerry kiwnął głową.

- Jasne.

Wykładał na uniwersytecie od ośmiu lat; nic dziwnego, że znał program na pamięć.

Nieco później, przy kawie i papierosach, Marta spojrzała na zegarek.

- Już prawie czas na pociąg. Skończę się pakować. Naczynia...

- Ja pozmywam. - Kerry podążył za żoną do sypialni, wykonując szereg niby pomocnych gestów. Po chwili zniósł walizki do samochodu. Marta dobiła do niego i ruszyli na stację.

Pociąg przyszedł o czasie. W pół godziny po jego odjeździe Kerry wprowadził samochód do garażu, wszedł do domu i ziewnął jak krokodyl. Był zmachany. Naczynia, piwko i do łóżka z książką.

Zerkając podejrzliwie na radio, poszedł do kuchni i zaczął zmywać. W hallu zadzwonił telefon. Kerry wytarł ręce o ścierkę i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Mike Fitzgerald, wykładowca psychologii na uniwersytecie.

- Siemasz, Fitz.

- Siemasz. Marta pojechała?

- Tak, właśnie ją odstawiłem na stację.

- A chcesz chwilę pogadać? Mam niezłą szkocką. Może być wpaść na godzinke?

- Z przyjemnością - odparł Kerry, znów ziewając. - Tylko że padam z nóg. Jutro mam ciężki dzień. A ty co - spektakl odwołany?

- Żebyś wiedział. Właśnie skończyłem sprawdzać prasę i czuję potrzebę wyostrenia umysłu. Co ci jest?

- Nic takiego, zczekaj chwilę. - Kerry odłożył słuchawkę, obejrzał się i aż go zatkało.

Co jest?!

Przeszedł przez hall i zatrzymał się w drzwiach kuchni, wybałuszając oczy. Radio zmywało naczynia. Po chwili wrócił do telefonu.

- No, co? - zapytał Fitzgerald.

- Moje nowe radio - wyartykułował jak najstaranniej Kerry - zmywa naczynia.

Fitz przez chwilę nie odpowiadał. Roześmiał się w końcu, ale bez przekonania.

- Co ty powiesz!

- Zadzwoń później - powiedział Kerry i odłożył słuchawkę. Chwilę stał bez ruchu, zagryzając usta. Potem wrócił do kuchni i obserwował aparat.

Radio stało tyłem do niego. Kilkorgiem cherlawych członków manipulowało przy naczyniach, nurzając je fachowo w gorącej wodzie z płynem pianącym, szorując zmywakiem, płuczac w czystej wodzie, a na koniec ustawiając porządnie na metalowej suszarce. Biczkowate łapki były jedynym dowodem aktywności urządzenia. Nogi zdawały się twarde i nieugięte.

- Hej, tam! - przemówił Kerry.

Odpowiedzi nie było.

Kerry przybliżył się chyłkiem. Czułki wyrastały z otworu poniżej jednej z gałek. Kabel bezużytecznie dyndał z tyłu. Czyli bez zasilania. Ale jak...

Kerry cofnął się nieco i wyszperał papierosa. Radio momentalnie wykonało w tył zwrot, wyjęło zapalną z pudełka na kuchence i podeszło do pana. Kerry zamrugał gwałtownie, patrząc na nogi. Nie mogły być drewniane. Zginały się jak... jak guma. Aparat wędrował dziwnym, posuwistym ruchem - niezwykłym.

Podalo Kerry'emu ogień i wróciło do zlewu, gdzie podjęło proces zmywania naczyń.

Kerry zadzwonił do Fitzgeralda.

- Nie zgrywałem się. Albo mam halucynacje, albo co. To cholerne radio przypaliło mi papierosa.

- Czekaj no - przerwał mu niepewnie Fitzgerald. - To kawał, tak?

- Nie. A co więcej, nie sądzę, żeby to były halucynacje. To twoja działka. Nie mógłbyś wpaść na chwilę i postukać mnie młotkiem w kolano?

- Dobra - odparł Fitz. - Daj mi dziesięć minut. Przygotuj coś do picia.

Wyłączył się, a Kerry, odkładając słuchawkę na widelki, zobaczył, jak radio przemaszerowuje z kuchni do salonu. Sześcienna, pudełkowata sylwetka budziła nieokreślony lęk; radio przypominało niesamowitego karła. Kerry zadrżał.

Poszedł za radiem i znalazł je na zwykłym miejscu, nieruchome i beznamiętne. Otworzył drzwiczki, dokładnie obejrzał skalę, ramię fonografu, wszystkie guziki i pokrętła. Z pozoru nic nie odbiegało od normy. Raz jeszcze dotknął nóg. Jednak nie były drewniane. Jakiś plastik, chyba bardzo twardy. A może - może jednak były z drewna? Żeby się upewnić, trzeba by zadrapać fornir. Kerry poczuł uzasadnioną niechęć do użycia noża przeciwko nowemu nabytkowi.

Włączył radio. Stacje lokalne łapał bez kłopotu. Ton był czysty - nienaturalnie czysty - pomyślał Kerry. Fonograf...

Na chybił-trafił wyciągnął „Wejście Bojarów” Halvorsena, umieścił płytę na krążku i zamknął pokrywę. Kompletna cisza. Bliższe oględziny potwierdziły, że igła wędruje rytmicznie po rowku, lecz bez najmniejszych rezultatów akustycznych. Co jest?

Kerry zdjął płytę i w tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł Fitzgerald, chudy jak tyka, jak zwykle cierpko skrzywiony, z twarzą poliniowaną zmarszczkami niczym dobrze wyprawiona skóra, ze skłębioną czupryną szpakowatych włosów. Wyciągnął na powitanie wielką, kościstą dłoń.

- Gdzie mój kieliszek?

- Przepraszam cię, Fitz. Chodź do kuchni. Już mieszam. Whisky z wodą?

- Niech będzie.

- Okej. - Kerry poszedł przodem. - Ale jeszcze nie pij. Chcę ci pokazać mój nowy nabytek.

- Ten do zmywania naczyń? - zapytał Fitzgerald. - Co on jeszcze potrafi?

Kerry podał mu szklanę.

- Nie chce odtwarzać płyt.

- Ach, to drobiazg, skoro wykonuje prace domowe. Rzućmy na niego okiem.

Fitzgerald przeszedł do salonu, wybrał z półki „Popołudnie Fauna” i podszedł z płytą do radia.

- Nie włączone.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Kerry, bliski paniki.

- Baterie? - Fitzgerald wsunął płytę na sztyft i pokręcił gałkami.

- Dziesięć cali, jest. Zobaczmy teraz. - Popatrzył na Kerry'ego z triumfalnym uśmiechem. - No i co powiesz? Gra!

Istotnie, grało.

- Spróbujmy tego Halvorsena. Masz. - Kerry podał płytę Fitzgeraldowi, który wcisnął klawisz i patrzył, jak ramię fonografu wędruje do góry.

Tym razem jednak fonograf odmówił posłuszeństwa. Nie lubił „Wejścia Bojarów” - i kropka.

- Ciekawe - bąknął Fitzgerald. - To pewnie wina płyty. Spróbujmy jeszcze inną.

Z „Dafnis i Chloe” nie było problemów. Za to „Bolero” tegoż kompozytora zostało odrzucone w milczącej pogardzie.

Kerry usiadł i wskazał przyjacielowi stojący obok fotel.

- To niczego nie dowodzi. Chodź teraz tutaj i patrz. Jeszcze nie pij. Czujesz się całkiem dobrze, co?

- Jasne. A bo co?

Kerry wyjął papierosa. Konsoleta przemaszerowała przez pokój zabierając po drodze pudełko z zapalkami i uprzejmie podała panu ogień. Następnie odmaszerowała z powrotem na miejsce przy ścianie.

Fitzgerald nie odezwał się ani słowem. Po chwili sam wyjął z kieszeni papierosa i czekał. Nic się nie zdarzyło.

- No i? - zapytał Kerry.

- Robot. To jedyna możliwa odpowiedź. Skąd ty go wytrzasnąłeś, na litość Petrarcki?

- Nie widać, żebyś się specjalnie zdziwił.

- A jednak się zdziwiłem. Z tym, że ja już widywałem roboty, odbywano z nimi próby w Westinghouse. Ale ten... - Fitzgerald postukał paznokciem w zęby. - Kto go zrobił?

- A skąd ja, u diabła, mam to wiedzieć? - spytał Kerry. - Przypuszczam, że ktoś, kto robi radia.

Fitzgerald przymrużył oczy.

- Poczekaj no. Nie całkiem rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Kupiłem ten zestaw parę dni temu. Stary zdałem. Dostarczyli mi go dzisiaj po południu, no i... - Kerry opowiedział wszystko po kolei.

- A więc nie wiedziałeś, że to robot?

- No właśnie. Kupiłem go jako radio. A ten... ten cholernik... jest prawie jak żywy.

- Bzdura. - Fitzgerald pokręcił głową, wstał i z bliska obejrzał konsoletę. - To nowy typ robota. A przynajmniej... - zawahał się. - Jak to inaczej tłumaczyć? Proponuję, żebyś jutro skontaktował się z firmą Mideastern i całą rzecz wyjaśnił.

- Otwórzmy skrzynkę i popatrzmy, co tam jest w środku - podsunął Kerry.

Fitzgerald nie był od tego, ale zamiar okazał się niewykonalny. Pozornie drewniane ścianki nie były skręcone śrubami, nigdzie też nie było widać miejsca, w którym skrzynka dawałaby się otworzyć. Kerry spróbował podważać śrubokrętem, z początku delikatnie, potem z hamowaną furią. Nie tylko nie udało mu się odgiąć ścianki, ale nie zdołał nawet zadrasnąć ciemnej, gładkiej powierzchni urządzenia.

- Niech to diabli! - zdenerwował się w końcu. - Może i masz rację. To robot. Nie wiedziałem, że potrafią coś takiego produkować. I czemu w postaci radia?

- Mnie pytasz? - wzruszył ramionami Fitzgerald. - Sprawdź jutro. To pierwszy krok. Dla mnie to też zagadkowa sprawa. Jeżeli wymyślono nową wersję wyspecjalizowanego robota - to po co ją umieszczać w radioadapterze? I na jakiej zasadzie poruszają się te nogi? Zawiasów nie widać.

- I ja się nad tym zastanawiałem.

- Kiedy on idzie, te nogi zachowują się jak... z gumy. Ale nie są z gumy. Są twarde jak najtwardsze drewno. Albo z plastyku.

- Ja się tego boję - wyznał Kerry.

- Chcesz przenocować u mnie?

- Nnie... Nie. Chyba nie. Ten... robot nic mi przecież nie zrobi.

- Nie sądzę, żeby miał złe zamiary. Jak dotąd tylko ci pomaga, prawda?

- Tak - przyznał Kerry i poszedł mieszać następne drinki.

Reszta rozmowy nie przyniosła żadnych wniosków. Po kilku godzinach Fitzgerald pojechał do domu. Był dosyć zaniepokojony. Sprawa nie wydawała mu się tak błaha, jak to okazywał przez wzgląd na nerwy Kerry'ego. Wpływ czegoś tak absolutnie nieoczekiwanego

na normalne życie był z lekka przerażający. A mimo to, jak już wcześniej stwierdził, robot nie wydawał się groźny.

Kerry położył się do łóżka z nowym kryminałem. Radio podążyło za nim do sypialni i delikatnie wyjęło mu książkę z ręki. Kerry instynktownie szarpnął ją z powrotem.

- Hejże! - obruszył się. - Co to ma znaczyć!

Radio odmaszerowało do salonu. Kerry za nim. W samą porę, aby obejrzeć akt odstawiania książki na półkę. Kerry postąpił chwilę, po czym wycofał się zamykając drzwi. Spał niespokojnie do świtu.

W szlafroku i kapciach, chwiejnym krokiem, udał się do konsoloty. Stała na swoim miejscu, jakby się nigdy stamtąd nie ruszała. Kerry zabrał się do śniadania. Wyglądał dość mizernie.

Wolno mu było wypić tylko jedną kawę. Drugą filiżankę wyrosłe jak spod ziemi radio karcącym ruchem wyjęło mu z ręki i opróżniło do zlewu.

Tego już było za wiele. Kerry Westerfield chwycił kapelusz, płaszcz i niemal biegiem opuścił dom. Miał paskudne uczucie, że radio może pobiec za nim, ale nie uczyniło tego, na szczęście dla równowagi psychicznej swego pana. Kerry był już na dobre zaniepokojony.

Podczas porannych zajęć znalazł chwilę na telefon do Mideastern. Dział sprzedaży o niczym nie wiedział. Radio było standardowym zestawem nowego typu. Jeżeli zawodzi, firma naturalnie z chęcią...

- Radio jest w porządku - przerwał Kerry. - Tylko kto je zrobił? Tego chciałbym się dowiedzieć.

- Proszę chwilę poczekać. - Nastąpiła cisza. - Ten egzemplarz

wyszedł z działu pana Lloyd. Pan Lloyd jest kierownikiem działu.

- Chciałbym z nim mówić.

Lloyd nie okazał się zbyt pomocny. Po długim namyśle przypomniał sobie, że ten konkretny zestaw umieszczono w magazynie bez numeru seryjnego. I z pewnym opóźnieniem.

- Ale kto go składał?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że to do sprawdzenia. Umówmy się, że sprawdzę i zadzwonię do pana.

- Proszę to koniecznie zrobić - powiedział Kerry wrócił na zajęcia. Wykład o Czcigodnym Bedzie nie był największym osiągnięciem jego kariery zawodowej.

Na lunchu spotkał Fitzgeralda, który z wyraźną ulgą powitał pojawienie się Kerry'ego przy stole.

- Dowiedziałeś się czegoś o swoim robociku? - zapytał profesor psychologii.

W zasięgu głosu nie było nikogo. Kerry usiadł z westchnieniem i zapalił papierosa.

- Nic a nic. To wielka satysfakcja działać na własną rękę. - Zaciągnął się głęboko. - Dzwoniłem do firmy.

- I?

- Nic nie wiedzą. Tyle tylko, że nie miał numeru seryjnego.

- To może być ważne - powiedział Fitzgerald.

Kerry opowiedział mu o książce i o kawie. Fitzgerald zasępił się nad szklanką mleka.

- Robiłem ci kiedyś testy psychologiczne. Źle znosisz nadmiar bodźców.

- Wątek kryminalny!

- To by już była lekka przesada. Ale rozumiem dlaczego twój

robot zachowywał się tak, a nie inaczej - chociaż nie wiem, skąd wie, jak ma się zachowywać. - Zawahał się. - Skąd wie, nie mając inteligencji.

- Inteligencji? - Kerry oblizal usta. - Wcale nie jestem taki przekonany, że to zwyczajna maszyna. A jeszcze nie zwariowałem.

- Nie, nie zwariowałeś. Ale mówisz, że robot był w drugim pokoju. Skąd mógł wiedzieć, co czytasz?

- Może ma rentgen w oczach, superszybkie zdolności postrzegania, dar asymilacji - nie mam pojęcia. Może on sobie w ogóle nie życzy, żebym ja czytał?

- To już coś - mruknął Fitzgerald. - Znasz się na teorii maszyn tego typu?

- Robotów

- Podkreślam: na teorii. Twój mózg jest, jak wiesz, koloidem. Zwartym, skomplikowanym, lecz powolnym. Wyobraź sobie teraz, że stworzysz mechanizm z multimilionową jednostką radioatomową otoczoną materiałem izolacyjnym. Co to jest, Kerry? Mózg! Mózg wyposażony w niewyobrażalną liczbę jednostek reagujących wzajemnie z prędkością światła. Głośnik radiowy osiąga płynny przepływ wtedy, kiedy pracuje na czterdziestu milionach oddzielnych sygnałów na sekundę. Teoretycznie, mózg radioatomowy, o jakim wspominałem, byłby zdolny do percepcji, identyfikacji, porównywania, reakcji i działania w ciągu jednej setnej, a nawet jednej tysięcznej sekundy.

- Teorie.

- I ja tak zawsze myślałem. Ale chciałbym wiedzieć, skąd się wzięło twoje radio.

Przyszedł woźny.

- Telefon do pana Westerfielda.

Kerry przeprosił i wyszedł. Wrócił zagadkowo marszcząc czarne

brwi. Fitzgerald popatrzył na niego pytająco.

- Dzwonił niejaki Lloyd z zakładów Mideastern. Rozmawiałem z nim o tym odbiorniku.

- Z jakim skutkiem?

Kerry pokręcił głową.

- Zerowym. Nie wie, kto składał ten egzemplarz.

- Ale składano go w ich zakładach?

- Tak. Jakieś dwa tygodnie temu. Ale nigdzie nie ma nazwiska technika. Lloyd zdaje się uważa, że to bardzo a bardzo zabawne. Bo zawsze wiedzą, kto składa które radio w ich fabryce.

- Czyli?

- Czyli nic. Zapytałem go, jak się otwiera skrzynkę. Mówi, że nic prostszego: wystarczy odkręcić śruby w tylnej ścianie.

- Przecież tam nie ma żadnych śrub - powiedział Fitzgerald.

- Wiem o tym.

Popatrzyli po sobie.

Pierwszy odezwał się Fitzgerald.

- Dałbym pięćdziesiąt dolarów za wiadomość, czy tego robota rzeczywiście zmontowano zaledwie dwa tygodnie temu.

- Dlaczego?

- Bo mózg radioatomowy wymaga treningu. Nawet w tak prostych sprawach jak przypalanie papierosa.

- Widział, jak ja zapalam papierosa.

- I naśladował cię. A zmywanie? Hm. Pewnie indukcja. Jeżeli ta maszynka przeszła trening, to jest robotem. Jeżeli nie...

- Fitzgerald urwał.

Kerry gwałtownie zamrugał oczami.

- To co?

- To nie wiem, co to za licha. Ma tyleż wspólnego z robotem, co my z eohippusem. Jedno wiem na pewno, Kerry: bardzo możliwe, że

żaden z dzisiejszych naukowców nie ma dostatecznej wiedzy, żeby skonstruować taki... coś takiego.

- Gonisz w piętkę - przerwał mu Kerry. - Przecież ktoś to zrobił.
- Mhm. Tylko - kiedy? I kto? Oto jest pytanie, które mnie dręczy.
- Za pięć minut mam wykład. Może byś zajrzał do mnie wieczorem?
- Nie mogę. Wieczorem wykładam w Pałacu. Potem zadzwonię do ciebie.

Kerry kiwnął głową i wyszedł, starając się nie myśleć więcej o sprawie radia. Całkiem nieźle mu się to udało. Jednak jedząc samotnie kolację w restauracji, poczuł ogólną niechęć do powrotu do domu. W domu czekał na niego karzeł.

- Brandy - polecił kelnerowi. - Niech będzie podwójna.

W dwie godziny później Kerry wysiadł z taksówki przed drzwiami swego domu. Był pod wyraźnym wpływem alkoholu. Wszystko pływało mu przed oczami. Zataczając się doszedł do ganku, z niezwykłą ostrożnością wgramolił się na schody, a następnie otworzył drzwi.

Pstryknął światło.

Radio wyszło mu na spotkanie. Cienkie, lecz silne jak stal czułki otoczyły tkliwie jego ciało, przytrzymując je w bezruchu. Kerrym targnął gwałtowny lęk. Bardzo chciał krzyknąć, ale miał kompletnie sucho w gardle.

Z radia wystrzelił promień żółtego światła. Oślepił Kerry'ego. Osunął się niżej, mierząc w klatkę piersiową. Kerry poczuł nagle dziwny smak pod językiem.

Po minucie, mniej więcej, promień wyłączył się z cichym pstryknięciem, czułki znikły, a konsoleta powróciła do kąta. Kerry dowlóknął

się jakoś do fotela i opadł nań, łapczywie chłonąc powietrze.

Był trzeźwy. Co wydawało się wszak niemożliwe. Czternaście kieliszków brandy pozostawia w systemie krwionośnym znaczną ilość alkoholu. Nie wystarczy machnąć czarodziejską różdżką, żeby w jednej chwili odzyskać trzeźwość. A jednak, właśnie coś takiego się zdarzyło.

Ten... robot chciał mu pomóc. Z tym, że Kerry chętniej pozostałby pijany.

Podniósł się i chyłkiem przeszedł koło radia do regału z książkami. Jednym okiem siedząc odbiornik, wyciągnął ten sam kryminał, który chciał czytać ubiegłej nocy. Tak jak się tego spodziewał, radio wyjęło mu książkę z ręki i odstawiło na miejsce. Wspomniawszy słowa Fitzgeralda, Kerry zerknął na zegarek. Czas reakcji - cztery sekundy.

Kerry wziął tom Chaucera i czekał, co będzie. Radio ani drgnęło. Kiedy jednak sięgnął po publikację historyczną, została mu ona troskliwie odebrana. Czas reakcji - sześć sekund.

Kerry wziął następną historię, dwa razy grubszą.

Czas reakcji - dziesięć sekund.

- Mhm. Ale - kiedy? I kto? Rentgenowskie widzenie i superszybka reakcja. O wielki Jehoszafacie!

Kerry wypróbował jeszcze parę książek, ciekaw kryterium wyboru. *Alicja w Krainie Czarów* została mu bezpardonowo wyrwana. Wiersze Millaya - nie. Sporządził dwukolumnową listę, na przyszłość.

A więc robot był nie tylko służącym. Był cenzorem. Ale jakie miał kryteria?

Kerry przypomniał sobie w końcu o wykładzie, który miał nazajutrz wygłosić. Zaczął kartkować notatki. W kilku miejscach trzeba było sięgnąć do tekstów źródłowych. Kerry z pewnym wahaniem

sięgnął po tom - a robot natychmiast mu go odebrał.

- Bez wygłupów - ostrzegł go Kerry. - To mi jest potrzebne.

Uczył jałową próbę wyrwania książki z zaciśniętych czułek. Odbiornik nie zwracał na niego uwagi. Spokojnie odstawił książkę na półkę.

Kerry stał nieruchomo, przygryzając wargi. Tego już było za wiele. Ten przeklęty robot zachowywał się jak więzienny dozorca. Kerry rzucił się do regałów, złapał książkę i zanim radio zdołało się poruszyć - już był w hallu.

To coś szło za nim. Słyszał ciche stapanie jego... stóp. Popędził do sypialni i zamknął drzwi od środka. Czekał z bijącym sercem. Całka powoli się przekreśliła.

Przez szparę w drzwiach wsunął się cienki jak drucik czulek robota. Zaczął manipulować kluczem. Kerry skoczył i zamknął dodatkową zasuwę. Ale i to nie pomogło. Precyzyjne narzędzia robota - jego wyspecjalizowane czułki - odemknęły zasuwę, po czym radio otworzyło drzwi, wmaszerowało do pokoju i zbliżyło się do Kerry'ego.

Kerry poczuł panikę. Dysząc, cisnął w radio książką, która została zręcznie pochwycona w locie. Widocznie o nic innego nie chodziło, gdyż radio natychmiast odwróciło się i wyszło, kołysząc się groteskowo na gumopodobnych nogach i unosząc z sobą zakazany tom. Kerry zaklął pod nosem.

Zadzwoił telefon. Fitzgerald.

- Jak tam? Radzisz sobie?
- Masz w domu *Literaturę społeczną* Cassena?
- Nie sędzę. A bo co?

- Nic, wezmę jutro z biblioteki uniwersyteckiej.

Kerry opowiedział, co się zdarzyło. Fitzgerald gwizdnął z cicha.

- Wtrąca się, tak? Hm. Ciekawe,..

- Ja się go boję.

- Nie wydaje mi się, żeby chciał zrobić ci krzywdę. Mówisz, że cię wytrzeźwił?

- Tak. Promieniem świetlnym. Niezbyt mądrze to brzmi, przyznaję.

- Wszystko jest możliwe. Wibracyjny odpowiednik chlorku tiaminy.

- W świetle?

- Światło słoneczne zawiera witaminy. Mniejsza o to. Cenzuruje twoje lektury - pewnie czyta te książki na zasadzie superszybkiej asymilacji. Nie wiem, czym jest ta maszynka, ale to nie jest zwykły robot.

- Mnie to mówisz! - obruszył się Kerry. - To istny Hitler!

Fitzgerald nie roześmiał się.

- Może byś zanocował u mnie? - zaproponował przytomnie.

- Nie. - W głosie Kerry'ego brzmiał zaciekle upór. - Żadne głupie radio, takie owakie, nie wypędzi mnie z własnego domu. Prędzej oberwie siekierą.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Gdyby... gdyby coś się zdarzyło, zaraz dzwoń do mnie.

- Dobra. - Kerry odłożył słuchawkę. Poszedł do salonu i zmierzył radio lodowatym spojrzeniem. Co to, u diabła, jest za stwór? I jakie ma zamiary? Z pewnością nie był to tylko robot. Z równą pewnością nie był żywy, w tym sensie, w jakim żywy jest mózg koloidalny.

Zaciskając usta w linijkę, Kerry podszedł bliżej i zaczął kręcić gałkami.

Z aparatu dobył się pulsujący, synkopowany rytm zespołu swingowego. Kerry przełączył na krótkie - nic nadzwyczajnego. A wniosek z tego?

Żaden. Odpowiedzi nie było.

Po chwili Kerry poszedł do łóżka.

Nazajutrz przyniósł na lunch *Literaturę społeczną* Cassena, żeby ją pokazać Fitzgeraldowi.

- Co takiego?

- Spójrz. - Kerry przerzucił parę kartek i wskazał na pewien akapit. - Rozumiesz coś z tego?

Fitzgerald przeczytał akapit.

- Tak. Chodzi zdaje się o to, że warunkiem powstawania literatury jest indywidualizm. Zgadza się?

Kerry spojrzał na niego.

- Nie wiem.

- Jak to?

- Z moją głową dzieje się coś dziwnego.

Fitzgerald zmierzwił siwiejącą czuprynę, mrużąc oczy i bacznie obserwując kolegę.

- Zaczynj jeszcze raz. Niezupełnie...

- Dziś rano - zaczął Kerry z przesadną, podszytą irytacją cierpliwością - poszedłem do biblioteki, żeby sprawdzić ten właśnie kawałek. Przeczytałem go. I nic nie zrozumiałem. Słowa. Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek wysiada z nadmiaru lektury? Trafiasz na zdanie z dużą ilością zdań podrzędnych - i w nic ci się ono nie składa. Właśnie tak to było.

- Przeczytaj to teraz - podpowiedział cicho Fitzgerald i pchnął książkę przez stół do Kerry'ego.

Kerry usłuchał.

- Nic z tego - uśmiechnął się krzywo.

- Przeczytaj na głos. Będę śledził tekst razem z tobą.

I to nie pomogło. Kerry wydawał się kompletnie niezdolny do pojęcia sensu akapitu.

- Blokada semantyczna, to możliwe - podrapał się w ucho Fitzgerald. - Nigdy jeszcze ci się to nie zdarzyło?
- Nie... tak. Nie wiem.
- Masz zajęcia po południu? Nie? To dobrze. Jedźmy do ciebie. Kerry odepchnął talerz.
- Dobra. Nie jestem głodny. Jak tylko będziesz gotów...

Pół godziny później patrzyli obaj na radio. Wyglądało całkiem nieszkodliwie. Fitzgerald zmarnował trochę czasu na próby otwarcia tylnej ścianki, w końcu jednak dał spokój. Z kartką i ołówkiem zasiadł naprzeciw Kerry'ego i zaczął zadawać pytania.

W pewnym momencie zatrzymał się.

- A o tym mi nie wspominałeś.
- Musiałem zapomnieć.

Fitzgerald postukał ołówkiem w zęby.

- Hm. Pierwszym działaniem radia było...
- Strzelanie mnie po oczach niebieskim światłem.
- Nie o to chodzi. Co ono wtedy powiedziało?

Kerry zamrugnął powiekami.

- Co powiedziało? - zawahał się. - „Schemat psychologiczny sprawdzony i zakodowany” – coś w tym sensie. Wtedy zdawało mi się, że to kawałek quizu albo co. Uważasz...?

-- Czy mówiło wyraźnie? Dobrą angielszczyzną?

- Nie, teraz sobie przypominam. - Kerry skrzywił się. - Słowa były zniekształcone. Akcent na samogłoski.

- Ach tak. No, jedźmy dalej.

Spróbowali testu na kojarzenie słów.

W końcu Fitzgerald ze zmarszczonym czołem opadł na oparcie.

- Chciałbym porównać te wyniki z wynikami testów, które ci

robiłem parę miesięcy temu. Wygląda mi to dziwnie, bardzo dziwnie. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, czym naprawdę jest pamięć. O mnemonice - pamięci sztucznej - wiemy już sporo. Ale możliwe, że cała rzecz polega na czymś całkiem innym.

- Co?

- Ta... maszyna albo ma sztuczną pamięć, doskonale wyszkoloną, albo też przystosowana jest do innego środowiska i innej kultury. Na ciebie wywarła wpływ... bardzo znaczny.

Kerry zwilżył językiem spierzchnięte usta.

- W jakim sensie?

- Spowodowała blokady w mózgu. Jeszcze ich nie skorelowałem. Kiedy to zrobię, być może uzyskamy jakąś odpowiedź. Nie, to z pewnością nie jest robot. To coś znacznie więcej.

Kerry wyjął papierosa; konsoleta przemaszerowała przez pokój i podała mu ogień. Obaj mężczyźni obserwowali ją z dławiącym, obezwładniającym uczuciem przerażenia.

- Powinieneś zanoćować dziś u mnie - zaproponował Fitzgerald.

- Nie - odparł zdecydowanie Kerry. Zatrząśł się cały.

Następnego dnia w porze lunchu Fitzgerald rozglądał się po całej stołówce, ale Kerry'ego nie było. Zadzwoił do niego do domu. Telefon odebrała Marta.

- Witaj! Kiedy wróciłaś?

- Cześć, Fitz. Godzinę temu. Siostra się pospieszyła i urodziła beze mnie, więc wróciłam.

Marta przerwała. Fitzgeralda zaniepokoił ton jej głosu.

- Gdzie jest Kerry?
- Jest w domu. Nie mógłbyś wpaść, Fitz? Martwię się.
- Co mu jest?
- Ja... ja nie wiem. Przyjedź jak najszybciej.
- Okej. - Fitzgerald odłożył słuchawkę, przygryzając dolną wargę. Był zaniepokojony. Kiedy nieco później naciskał dzwonek u drzwi Westerfieldów, uświadomił sobie, że słabo panuje nad nerwami. Widok Marty jednak postawił go na nogi.

Poszedł za nią do salonu. Jego wzrok natychmiast podążył ku konsolocie, która stała w kącie jakby nigdy nic, a następnie ku Kerry'emu, usadowionemu nieruchomo przy oknie. Na twarzy Kerry'ego malowała się pustka i oszołomienie. Miał zwężone źrenice i nie od razu poznał Fitzgeralda.

- Cześć, Fitz - przywitał go.

- Jak się czujesz?

Marta nie wytrzymała.

- Co z nim jest, Fitz? Zachorował? Może ja wezwę lekarza?

Fitzgerald usiadł.

- Nie zauważyłaś nic dziwnego w związku z tym radiem?

- Nie. A bo co?

- No to słuchaj.

Opowiedział jej wszystko od początku, patrząc jak na twarzy Marty niedowierzanie walczy z niechcianą wiarą.

- Nie mogę... - odezwała się wreszcie.

- Kiedy Kerry wyjmie papierosa, to coś poda mu ogień. Chcesz zobaczyć?

- Nnie... Tak. Chyba tak. - Oczy Marty były teraz ogromne.

Fitzgerald dał Kerry'emu papierosa. Stało się to, czego oczekiwali.

Marta nie powiedziała. Kiedy radio wróciło na miejsce, zarządała od stóp do głów i podeszła do Kerry'ego. Spojrzał na nią niewidzącymi oczami.

- Tu trzeba lekarza, Fitz.

- Tak. - Fitzgerald nie miał odwagi powiedzieć jej, że doktor nic tu nie wskóra.

- Co to właściwie jest?

- Coś więcej niż robot. Sukcesywnie przerabia Kerry'ego. Opowiedziałem ci, co się działo. Sprawdziłem wzorce psychologiczne Kerry'ego i stwierdzam, że uległy zmianie. Zatracił całą niemal inicjatywę.

- Nie ma na świecie człowieka zdolnego skonstruować taki aparat.

Fitzgerald skrzywił się.

- Ja też tak myślę. Mnie to wygląda na wytwór wysoko rozwiniętej kultury i to całkiem innej niż nasza. Może marsjańskiej. Jest to przedmiot o działaniach tak wyspecjalizowanych, że pasuje wyłącznie do bardzo złożonej kultury. Ciekawe tylko, dlaczego wygląda dokładnie tak jak odbiornik firmy Mideastern.

Marta dotknęła dłoni Kerry'ego.

- Kamuflaż?

- Ale w jakim celu? Byłaś jedną z moich najlepszych studentek, Marto. Spójrz na to logicznie. Wyobraź sobie cywilizację, w której tego typu mechanizm ma rację bytu. Spróbuj rozumować indukcyjnie.

- Próbuję. Niezbyt dobrze mi to wychodzi, Fitz. Martwię się o Kerry'ego.

- Nic mi nie jest - powiedział Kerry.

Fitzgerald złożył czubki palców.

- To nie radio, to nadzorca. Może w tej innej cywilizacji każdy ma coś takiego, a może tylko nieliczni - ci, którym to potrzebne, bo

utrzymuje ich w ryzach?

- Zabijając inicjatywę?

Fitzgerald wykonał gest bezradności.

- Przecież ja nie wiem! Tak zadziało w przypadku Kerry'ego.

W innych przypadkach – nie wiem.

Marta wstała.

- Szkoda czasu na gadanie. Kerry potrzebuje lekarza. A potem zastanowimy się, co począć z... tym - wskazała na konsolę.

- Szkoda rozwalać - powiedział Fitzgerald. - Ale... - popatrzył wymownie na Martę.

Odbiornik poruszył się. Posuwicie, kolebiąc się na boki, wylazł z kąta i podszedł do Fitzgeralda. Fitzgerald skoczył, a wówczas pochwytyły go gwałtownie biczycowate czułki. Błady promień zaświecił prosto w jego oczy.

Zgasł niemal natychmiast; czułki cofnęły się i radio powróciło na miejsce. Fitzgerald stał jak wmurowany. Marta zerwała się na równe nogi, zasłaniając usta ręką.

- Fitz! - Głos jej drżał.

Odpowiedział, ale nie od razu.

- Tak? O co chodzi?

- Nic ci nie jest? Co ono ci zrobiło?

Fitzgerald zmarszczył brwi.

- Co? Ono? Nie rozumiem...

- To radio. Co ono zrobiło?

Popatrzył na konsolę.

- A co, popsulo się? Ze mnie żaden mechanik, Marto.

- Fitz. - Podeszła i ścisnęła go za ramię. - Posłuchaj – mówila szybko, gorączkowo. Radio. Kerry. Rozmowa przed chwilą.

Fitzgerald patrzył na nią otepiały, jakby niewiele rozumiał.

- Jakiś głupi dzisiaj jestem. Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

- Radio - przecież wiesz! Mówiłeś, że odmieniło Kerry'ego... -

Marta urwała, patrząc na niego z przerażeniem.

Fitzgerald był wyraźnie skonsternowany. Marta zachowywała się dziwnie. Bardzo dziwnie! Zawsze uważał ją za niebrzydką, roztropną panienkę. A teraz opowiadała brednie! On przynajmniej nie pojmował sensu jej słów - ani w ząb.

I dlaczego tyle paplała o tym odbiorniku? Żle działa? Kerry cieszył się, że zrobił dobry interes - strojenie doskonałe, najnowsze urządzenia. Fitzgeraldowi przeszło przez myśl, że Marta zwariowała.

Tak czy owak, już był spóźniony na zajęcia. Powiedział to głośno. Marta nie próbowała go zatrzymać. Była blada jak ściana.

Kerry wyjął papierosa. Radio podeszło i podało mu zapaloną zapalkę.

- Kerry!

- Słucham cię, Marto? - głos Kerry'ego był martwy.

Marta popatrzyła w panice na... radio. Marsjanie? Inny świat, inna cywilizacja? Co to jest? Czego chce? Co usiłuje zrobić?

Marta poszła do garażu. Wróciła zaciskając w dłoni małą siekierkę.

Kerry obserwował Martę. Widział, jak zbliża się do radia i unosi siekierę. Wtedy z radia wystrzelił promień światła i Marta znikła. W blasku popołudniowego słońca unosił się obłoczek pyłu.

- Zniszczenie formy żywej grożącej atakiem - zakomunikowało radio nie rozdzielając słów.

Mózg Kerry'ego wykonał salto. Poczł mdłości, zawrót głowy i przeraźliwą pustkę. Marta...

Kotłowało mu się w głowie. Instynkt i emocje walczyły z czymś, co je dławilo. Nagle tamy puściły, blokady pękły, runęły barykady. Kerry z nieartykułowanym wrzaskiem skoczył na równe nogi.

- Marta! - krzyczał.

Nie było jej. Rozejrzał się dookoła. Gdzie...

- Co tu się stało? - Nie pamiętał.

Usiadł na nowo w fotelu, pocierając czoło. Wolną ręką wyciągnął papierosa w automatycznym geście, który wywołał natychmiastową reakcję. Radio podeszło z płonąą zapalką.

Kerry wydał zduszony odgłos, jakby miał zaraz zwymiotować, i wyskoczył z fotela. Teraz już sobie przypomniał. Chwycił siekierkę i rzucił się na radio, szczerząc zęby w krwiożerczym uśmiechu.

Znów wystrzelił promień.

Kerry zniknął. Siekiera spadła na dywan.

Radio odmaszerowało na miejsce i stanęło bez ruchu. Z radioatomowego mózgu dobyło się nikłe tykanie.

- Podmiot z gruntu nieodpowiedni - oświadczyło po chwili. - Konieczność eliminacji. - Pstryk! - Przygotowania do następnego podmiotu zakończone.

Pstryk.

- Bierzemy - powiedział chłopak.

- Nie pożałują państwo - uśmiechnął się pośrednik. - Zacisze, z dala od ludzi, a i cena niezbyt wygórowana.

- Powiedzmy - wtrąciła dziewczyna. - Ale czegoś takiego właśnie szukaliśmy.

Pośrednik wzruszył ramionami.

- Dom nieumeblowany byłby, rzecz jasna, tańszy. Ale...
- Za krótko jesteśmy małżeństwem, żeby się dorobić własnych mebli - uśmiechnął się chłopak. Objął żonę. - Podoba ci się, kochanie?

- Mhm. Kto tutaj mieszkał?

Pośrednik poskrobał się po policzku.

- Zaraz, zaraz... Niejacy Westerfieldowie, zdaje się. Dostałem ten dom na listę zaledwie tydzień temu. Ładna chałupka. Żeby nie to, że już mam własną, sam bym się na nią połączył.

- Fajne radio - zauważył chłopak. - To chyba najnowszy model? - podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć konsolocie.

- Chodź - ponaglała dziewczyna. - Jeszcze raz obejrzymy kuchnię.

- Już idę, kochanie.

Wyszli z pokoju. Aksamitny głos pośrednika dobiegał z hallu coraz słabiej. Przez okna wpadło ukosem ciepłe popołudniowe słońce.

Przez chwilę było cicho. A potem...

Pstryk!

przełożyła Jolanta Kozak

CHOCIAŻ MU SIĘ NIE PRZELEWA

Aby historię tę uczynić wiarygodną, należałoby ją napisać po niemiecku. To zaś nie miałoby sensu, gdyż świat niemieckojęzyczny i tak ma już dość kłopotów z tej racji, że mu się nie przelewa.

Mówię metaforycznie. Tak jest bezpieczniej. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Rutherford, który dzielił swe zainteresowania sprawiedliwie pomiędzy semantykę a Basin Street, potrafiłby - co nie daj Bóg - stworzyć angielski odpowiednik tego, o czym mowa. Wyliczanka, której dotyczy ta opowieść, z uwagi na *reductio ad absurdum* rytmu i sensu, w przekładzie traci wszelkie znaczenie. To tak, jakby przetłumaczyć na niemiecki Dżabbersmoka - no i co z tego?

W wyliczance, którą Rutherford napisał po niemiecku, nie ma ani słowa o przelewaniu, ponieważ jednak oryginał jest z oczywistych względów niedostępny, zastąpię go najbliższym odpowiednikiem, jaki istnieje w języku angielskim. Wersji angielskiej brak owej bezwzględnej doskonałości, nad którą Rutherford pracował miesiącami - ale z grubsza wiadomo będzie, w czym rzecz.

Zacniemy, jak sądzę, od wieczoru, w którym Rutherford rzucił w syna butem. Miał powód. Phil Rutherford był szefem wydziału semantyki na uniwersytecie i próbował właśnie za jednym zamachem zwalczać kaca i poprawiać klasówki. Niewydolność fizyczna zamknęła mu drogę do wojska, nad czym rozmyślał z żalem, pytając sam siebie, czy nie powinien przypadkiem zażyć jeszcze paru jednostek tiaminy Shermana, a przy tym odczuwając szczególnie silny przypływ nienawiści do studentów. Przedłożone przez nich prace były do

kitu. Od większości śmierdziało na kilometr. Rutherford, ze swą niemal nabożną miłością do słowa, nie mógł znieść, że ktoś słowem pomiata. Jak powiadał Humpty Dumpty: „Kto ma być panem”* [Lewis Carroll, *O tym, co Alicja odkryła* po drugiej stronie lustra, tłum. Macieja Słomczyńskiego, Czytelnik, 1975.].

Studenci rzadko bywali panami języka. A jednak praca Jerry'ego O'Briena była dobra i Rutherford przejrzał ją starannie, z ołówkiem w ręku. Nie przeszkadzało mu radio z salonu; drzwi były przecież zamknięte. Nagle jednak radio umilkło.

- Hej! - Trzynastoletni syn Rutherforda wetknął przez drzwi niezbyt porządnie uczesaną głowę. Na czubku nosa młodzieńca widniała atramentowa smuga. - Hej, tata. Odrobiłem. Mogę wyjść?

- Za późno - oświadczył Rutherford, zerkając na ręczny zegarek. - Przykro mi. Ale jutro masz lekcje od rana.

- „Nom d'une plume” - burknął Bill. Język francuski zaczął odkrywać niedawno.

- Jazda stąd. Mam robotę. Idź, posłuchaj sobie radia.

- Okropnie dzisiaj pieprzą. No, dobra... – Bill wycofał się z pokoju, pozostawiając drzwi uchylone. Z przyległego pokoju dobiegły Rutherforda niezrozumiałe, przytłumione głosy. Powrócił do pracy.

Nagle uświadomił sobie, że Bill powtarza w kółko monotony, rytmiczny łańcuch słów. Automatycznie zaczął się wsłuchiwać, chcąc złapać znaczenie. Udało mu się, ale słowa były bez sensu - typowa dziecięca wyliczanka:

- Ene due like fake...

Rutherford uświadomił sobie, że słyszy to już od dość dawna, ten głupi wierszyk, zakończony sakramentalnym „i-mo-re-le-bax!” - Takie

głupstwa denerwująco czepiają się głowy.

- Ene due - nucił Bill bezmyślnie i monotonnie.

Rutherford wstał i zamknął drzwi. Nie całkiem pomogło. Rytmiczny zaśpiew docierał do niego dokładnie tak głośno, aby zmusić umysł Rutherforda do pracy w identycznym rytmie. Ene due like fake - a niech to szlag trafi!

Po chwili Rutherford złapał się na tym, że porusza ustami i, pomrukując gniewnie, szura papierami po biurku w tę i z powrotem. Był zmęczony - i tyle. A poprawianie prac egzaminacyjnych wymaga skupienia. Ucieszył się słysząc dzwonek u drzwi.

Przyszedł Jerry O'Brien, jego pokazowy student. Jerry był wysokim, chudym brunetem, obdarzonym pasją dla tej samej stonowanej muzyki języka, która tak pociągała Rutherforda. Wszedł, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Witam, panie psorze - powitał Rutherforda. - Przyjęli mnie. Dzisiaj dostałem papiery.

- To wspaniale. Siadaj i mów.

Do mówienia było niewiele, ale trochę to jednak potrwało. Bill kręcił się w tle, podsłuchując jednym uchem. Rutherford rzucił mu druzgocące spojrzenie.

- Przestań z tym ene-due, dobrze?
- Co? Przepraszam, nawet nie wiedziałem...
- On to robi całymi dniami - pożalił się Rutherford gościowi. -

Ja to już słyszę przez sen!

- Semantyka takie zjawiska nie powinny niepokoić.
- Te cholerne prace semestralne! A gdybym tak wykonywał ważną robotę precyzyjną, naprawdę ważną? Taki łańcuszek słów wkręca się człowiekowi w mózg i nie ma siły, żeby się go pozbyć.
- Zwłaszcza w stanie napięcia lub wzmożonej koncentracji. Rozprasza uwagę, prawda?

- Mnie tam nie rozprasza - zaproponował Bill.
- Rutherford chrząknął niecierpliwie.
- Poczekaj, aż dorośniesz i będziesz się musiał naprawdę nad czymś skupić, mieć umysł ostry jak brzytwa. Precyzja - to jest to. Zobacz, do czego dzięki niej doszli naziści.
 - Co takiego?
 - Integracja myśli - mówił w uniesieniu Rutherford. - Trening absolutnej koncentracji. Niemcy budowali swoją machinę latami - z superczujności zrobili istny fetysz. Pomyśl o środkach stymulujących, które podają pilotom przed atakiem. Bezparadonowo odcięli wszystkie czynniki mogące zagrozić *über alles*.
- Jerry O'Brien zapalił fajkę.
- Trudno rozproszyć uwagę Niemca. Niemieckie morale to zabawna rzecz. Niemcy mają głębokie przekonanie, że są nadludźmi i że nie ma w nich słabości. Sądzę, z psychologicznego punktu widzenia, że byłoby ciekawą sztuczką przekonać ich o tym, iż każdy z osobna może być słaby.
 - Pewnie, tylko jak to zrobić? Semantyką?
 - Jeszcze nie wiem. Chyba tylko ogniem zaporowym. Ale bomba to przecież żaden argument. Rozerwać faceta na kawałki nie znaczy przekonać jego kumpli, że był słabeuszem. Nie... Trzeba nakłonić Achillesa, żeby sam zauważył, że ma piętę.
 - Ene due like fake - mruknął Bill.
 - Właśnie coś w tym stylu - rzekł O'Brien. - Sprawić, żeby facetowi zaczęła chodzić po głowie jakaś głupia piosenka. Wtedy nielato będzie mu się skupić. Na mnie to się sprawdza, ilekroć dam się złapać na „Siała baba mak”.
 - Pamiętasz tańce szaleńców z epoki średniowiecza? - odezwał się nagle Rutherford.

- Forma zbiorowej histerii, prawda? Ludzie stawali w szeregu i trzęśli się, póki nie padli.

- Rytmiczna egzaltacja nerwowa. Nie doczekała się wyczerpujących wyjaśnień. Całe życie - cały wszechświat - opiera się na rytmie... ale nie będę cię zanudzał kosmologiami. Spuśćmy z tonu, zejdźmy do poziomu Basin Street. Dlaczego ludzie dostają bzika na punkcie niektórych rodzajów muzyki? Dlaczego „Marsylianka” wzniciła rewolucję?

- No, dlaczego?

- Bóg raczej wie - wzruszył ramionami Rutherford. - Fakt, że pewne układy fraz, niekoniecznie muzycznych, wyposażone w rytm, rym lub aliterację, czepiają się ludzkiej głowy. Zwyczajnie nie sposób się ich pozbyć. A... - tu przerwał.

O'Brien spojrzał na niego pytająco.

- A co?

- Niedoskonałość semantyki - rzekł wolno Rutherford. - Ciekawe. Pomyśl, Jerry, „Siała baba mak” jakoś da się w końcu zapamięć. Można tego typu rzecz wyrugować z pamięci. Ale założmy, że istnieje łańcuch frazeologiczny nie do zapomnienia? Czynniki perwersji nie pozwoliłyby wywabić go z pamięci - sam wysiłek w stronę zapomnienia niweczyłby efekt. Hmm... Założmy, że ktoś ci każe pod żadnym pozorem nie wspominać o nosie Billa Fieldsa. Chodzisz i powtarzasz sobie w kółko: „nie mówić o nosie, nie mówić o nosie”. W końcu słowa te zatracają wszelki sens. A kiedy spotykasz Fieldsa, witasz go, całkiem nieświadomie: „Moje uszanowanie, panie Nos”. Rozumiesz?

- Chyba tak. Jak w tej anegdocie: jeżeli spotkasz srokatego konia, odziedziczysz wielką fortunę – pod warunkiem, że mijając konia ani razu nie pomyślisz o jego ogonie.

- No właśnie. - Rutherford wyraźnie się ucieszył. - Wystarczy jeden doskonały wzór semantyczny i o zapomnieniu nie ma mowy. A wzór doskonały powinien mieścić w sobie wszystko. Powinien mieć rytm i akurat tyle sensu, żeby człowiek zaczął się zastanawiać, o co tu chodzi. Nie musi chodzić o nic, ale...

- Dałoby się wymyślić taki wzór?

- Pewnie. Pewnie. Połączyć język z matematyką i psychologią i coś by z tego wyszło. Możliwe, że właśnie coś takiego napisano przypadkiem w średniowieczu - coś, co wywołało owe szaleńcze tańce.

- Nie bardzo mi się to podoba - skrzywił się O'Brien. - Zbytńio trąci hipnozą.

- Nawet jeżeli tak, to jest to autohipnoza, do tego nieświadoma. W tym cały urok przedsięwzięcia. Spróbujmy, tak dla draki; przysuń sobie krzesło.

Rutherford sięgnął po ołówek.

- Hej, tato - wtrącił się Bill. - A może napiszecie to po niemiecku?

Rutherford i O'Brien popatrzyli po sobie; zatkało ich. Z wolna w oczach jednego i drugiego zapalił się błysk diabolicznego zrozumienia.

- Po niemiecku? - powtórzył pod nosem Rutherford. - Zdawałeś niemiecki, prawda, Jerry?

- Tak. A pan też co nieco umie. Czemu nie, możemy napisać po niemiecku, czemu nie? Naziści mają już pewnie po dziurki w nosie pieśni „Horst und Wessel”.

- No to... tak... dla draki - powiedział Rutherford. - Spróbujmy. Najpierw rytm. Chwytny rytm, z cesurą, żeby uniknąć monotonii. Melodii nie potrzebujemy. - Przez chwilę bazgrał coś na kartce. - To oczywiście mało prawdopodobne, a nawet gdyby, Waszyngton i tak

się tym nie zainteresuje. - Mój stryj jest senatorem - rzucił mimochodem O'Brien.

LEWA!

LEWA!

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy

LEWAtywę DOBRZE znosi

CHOCIAŻ mu się NIE PRZElewa

LEWA!

LEWA!

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy...

- No, a jeżeli coś o tym wiem? - zapytał senator O'Brien.
- Oficer wpatrywał się w zawartość otwartej przed chwilą koperty.
- Wręczył mi to pan przed paroma tygodniami z poleceniem, abym nie otwierał do chwili otrzymania polecenia. Co teraz?
- Przeczytał pan tekst.
- Przeczytałem. Zamęcza pan jeńców nazistowskich w hotelu Adirondack. Maci im pan w głowie uporczywie powtarzaną niemiecką wyliczanką, która dla mnie nie ma rąk i nóg.
- Naturalnie. Pan nie zna niemieckiego. Ja też nie. Ale zdaje się, że wśród Niemców to chwyciło.
- Wiem z poufnych doniesień, że wiele tańczą i śpiewają.
- Tańczą... no, niezupełnie. Nieświadome odruchy rytmiczne. I powtarzają przy tym ten... no... wzór semantyczny.
- Ma pan tłumaczenie?
- Mam, ale po angielsku to bez sensu. W języku niemieckim

ma stosowny rytm i zaśpiew. Tłumaczyłem już panu...

- Wiem, senatorze, wiem. Ale Departament Wojny nie ma czasu na mgliste teoryjki.

- Krótko mówiąc, polecam nadawać tę formułkę jak najczęściej w audycjach transmitowanych do Niemiec. Może to stanowić pewną uciążliwość dla spikerów, ale poradzą sobie. Naziści zresztą też, tylko zanim do tego dojdzie, ich morale weźmie w łeb. Wciągnijcie do współpracy rozgłośnię alianckie...

- Pan naprawdę w to wierzy?

Senator czknął ze śmiechu.

- Szczerze mówiąc, to nie bardzo. Ale mój siostrzeniec prawie mnie przekonał. Pomagał profesorowi Rutherfordowi w opracowaniu tej formułki.

- I przekonał pana?

- Nie do końca. Ale sam ciągle chodzi i mamrocze po niemiecku. Rutherford tak samo. Tak czy owak, zaszkodzić to nie może. A ja chciałbym zbadać rzecz do końca.

- Ależ - oficer zerknął na wierszyk w języku niemieckim - co to może człowiekowi szkodzić, że sobie będzie powtarzał piosenkę? W jaki sposób może to nam pomóc...

LEWA!

LEWA!

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy

LEWAtywę DOBRZE znosi

CHOCIAŻ mu się NIE PRZElewa

LEWA!

LEWA!

- *Aber!* - zdenerwował się Harben - *Aber, aber, aber!*

- Żadne ale! - uciął jego zwierzchnik oficer, Eggerth. - Wioskę należy gruntownie przeszukać. Najwyższe Dowództwo kwateruje tu jutro swe oddziały w drodze na front wschodni i musimy mieć pewność, że nigdzie nie ma ukrytej broni.

- *Aber* przeszukujemy tę wieś regularnie!

- Więc przeszukacie jeszcze raz - polecił Eggerth. - Znacie tych cholernych Polaków. Wystarczy się na chwilę odwrócić, a wyciągają spluwę z powietrza. Nie życzymy sobie, żeby do führera docierały krytyczne sprawozdania na nasz temat. A teraz - odmeldować się, muszę skończyć raport, niezwykle dokładny. - Przekartkował plik notatek. - Pogłowie bydła, pogłowie owiec, przewidywany urodzaj - ach! Proszę wyjść i dać mi się skupić. Przeszukać starannie.

- *Heil* - burknął ponuro Harben i odwrócił się. W drodze do drzwi jego stopy same odnalazły znajomy rytm. Zaczął coś mamrotać.

- Kapitanie Harben!

Harben zatrzymał się.

- Co wy tam, u diabła, mrużycie pod nosem?

- Aa, to... żołnierze mają nową piosenkę do marszu. Głupia, bo głupia, ale wpada w ucho. Świetnie się przy niej maszeruje.

- Co to za piosenka?

Harben pogardliwie machnął ręką.

- Bez sensu. Idzie tak: Lewa, lewa, Lewantyńczyk spolegliwy...
Eggerth przerwał mu.

- To ta! Słyszałem ją. *Unsinn. Heil.*

Harben wyszedł heilując i poruszając ustami. Eggerth pochylił się nad raportem, mrużąc oczy w podłym świetle. Dziesięć sztuk bydła, niewartych nawet uboju, ale krowy dają trochę mleka... Hmm. Zboże - tu też sytuacja nie przedstawiała się pomyślnie. Czym ci

Polacy się żywią? Przynajmniej nie muszą się bać lewatywy. Co ma lewatywa do tego, że się komuś nie przelewa...?

Co z tą lewatywą? Może taki Lewantyńczyk to zwyczajny masochista - chociaż mu się nie prze-LEWA

LEWA

LEWA

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy

LEWAtywę DOBRZE znosi...

Eggerth zmitygował się. Ołówek od nowa zaczął biegać po papierze. Zboże - obliczał nieco wolniej niż zwykle, gdyż umysł jego wciąż obsuwał się w koleinę bzdurnego rytmu. *Verdammt!* Nie dać się...

Liczba mieszkańców wioski: trzydzieści rodzin - czy przypadkiem nie czterdzieści? Tak, czterdzieści. Mężczyźni, kobiety, dzieci, na ogół nieliczne rodziny. Lewantyńczyka ze świecą by tu szukać. Nie mówiąc o lewatywie. Lewantyńczyk. Lewatywa. Dlaczego oni tak dobrze znoszą lewatywę? Bzdura? Czy to, na miły Gott, takie ważne, że jakiś nieistniejący, hipotetyczny Lewantyńczyk dobrze znosi lewatywę, nawet jeżeli mu się nie przelewa LEWA

LEWA

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy...

- Do diabła rogatego! - nie wytrzymał Eggerth. Wściekły popatrzył na zegarek. - Powinienem już dawno skończyć ten raport. Spolegliwy! Tfu!

Raz jeszcze pochylił się nad pracą, obiecując sobie, że nie pomyśli o... o...

Ale to, o czym miał nie myśleć, chrobotąło uporczywie po zakamarkach myśli jak natrętna mysz. Ilekroć uświadomił sobie obecność tego, udawało mu się bzdurę odegnać. Niestety, zaczął w zamian pouczać własną podświadomość: „Nie myśleć o tym. Zapomnieć”.

- Co zapomnieć? - pytała automatycznie podświadomość.
- Chociaż mu się nie przeLEWA...
- Aha! - mówiła na to podświadomość.

Patrol nie wykazał się zwykłą gorliwością i sumiennością. Żołnierze nie potrafili się należycie skupić na zadaniu. Harben wyszczeniwał rozkazy, mając świadomość pewnego rozproszenia uwagi - pot spływał z niego pod mundurem, szorstkie ubranie drapało, czuł na sobie milczącą obserwację i wyczekiwanie Polaków. To było właśnie najgorsze w roli żołnierza armii okupacyjnej. Człowiek wiecznie czuł, że pokonani czekają. No, cóż...

- Przeszukać - polecił Harben. - Dwójkami. Starannie.

Żołnierze dbali o staranność. Wędrowali po wiosce wzdłuż i wszerz, do bliskiego sercu, chwyтлиwego rytmu, poruszając przy tym ustami. Co, rzecz jasna, nikomu jeszcze nie szkodziło. Jedyny zgrzyt nastąpił na strychu, gdzie dwaj żołnierze prowadzili rewizję. Harben zaszedł tam na inspekcję. Nie wierzył własnym oczom, kiedy jeden z żołnierzy, otworzywszy kredens, popatrzył spokojnie na pordzewiałą lufę karabinu i zamknął drzwiczki. Harben na moment stracił głowę. Żołnierz sprawdzał dalej.

- Baczość! - rozkazał Harben.

Stuknęły obcasy.

- Vogel, ja to widziałem.

- Tak jest? - Na szerokiej, młodej twarzy Vogla malowało się szczere zdumienie.

- Szukamy broni. A może Polacy przekupili cię, żebyś pewnych rzeczy nie zauważał, co?

Vogel oblał się rumieńcem.

- Melduję, że nie, panie kapitanie.

Harben otworzył kredens i wydobył pordzewiały, niczego, ale, wszystko jedno, jego też należało starej daty karabin. Jako broń był ewidentnie do skonfiskować. Vogelowi szczęka opadła.

- No?

- Ja... nie widziałem, panie kapitanie.

Harben sapnął ze złości.

- Nie jestem idiotą, Vogel! Obserwowałem was! Patrzyliście prosto na tę broń. Chcecie mi wmówić...

Zapadła cisza.

- Ja tego nie widziałem, panie kapitanie - powtórzył uparcie Vogel.

- Tak? Stajecie się roztargnieni. Wiem, że wy, Vogel, nie wzięliście łapówki, jesteście oddanym członkiem partii. Ale jak coś robicie, posługujcie się przy tym głową. Myślenie o niebieskich migdałach nie popłaca w okupowanym kraju. Kontynuować rewizję!

Harben wyszedł, kręcąc głową w zdumieniu. Żołnierze byli wyraźnie rozproszeni. Co im, u diabła, mogło chodzić po głowie, że taki, na przykład, Vogel patrzył prosto na broń i jej nie widział? Nerwy? Bzdura. Rasa nordycka słynie z opanowania. Wystarczy spojrzeć, jak ci żołnierze się ruszają - skoordynowany rytm świadczy o idealnym wyszkoleniu wojskowym. Jedyne dyscyplina pozwala osiągnąć wyższe wartości. Ciało i umysł to przecież w końcu mechanizmy, należy je kontrolować. Ulicą maszeruje oddział: Lewa, lewa, lewentyńczyk spole...

Ta kretyńska piosenka! Ciekawe, skąd się wzięła, pomyślał Harben. Oddziały stacjonujące w wiosce przekazywały ją sobie wzajemnie, ale gdzie się nauczyły - Bóg raczy wiedzieć. Harben wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jak dostanie urlop, musi koniecznie sprzedać tę

głupawą piosenkę kumplom na Unter den Linden - taki absurd, a czepia się człowieka jak rzep psiego ogona. Lewa. Lewa. LEWANtyńczyk SPOLEgliwy
LEWAtywę DOBRZE znosi...

Wkrótce żołnierze wrócili z meldunkami: nie znaleziono niczego. Starą flintą nie było co się przejmować, chociaż, naturalnie, trzeba ją zgłosić, a Polaka-właściciela przesłuchać. Harben kazał żołnierzom rozejść się do baraków, a sam udał się do kwatery Eggertha. Eggerth jednak był nadal zajęty, co dziwiło, gdyż na ogół pracował bardzo szybko. Rzucił Harbenowi wściekle spojrzenie.

- Proszę poczekać. Nie mogę przerwać pracy. - I wrócił do swoich gryzmołów. Podłoga była usiana zmiętymi kartkami.

Harben znalazł stary numer „Jugend”, którego akurat nie znał. Usadowił się z nim w kącie. Artykuł o wychowaniu młodzieży był całkiem ciekawy. Harben odwrócił stronę i uświadomił sobie, że stracił wątek. Cofnął się więc do tego, co już czytał.

Przeczytał akapit, powiedział - „Taak?” - i znów mu uciekło. Słowa stały czarno na białym, rozumiał każde z nich, wiedział, że tworzą jakiś sens - oczywiście, że tak. Spróbował się skupić. Nie pozwoli, żeby mu zawadzała jakaś głupia piosenka, że się komuś tam nie przeLEWA

LEWA

LEWA

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy...

Harben nie dokończył lektury.

Witter, funkcjonariusz gestapo, sączył koniak i patrzył przez stół na herr doktora Schneidlera. Za oknem kawiarni żar słońca zalewał Königstrasse.

- Rosjanie... - zaczął Schneider.

- Co tam Rosjanie - wpadł mu gwałtownie w słowo Witter. - Ja nadal nie mogą zrozumieć tej historii z Polski: broń, i to broń maszynowa, ukryta w wiosce, którą przeszukiwano dziesiątki razy. To farsa. W ostatnim czasie nie przeprowadzaliśmy ataków na tamte okolice; niemożliwe, żeby Polacy zmagazynowali te ilości broni w ciągu kilku ostatnich tygodni.

- Czyli musieli ją mieć ukrytą już wcześniej niż kilka tygodni temu?

- Ukrytą? My, herr doktor, rewidujemy starannie. Zamierzam raz jeszcze przesłuchać tego Eggertha. I Harbena. Obaj mają dobre opinie, ale... - Witter nerwowo potarł wąsa. - Nie. Nie wolno nam niczego uznawać za oczywiste. Pan jest inteligentnym człowiekiem, herr doktor. Co pan o tym sądzi?

- Że wieś nie była należycie przeszukana.

- Ależ była! Dbają o to Eggerth i Harben, mają dobrych ludzi. Bzdurą byłoby zakładać, że po prostu przeoczyli pękate działa maszynowe, jakby to były zwykłe automaty, które można schować pod deskę. Faktem jest, że gdy nasze oddziały wkraczały do wsi, Polacy zabili czterdziestu siedmiu niemieckich żołnierzy, ostrzeliwując ich bronią maszynową z dachów domów. - Witter siarczyście zabębnił palcami po blacie stolika:

Stuku.

Puku.

Stuku-puku-stuku-puku...

- Słucham pana? - ocknął się Witter. - Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Nic takiego. Spodziewam się, że przesłuchanie przeprowadzi pan starannie. Czy ma pan wprawę w prowadzeniu tego typu przesłuchań? To kwestia logiki naukowej - tak jak w mojej pracy.

- A jak tam pańska praca? - Witter skrzątnie zmienił temat.

- Postępuje, postępuje.

- Tyle już slyszalem. Szczerze mówiac, slyszę to już od kilku tygodni. Trafil pan w ślepy zaułek? Nie trzeba panu pomocy?

- Ach nie - odparł skwapliwie Schneider, z nutką irytacji w głosie. - Nie potrzebuję żadnych półgłupich asystentów. To precyzyjna robota, Witter, wymagająca bezwzględnej dokładności. Przeszedłem specjalny kurs w zakresie termodynamiki i tylko ja wiem, kiedy należy wcisnąć guzik albo wprowadzić korektę. Promieniowanie cieplne ciał w stanie rozkładu... - Schneider przerwał nagle, skonfundowany. - Może istotnie powinienem wypocząć. Wyprztykałem się. Umysł mam wyjałowiony. Koncentruję się i nagle stwierdzam, że pokpiłem istotne doświadczenie. Wczoraj miałem dodać dokładnie sześć kropli... tego... jak mu... pewnej cieczy do gotowej mieszaniny i ani się obejrzałem - a strzykawka, z której odmierzałem, była już całkiem pusta. Spaprałem całe doświadczenie.

Witter skrzywił się z niesmakiem.

- Czy coś pana trapi? Coś chodzi panu po głowie? Nie możemy sobie na to pozwolić. Jeżeli to sprawa pańskiego siostrzeńca...

- Nie, nie. O Franza się nie martwię. Na pewno dobrze się bawi w Paryżu. Przypuszczam, że jestem... A niech to diabli! - Schneider walnął pięścią w stół. - To idiotyczne. Kretyńska piosenka!

Witter uniósł brwi i czekał.

- Zawsze byłem dumny ze swojej sprawności umysłowej. Mózg

ludzki to przepięknie spójny i logicznie pracujący aparat. Potrafiłbym zrozumieć jego niedyspozycję z racji jakiejś sensownej przyczyny - zmartwienia, czy nawet szaleństwa. Ale jeżeli nie potrafię się pozbyć absurdałnej, nonsensownej rymowanki... Dzisiaj rozwalilem cenną aparaturę - wyznał Schneider sznurując usta. - Jeszcze jedno spaprane doświadczenie. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co uczyniłem, zmiotłem cały bałagan ze stołu na ziemię. Ja nie chcę urlopu; ja muszę jak najszybciej ukończyć pracę.

- Ważne, żeby ją pan w ogóle ukończył – rzekł Witter. - Namawiałbym pana jednak na urlop. Alpy Bawarskie to bardzo przyjemna okolica. Rybki, polowania, pełny relaks. Proszę nie myśleć o pracy. Sam chętnie bym się z panem wybrał, ale cóż - wzruszył ramionami.

Ulicą Konigstrasse przemaszerował oddział szturmowy. Żołnierze skandowali słowa, od których Schneider aż się wzdrygnął. Palce Wittera podjęły wystukiwanie rytmu o blat.

- Wezmę ten urlop - oświadczył Schneider.

- Doskonale. To pana postawi na nogi. Muszę się teraz zająć wyjaśnieniem tego polskiego incydentu, potem zweryfikować paru pilotów Luftwaffe...

W cztery godziny później herr doktor Schneider siedział sam w przedziale kolejowym, wiele mil od Berlina. Krajobraz za oknem był zielony i miły dla oka. A jednak Schneider, nie wiedząc czemu, nie czuł się zadowolony.

Oparł się wygodnie, rozluźnił mięśnie. O niczym nie myśleć. Właśnie tak. Niech precyzyjny aparat umysłu ma chwilę wytchnienia. Niech myśl wędruje swobodnie. Wsłuchać się w kojący rytm kół: tak-to- tak-to

TAKTO!

TAKTO!

TAKTOtyńczyk TAKTOtliwy

LEWAtywe DOBRZE znosi

CHOCIAŻ mu się NIE PRZELewa

LEWA...

Schneidler zaklął siarczyście, podskoczył i szarpnął linkę. Wracał do Berlina. Ale nie pociągiem. Żadnym kołowym środkiem lokomocji! Gott, nie!

Herr doktor wrócił do Berlina piechotą. Z początku szedł dziarsko. Potem twarz mu pobladła i włókł się ociężale. Ale bezustannie poganiał go ten sam rytm. Przyspieszył kroku, starając się wypaść z rytmu. Udało się - na chwilę. Nie na długo. Myśli ciągle wpadały w tę samą koleinę, ilekroć herr doktor stwierdzał, że idzie lewą - LEWA...

Zaczął biec. Z ociekającą potem brodą, z płonąącym wzrokiem, herr doktor Schneidler - wybitny umysł i tak dalej - pędził z powrotem do Berlina, ale i tak nie mógł przegonić cichego głosu, który mu szeptał, coraz szybciej i szybciej: LEWA

LEWA

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy

LEWAtywe DOBRZEznosi...

- Dlaczego nalot się nie udał? - zapytał Witter.

Pilot Luftwaffe nie umiał odpowiedzieć. Wszystko, jak zwykle, było świetnie zaplanowane. Wzięto pod uwagę wszelkie okoliczności i nalot z całą pewnością powinien był się udać. Samoloty RAF powinny były zostać wzięte przez zaskoczenie. Luftwaffe powinno było rzucić bomby na wyznaczone cele i bez trudu wycofać się nad Kanalem.

- Braliście zastrzyki przed lotem?

- Tak jest.
- Bombardier Kurtman zabity?
- Tak jest.
- Bez wyraźnej przyczyny?

Chwila milczenia. A po chwili:

- Tak jest.
- Mógł zestrzelić atakującego was Huragana?
- Ja... tak jest
- Czemu tego nie zrobił?
- Ponieważ... on śpiewał. Witter opadł na oparcie fotela.
- Śpiewał. I tak się przejął śpiewaniem, że zapomniał wystrze-
lić?
- Tak jest.
- W takim razie dlaczego, na miłość... na miłość... Dlaczego wy-
ście nie rąbneli tego Huragana?
- Ja też śpiewałem.

Samoloty RAF były już blisko. Żołnierz z obrony przeciwlotniczej pogwizdywał przez zęby i czekał. Światło księżyca pomoże. Umościł się w wyściełanym fotelu i spojrzął w wizjer. Wszystko było gotowe. Dzisiaj trafiło się przynajmniej parę brytyjskich statków, które już nigdy nie ruszą do ataku.

Działo się to w niezbyt znaczącym punkcie okupowanej Francji, a i żołnierz nie był nikim znaczącym - tyle że dobrym strzelcem. Popatrzył w górę za połyskliwym obłoczkiem na niebie. Przypomniało mu to negatyw fotograficzny. Brytyjskie samoloty będą ciemne, odwrotnie niż ten obłok, dopóki nie zловіą ich reflektory. A wtedy...

No, mniejsza o to. Lewa. Lewa. Lewantyńczyk spolegliwy...

Śpiewali to ubiegłego wieczoru w kantynie, chórem. Chwytniwy kawalek. Kiedy wróci do Berlina - jeżeli wróci - musi koniecznie

zapamiętać te słowa. Jak to szło?

Myśli żołnierza podążały niezależnie od mechanicznego rytmu, który tętnił mu pod czaszką. Czyżby się zdrzemnął? Otrząsnął się gwałtownie i zaraz uświadomił sobie, że wcale nie śpi. Nie ma strachu. Piosenka go budzi, a nie usypia. Jej dziarski, naglący rytm wchodzi człowiekowi w krew z tym swoim

LEWA

LEWA

LEWANTyńczyk...

Ale trzeba być czujnym. Kiedy nadlecą bombowce RAF, musi zrobić, co do niego należy. A właśnie nadlatywały. Z oddali dobiegało nagle buczenie silników, pulsujące monotonna jak ta piosenka, bombowce na Niemcy, lewatywę dobrze znoszą, chociaż im się nie przelewa...

LEWA!

LEWA!

LEWANTyńczyk SPOLEgliwy

LEWATywę DOBRZE...

Pamiętać o bombowcach, ręka na spuście, oko do wizjera, chociaż mu się nie przelewa...

LEWA!

LEWA

LEWANTyńczyk SPOLE...

Bombowce nadlatują, Anglicy nadlatują, ale jeszcze nie strzelaj, poczekaj, aż się zbliżą - i wtedy...

LEWA

LEWA

LEWANTyńczyk i silniki, reflektory, już są blisko, bardzo blisko, dobrze znosi, chociaż mu się nie przelewa...

LEWA!

LEWA!

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy...

Przeleciały. Bombowce przeleciały nad nim. Nie wystrzelił. Zapomniał!

Przeleciały mu nad głową. Nie pozostał ani jeden. Chociaż mu się nie przelewa...

LEWA!

Minister propagandy spojrział na raport tak, jakby kartka miała się za chwilę przemienić w Stalina i rzucić na niego z zębami.

- Nie - oświadczył zdecydowanym tonem. - Nie, Witter. Jeżeli to nieprawda, to nieprawda. Ale jeżeli prawda - nie wolno nam się do niej przyznać.

- Nie rozumiem dlaczego - sprzeciwił się Witter. - To na pewno ta piosenka. Badam rzecz od dawna i jest to jedyne logiczne wytłumaczenie. Ta piosenka opętała świat niemieckojęzyczny. Albo wkrótce to uczyni.

- Ale co szkodzi jedna piosenka?

Witter postukał palcem w raport.

- Proszę przeczytać. Oddziały łamią szyk, puszczając się w... jak to tu piszą? Taniec rytualny. Cały czas wyśpiewują przy tym tę piosenkę.

- Zabrońcie im to śpiewać - polecił minister, ale w jego głosie zabrzmiała nutka zwątpienia.

- *Ja, ja*, ale czy możemy zabronić im to myśleć? Zawsze myślą o tym, co verboten. Nic na to nie poradzimy. To podstawowy ludzki instynkt.

- O to mi właśnie chodzi, kiedy mówię, że nie możemy przyznać się do zagrożenia tą... piosenką, Witter. Nie należy uświadamiać Niemcom jej wagi. Dopóki ją mają za absurdalny ciąg słów, jakoś zapomną. W końcu kiedyś zapomną - dodał minister.

- Führer...

- Nie może się dowiedzieć. Nie wolno mu o tym wspominać. Führer jest nerwowy, Witter, o czym pan zapewne wie. Mam nadzieję, że ta piosenka nie dotrze do jego uszu. A nawet jeżeli dotrze - nie wolno dopuścić, aby sobie uświadomił, jaka jest potencjalnie groźna.

- Potencjalnie?

Minister zrobił wymowny gest.

- Ludzie się zabijali z powodu tej piosenki. Taki naukowiec Schneider. Nerwowy typ. W gruncie rzeczy, maniakalno-depresyjny. Nie umiał pogodzić się z faktem, że lewatywa... że ten wierszyk - wciąż chodzi mu po głowie. W stanie depresji zażył truciznę. Byli też inni. Między nami mówiąc, Witter, to jest rzecz bardzo groźna. A wie pan dlaczego?

- Bo jest - bez sensu?

- Właśnie. Pamiętam taki wiersz - może i pan go zna - „życie to prawda, życie jest poważne”. Niemcy w to wierzą. Jesteśmy rasą ludzi myślących logicznie. Zwyciężamy logiką, gdyż nordycy to superrasa. A kiedy nadludzie stwierdzą, że nie są w stanie panować nad własnym umysłem...

Witter westchnął.

- W głowie się nie mieści, żeby piosenka mogła być taka ważna.

- Na coś takiego nie ma broni. Jeżeli przyznamy, że jest groźna, podwoimy albo i potroimy jej znaczenie. W tej chwili wiele osób ma trudności z koncentracją uwagi. Niektórzy nie umieją opanować niekontrolowanych rytmicznych podrygów. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy zabronili ludziom myśleć o tej piosence.

- A nie można by wykorzystać psychologii? Ośmieszyć zjawisko, wytłumaczyć je?

- Przecież to już jest śmieszne: absurdalny łańcuch słów, który nie pretenduje do miana niczego mądrego. Więc nie ma co wyjaśniać. Dowiaduję się ponadto, że niektórzy doszukują się w tej piosenke jakichś aluzji, co już jest szczytem nonsensu.

- Tak? Coś podobnego!

- Głód. Nędma. Nawet odejście od ideałów nazistowskich. A nawet... bzdurny pomysł, że lewatywa jest aluzją do... - minister zwrócił oczy na portret zdobiący ścianę.

Witter zrobił zdumioną minę, ale po chwili wahania roześmiał się.

- Nie przyszło mi to nigdy do głowy. Idiotyzy. Mnie tylko od początku zastanawiało, co ma lewentyńskie pochodzenie do odporności na lewatywę. Czy to mogą być cechy etniczne?

- Nie sądzę. To na pewno kwestia odżywiania. Ubogi Lewantyńczyk... Kapitanie Witter!

Nastąpiła niema pauza. Wreszcie Witter podniósł się, oddał *heil* i wyszedł, starannie łamiąc rytm marszu. Minister znów spojrzął ku portretowi na ścianie, zabębnił palcami po opasłym raporcie i odsunął go na bok, aby przeczytać wypisany na maszynie tekst z nagłówkiem WAŻNE. Rzeczywiście było to ważne. Za pół godziny führer miał przemawiać w eterze, na to przemówienie czekał cały świat. Miało ono wyjaśnić pewne wątpliwe kwestie - na przykład kampanię rosyjską. To była dobra mowa, świetny kawał propagandy. Transmisje miały być dwie: pierwsza na Niemcy, druga na resztę świata.

Minister wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po puszystym dywanie. Jego górną wargę wykrzywił grymas. Był tylko jeden sposób na wroga: zdusić go. Stanąc z nim oko w oko i roznieść w

pył. Gdyby wszystkim Niemcom dana była jego mentalność, jego pewność siebie, idiotyczna piosenka straciłaby całą moc.

- Proszę bardzo - rzekł minister. - Jak to idzie? Lewa. Lewa. Lewantyńczyk spolegliwy - no i co z tego? Mnie to jakoś krzywdy nie robi. Nie obezwładnia mojego umysłu. Powtarzam ją sobie, ale tylko kiedy sam chcę. I teraz właśnie sam chcę, żeby udowodnić, że to wierszydło wcale nie jest groźne - przynajmniej dla mnie. Proszę uprzejmie. Lewa. Lewa. Lewantyńczyk...

Minister propagandy kroczył w tę i z powrotem, bezwzględny, szczekliwym głosem recytując utrapione wersy. Nie czynił tego po raz pierwszy. Często powtarzał wyliczankę na głos - oczywiście jedynie po to, aby sobie udowodnić, że jest od niej silniejszy.

Adolf Hitler rozmyślał o lewatywie. I o Rosji. Miał też i inne problemy. Nielatwo być Wodzem. Kiedyś w końcu przyjdzie ktoś inny, lepszy, a on usunie się w poczuciu spełnionego zadania. Zdarta płyta zacięła się, a Hitler zamyślił się kolei nad tekstem swojej mowy. Tak, była dobra. Wiele wyjaśniała - dlaczego nie powiodło się w Rosji, dlaczego inwazja na Anglię spaliła na panewce, dlaczego Anglicy dokonują rzeczy niemożliwej - atakują kontynent. Problemy te mocno go trapiły. Właściwie nie były to żadne problemy, ale naród mógł zrozumieć fakty opacznie i stracić wiarę w swojego führera. Mowa wyjaśni wszystko - nawet sprawę Hessa. Goebbels całymi dniami dopracowywał efekty psychologiczne przemówienia, dlatego też szczególnie ważne było, aby je wygłosić bez zająknienia. Hitler sięgnął po spray i zwilżył gardło, chociaż w zasadzie nie było takiej

potrzeby. Jego głos był w idealnej formie.

Byłoby fatalnie, gdyby...

Tfu! Dlaczego niby miałyby się zająknąć? Mowa była zbyt ważna. Wygłaszał już przecież mowy, porywał lud mocą swoich oracji. Najważniejszym punktem było, oczywiście, odniesienie do Rosji i niesławnej kampanii wiosennej. Goebbels znalazł tu piękne usprawiedliwienie - a na dodatek zgodne z prawdą.

- To prawda - rzekł na głos Hitler.

Owszem, prawda. I to w miarę przekonująca. Po rozważeniu kwestii rosyjskiej, przejście do Hessa, a następnie...

Ale sprawa Rosji to punkt numer jeden. W tym punkcie trzeba z całą siłą zaatakować mikrofon. Wykonał próbę w wyobraźni. Pauza. Następnie, tonem zwykłej towarzyskiej pogawędki: „Mogę wam narzeczcie wyjawić prawdę o naszej kampanii w Rosji i wyjaśnić, dlaczego w istocie okazała się ona triumfem strategicznym armii niemieckiej...”

I udowodni to!

Nie wolno mu tylko ani na chwilę zapomnieć, jakie kluczowe znaczenie ma ta mowa, a zwłaszcza jej kluczowy punkt. Pamiętać. Pamiętać. Zrobić to dokładnie tak, jak przed chwilą, jak na próbę. Bo gdyby się nie udało...

Nie ma takiego słowa.

Ale gdyby się nie udało...

Nie. Nawet jeżeli...

Ależ uda się. Musi. Zawsze się udawało. Sytuacja jest kryzysowa. No, może nie do końca, ale ludzie nie są już - jak mu się zdawało - całym sercem po stronie swego Wodza. Co jest najgorsze z rzeczy, które mogą się zdarzyć? Mógł się okazać niedysponowany, niezdolny do wygłoszenia mowy.

Odłożono by wystąpienie. Goebbels jakoś by go wytłumaczył. To nie było takie istotne.

Nie wolno tak myśleć.

Przeciwnie, trzeba o tym myśleć. Jeszcze jedna próba. Pauza. „Mogę wam nareszcie wyjawić...”

Już czas.

W całych Niemczech ludzie przy głośnikach czekali na przemówienie. Adolf Hitler stanął przed mikrofonami i już się nie martwił. W drugim planie myśli zainstalował sobie siłą woli nagranie, które w kółko podpowiadało mu: „Rosja. Rosja. Rosja”. To mu we właściwej chwili przypomniał, co ma robić. Tymczasem puścił się w wir przemowy.

Mowa była dobra. Taka, jakiej spodziewano się po Hitlerze.

- Już! - zasygnalizowała pamięć.

Hitler zamilkł, obficie zaczerpnął powietrza, arogancko odrzucając przy tym głowę w tył. Spojrzał na tysiące twarzy pod balkonem. Ale nie myślał o nich. Myślał o pauzie, o następnej kwestii. Pauza się przedłużała.

Ważne! Pamiętać! Musi się udać!

Adolf Hitler otworzył usta. Popłynęły słowa. Ale niezupełnie te, które miały popłynąć.

W dziesięć sekund później Adolfowi Hitlerowi wyłączono fonię.

To nie Hitler przemawiał do świata w parę godzin później. Goebbels sporządził nagranie, które - o dziwo - ani słowem nie wzmiankowało o Rosji, ani też o innych znaczących kwestiach, tak pięknie przecież rozwiązanych. Führer nie był po prostu w stanie wypowiedzieć się na te tematy. Nie z powodu tremy. Ilekroć dobrnął do kluczowego punktu mowy, zieleniał na twarzy, zaciskał zęby i wygłaszał

całkiem nie ten tekst. Nie umiał przebrnąć blokady semantycznej. Im bardziej próbował, tym mniej mu się to udawało. Wreszcie Goebbels zorientował się, co jest, i przerwał transmisję.

W świat poszła wersja wykastrowana. Prowadzono zażarte dysputy o tym, dlaczego Hitler odstąpił od zapowiadanego programu. Zamierzał przecież wspomnieć o Rosji. A więc dlaczego...

Odpowiedź znali tylko nieliczni. Ale teraz poznają ją wszyscy. Większość Niemców zresztą - nie wiedząc o tym - już ją zna. Krążą plotki, samoloty zrzucają ulotki, ludzie szepczą po kątach i długo jeszcze będą pamiętać pewną łatwo wpadającą w ucho niemiecką strofę, którą daje się recytować w kółko.

Tak, tak. Może akurat ten egzemplarz książki trafi do Anglii, może pilot RAF zrzuci go w pobliżu Berlina albo chociaż Paryża! Wieść się rozniesie, sporo mieszkańców kontynentu czyta po angielsku.

Ludzie zaczną gadać.

Z początku nie zechcą dać wiary. Ale będą mieć oczy otwarte. I przypomną sobie wojenną wyliczankę. Pewnego dnia opowieść dotrze do Berlina albo do Berchtesgaden. Pewnego dnia dotrze do faceta z małym wąsikiem i wielkim głosem.

A potem - może upłyną dni, a może tygodnie, to bez znaczenia - Goebbels wejdzie do salonu i zobaczy Adolfa Hitlera, który stepować będzie w miejscu, skandując:

LEWA

LEWA

LEWANtyńczyk SPOLEgliwy

LEWAtywę DOBRZE znosi

CHOCIAŻ mu się NIE PRZElewa...

przełożyła Jolanta Kozak

TUBYLERCZYKOM SPEŁY FAJLE

Nie ma sensu opisywać tu Unthahorstena czy też miejsca, w którym się znajdował, a to dlatego, że po pierwsze, minęło od tamtej pory dobrych parę milionów lat, po wtóre zaś - Unthahorsten, technicznie rzecz biorąc, nie znajdował się na Ziemi. Zajmował, nazwijmy to umownie, pozycję stojącą w, nazwijmy to umownie, laboratorium. Szykował się właśnie do sprawdzenia maszyny czasu.

Już po jej włączeniu, Unthahorsten uświadomił sobie nagle, że Skrzynka jest pusta. Czyli wszystko do kitu. Urządzenie wymagało elementu kontrolnego w postaci dowolnego ciała stałego o trzech wymiarach, które w czasie eksperymentu uległoby działaniu warunków innego czasu. Bez tego Unthahorsten nie byłby w stanie stwierdzić po powrocie maszyny, gdzie i kiedy lądowała. Natomiast ciało stałe podróżujące w Skrzynce musiałoby automatycznie ulec entropii i bombardowaniu promieni kosmicznych obcej epoki, co pozwoliłoby następnie Unthahorstenowi zmierzyć przemiany ilościowe i jakościowe, które w nim nastąpiły. Kalkulatory w mig poinformowałyby Unthahorstena, że Skrzynka zapędziła się, dajmy na to, w rok A.D. 1 000 000, czy też A.D. 1000, bądź A.D. 1 - to zależy.

Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, chyba że dla samego Unthahorstena. Unthahorsten miał w sobie wiele z dziecka.

Nie było czasu do stracenia. Skrzynka zaczęła już chwiać się i podrygiwać. Unthahorsten w panice rozejrzał się dookoła, po czym pobiegł do sąsiedniej zakamary i zagłębił ręce po łokcie w skrzyni na rupiecie. Wydobył naręcza dziwnych przedmiotów. Ufff. Była to skromna część nie używanych już zabawek jego syna, Snowena,

które chłopiec przeniósł z Ziemi, gdy zdołał już opanować niezbędną technikę przechodzenia. Snowenowi te rupiecie na nic się już nie przydadzą. Snowen był w pełni uwarunkowany i nie zajmował się więcej zabawkami. Żona Unthahorstena przechowywała je, co prawda, ze względów sentymentalnych, cóż jednak znaczą sentymenty wobec eksperymentu naukowego.

Unthahorsten wybiegł z zakamary i wrzucił wszystko jak popadło do Skrzynki. Zdążył zatrzasnąć wieko tuż przed zapaleniem się sygnału ostrzegawczego. Skrzynka ruszyła w podróż, i to tak efektownie, że Unthahorsten doznał chwilowego porażenia wzroku.

Czekał.

I czekał.

Wreszcie poddał się i skonstruował drugą maszynę czasu - z identycznym rezultatem. Ponieważ ani Snowen, ani jego matka nie przeżyli się utratą starych zabawek, Unthahorsten opróżnił graciarnię, wrzucając wszystkie pozostałe pamiątki z dzieciństwa syna w drugą Skrzynkę maszyny czasu.

Jeśli nie zrobił błędów w obliczeniach, druga Skrzynka powinna była trafić na Ziemię pod koniec dziewiętnastego wieku A.D. Jeśli nawet do tego doszło, Skrzynka na zawsze pozostała w dziewiętnastym ziemskim stuleciu.

Unthahorsten zraził się do budowania maszyn czasu. Ale co się miało stać, to się już stało. Dwie Skrzynki ruszyły w podróż, a pierwsza z nich...

Scott Paradine, uczeń szkoły powszechnej w Glendale, natknął się na nią podczas odbywania wagarów. Tego akurat dnia wypadła kłósówka z geografii, a Scott nie widział najmniejszego sensu we

wkuwaniu na pamięć nazw miejscowości, co w latach czterdziestych dwudziestego wieku uchodziło za całkiem dorzeczną metodę nauczania. Dzień był ponadto wiosenny, ciepły, z lekko chłodnym wietrzykiem - słowem, wymarzony do tego, aby mali chłopcy wylegiwali się brzuchem do góry na pastwiskach, śledząc wzrokiem przepływające od czasu do czasu obłoki, póki nie zmorzył ich sen. Co tam głupia geografia! Scott zdrzemnął się.

Okolo południa poczuł głód. Solidnie zbudowane nogi zawiodły go wprost do pobliskiego sklepu, gdzie zainwestował swój skromny kapitał ze skrupulatnością nędzarza i absolutną nonszalancją wobec własnych soków trawiennych. Poszedł nad strumień, żeby w spokoju coś przekąsić.

Uporawszy się z serem, czekoladą, ciastkami, a także butelką oranżady, którą osuszył aż do dna, Scott zajął się łowieniem kijanek, które następnie studiował z pewną dozą naukowego zainteresowania. Ale bez przesady. Coś sturlało się po zboczu i z głuchym tąpnięciem utknęło w nadbrzeżnym błocie. Scott rozejrzał się czujnie i pobiegł sprawdzić, co to takiego.

Była to skrzynka. Ściślej mówiąc, była to Skrzynka. Scott nie przejął się zbyt wmontowaną w nią aparaturą, chociaż zauważył, że jest miejscami nadtopiona i osmalona. Zastanowił się chwilę i zaczął dłużyć przy znalezisku scyzorykiem, wysuwając przy tym język z kącika ust. W pobliżu nie było nikogo. Skąd się ta skrzynka mogła wziąć? Na pewno ktoś zostawił ją na zboczu, a potem ziemia się osunęła i skrzynka razem z nią.

- To musi być ślimacznica - zdecydował Scott, oczywiście błędnie. Rzecz miała, co prawda, kształt helisy, nie była jednak ślimacznicą, na co wskazywało wypaczenie wymiarów. Z modelem samolotu,

nawet najbardziej skomplikowanym, Scott nie miałby żadnych trudności. Tu jednak stanął wobec poważnego problemu. Coś w środku szeptało Scottowi, że urządzenie, z którym właśnie ma do czynienia, jest znacznie bardziej skomplikowane niż silnik sprężynowy, który bez większych kłopotów udało mu się rozmontować w ubiegły piątek.

Nie ma jednak na świecie chłopca, który dobrowolnie zrezygnowałby z otwarcia zapieczętowanej skrzynki. Scott dłużył dalej. Geometria przedmiotu była jakaś dziwna. Pewnie krótkie spięcie. I dlatego - psiakość! Ostrze scyzoryka osunęło się. Scott zaczął gwałtownie ssać palec, w przerwach rzucając wiązanki misternych przekleństw.

A może to pozytywka.

Irytacja Scotta była bezpodstawna. Aparatura, z którą się zmagał, z powodzeniem przyprawiłaby o ból głowy Einsteina, a Steinmetza wyprowadziłaby do domu wariatów. Rzecz w tym, że skrzynka nie weszła jeszcze całkiem w kontinuum czasoprzestrzenne, w którym istniał Scott, i dlatego właśnie nie dawała się otworzyć, chyba że Scott znalazłby odpowiedni kamień i wbił helisę, która wcale nie była helisą, w bardziej odpowiednią pozycję.

Scott walnął kilka razy dokładnie w kierunku punktu styczności helisy z czwartym wymiarem, niwelując utrzymujący się tam dotychczas skręt czasoprzestrzenny. Coś trzasnęło. Skrzynka podskoczyła i zaraz zastygła w bezruchu. Teraz istniała już na równi ze Scottem. Chłopiec otworzył ją bez trudu.

Najpierw zauważył miękki pleciony hełm, który nie wzbudził w nim większego zainteresowania. Czapka jak czapka. Następnie wziął do ręki sześcian, przezroczysty kryształowy klocek swobodnie

mieszczący się w dłoni - o wiele za mały, by mógł w sobie zawrzeć labirynt jakiegokolwiek aparatury. Scott w mgnieniu oka odgadł sekret kostki: był to rodzaj szkła powiększającego, przy czym powiększeniu, bardzo znacznemu, ulegały przedmioty wewnątrz klocka. Przedmioty, dodajmy, bardzo niezwykle. Na przykład - miniaturowi ludzie.

Ludziki poruszały się. Trochę tak jak automaty, chociaż ze znacznie większą płynnością. Scott poczuł się jak w teatrze: z dużym zaciekawieniem obserwował stroje ludzików, ale znacznie bardziej pasjonowało go to, co robiły. Ludziki zręcznie wznosiły dom. Scott pomyślał, że fajnie by było, gdyby dom się zapalił i gdyby ludziki zaczęły gasić pożar.

Na wpół ukończona budowla stanęła w płomieniach. Roboty ugasiły ogień, używając przy tym ogromnej ilości dziwacznych urządzeń.

Scott natychmiast pojął w czym rzecz i trochę go to zaniepokoiło. Ludziki były najwyraźniej posłuszne jego myślom. Skoro to sobie uświadomił, z przerażeniem odrzucił sześcian.

W połowie skarpy zmienił zdanie i zawrócił. Kostka, częściowo zanurzona w wodzie, połyskiwała w słońcu. Nieomylny instynkt dziecka odpowiedział Scottowi, że to zabawka. Scott jednak nie podniósł klocka od razu. Najpierw powrócił do skrzynki, by dalej badać jej zawartość.

Było tam kilka naprawdę niesamowicie chytrych urządzeń. Popołudnie minęło jak z bicza strzelił. Scott zapakował wreszcie zabawki z powrotem do skrzynki, którą, posapując i stękając, zataszczył do domu. Kiedy stanął w drzwiach kuchennych, był zziąbany i czerwony jak burak.

Znalezisko ukrył za szafką w swoim pokoju na górze. Kryształową

kostkę wsunął do kieszeni i tak już wypchanej z powodu sznurka, drucianej spirali, dwóch monet jednocentowych, kulki z folii aluminiowej, zatłuszczonego znaczka na list i bryłki skalenia. Emma, dwuletnia siostrzyczka Scotta, wytoczyła się niepewnie z hallu, żeby powiedzieć cześć.

- Cześć, Baryła - rzucił jej Scott łaskawie z wyżyn całych swych siedmiu lat i kilku miesięcy. Traktował Emmę z przeraźliwą wyższością, ale jej to nie przeszkadzało. Jak pulchna wielkooka pacynka klapnęła na dywan, żałośnie wpatrzona we własne buciki.

- Zawiąże? Scotty?

- Co za oferma - burknął dobrodusznie Scotty, ale zawiązał. - Jest obiad?

Emma kiwnęła główką.

- Pokaż łapy.

Łapy były, o dziwo, względnie czyste, chociaż może nie sterylnie. Scott przyjrzał się następnie własnym i skrzywiony ruszył do łazienki, gdzie poddał ręce oględnej toalecie. Kijanki jednak zostawiają ślady.

Dennis Paradine i jego żona Jane popijali w salonie na dole przedobiedni koktajl. Dennis był mężczyzną w średnim wieku, jeszcze dość młodym, o miękkich szpakowatych włosach i szczupłej twarzy z wąską linijką ust. Wykładał filozofię na uniwersytecie. Jane była niska, drobna, smągła i bardzo ładna. Sącząc martini, odezwała się:

- Nowe buty. Podobają ci się?

- Za zbrodnię! - mruknął Paradine, zajęty własnymi myślami. - Co mówiłaś? Buty? Za chwilę. Muszę z tym skończyć. Miałem koszmarny dzień.

- Egzaminy?

- Właśnie. Płomienna młódź z ambicjami do wielkiej dorosłości. Życzę im wszystkiego najgorszego. Z nawiązką. Insz Allah!

- Oliwka dla mnie! - upomniała się Jane.

- Wiem - odparł z rezygnacją Paradine. - Od lat nie tknąłem oliwki. W martini, oczywiście. Można ci wrzucić sześć, a i tak nie będziesz miała dość.

- Bo chcę twoją. Braterstwo krwi. Symbolika. Właśnie dlatego Paradine zmierzył żonę druzgocącym spojrzeniem i założył jedną długą nogę na drugą.

- Jakbym słyszał pewną studentkę.

- Może Betty Dawson? Ta dziewczucha wstydu nie ma! - Jane wystawiła paznokcie. - Nadal tak bezwstydnie się do ciebie mizdrzy?

- Nadal. To dziecko kwalifikuje się do psychologa. Całe szczęście, że nie jest moją córką. Gdyby była... - Paradine znacząco pokręcił głową. - Świadomość seksualna plus ciągle przesiadywanie w kinach. Zdaje się, że wciąż ma nadzieję zaliczyć przez uporczywe pokazywanie mi kolan. Dosyć kościstych, mówiąc między nami.

Jane z triumfującą miną obciągnęła spódnicę. Paradine rozprostował nogi i przyrządził sobie kolejne martini.

- Jak słowo honoru, nauczanie tych małych filozofii nie ma najmniejszego sensu. To najgorszy wiek. Mają już ukształtowane nawyki postępowania i myślenia. Są przeraźliwie konserwatywni, chociaż nie przyznają się do tego za skarby świata. Aby rozumieć filozofię, trzeba być albo dojrzałym człowiekiem, albo dzieckiem jak Emma i Scotty.

- Bądź łaskaw nie wpisywać Scotty'ego na listę swoich studentów - poprosiła Jane. - leszcze zdąży zrobić doktorat. Nie szaleję na punkcie genialnych dzieci, zwłaszcza jeśli chodzi o mojego syna.

- Na pewno poradziliby sobie lepiej niż Betty Dawson - burknął Paradine.

- Zmarł w wieku lat pięciu jako zramolały staruszek - wyrecytowała z rozmarzeniem Jane. - Oliwka dla mnie.

- Proszę. A propos, masz ładne buty.

- Dziękuję. O, jest Rosalie. Obiad?

- Obiad na stole, proszpani - zakreśliła się na pięcie Rosalie. - Zawołam panienkę Emmę i panicza.

- Sam ich zawołam. - Paradine wsadził głowę w drzwi i wrzasnął: - Dzieciaki! Micha!

Na schodach rozległ się tupot małych nóg. Zaraz potem ukazał się Scotty, wypucowany do połysku, z wojowniczo zaczesanym czubem. W ślad za nim Emma opuszczała się pracowicie ze schodka na schodek. W połowie drogi zrezygnowała z prób zejścia w pozycji pionowej, wykonała w tył zwrot i resztę trasy pokonała po małpiemu, przy czym jej mała dupka spisywała się jak wzór pracowitości. Spektakl ten całkowicie pochłonął uwagę Paradine'a, póki syn nie władował się na niego z impetem.

- Cześć, tato! - wrzasnął piskliwie Scotty.

Paradine, ochłonawszy po zderzeniu, zmierzył Scotta dystyngowanym spojrzeniem.

- Cześć. Czy byłbyś uprzejmy doprowadzić mnie do stołu? Dzięki tobie mam zwichnięty co najmniej jeden staw biodrowy.

Scott jednak zdążył już wpaść do następnego pokoju, gdzie w ferworze uczuć podeptał nowe buty Jane, wybełkotał coś na przeprosiny i dopadł swojego miejsca przy stole. Paradine wszedł za nim ze sceptyczną miną i z Emmą, która pulchną łapką kurczowo ścisnęła jego palec wskazujący.

- Ciekawe, co on znowu zmalował.

- Pewnie nic dobrego - westchnęła Jane. - Jak się masz, złotko. Pokaż no uszy.

- Czyste. Miki je wylizała.

- Śmiej się, że język airedale'a jest o wiele czystszy niż twoje uszy - zauważyła Jane dokonując pobieżnej inspekcji. - Póki jednak cokolwiek jeszcze słyszysz, możemy uznać brud za powierzchniowy.

- Powieszony?

- Niezbyt wielki - wyjaśniła Jane holując córeczkę do stołu, gdzie umieściła jej nóżki pod przegrodą wysokiego stołka. Emma dopiero niedawno dostała zaszczytu zasiadania do stołu z resztą rodziny i, zdaniem Paradine'a, była z tego powodu dumna jak paw. Ponieważ powiedziano jej, że tylko małe dzidziusie paprzą przy jedzeniu, Emma przenosiła łyżkę do buzi z tak nabożną pieczołowitością, że Paradine patrząc na jej wysiłki co chwila dostawał konwulsji.

- Emmie przydałby się pas transmisyjny - stwierdził podsuwając krzesło żonie. - Tak, żeby małe porcje szpinaku wjeżdżały jej do buzi w regularnych odstępach czasu. - Obiad przebiegał bez większych wrażeń, póki Paradine nie spojrział przypadkiem na talerz syna.

- Hej tam! Chory jesteś, czy obżerałeś się na dużej przerwie?

Scott z uwagą zlustrował zawartość pełnego jeszcze talerza.

- Już się najadłem - wyjaśnił.

- Zwykle zjadasz, ile wlezie, i jeszcze trochę - powiedział Paradine. - Każdy wie, że dorastający chłopcy przerabiają dziennie po kilka ton jedzenia, a ty dziś wyraźnie nie wykonujesz normy. Na pewno nic ci nie jest?

- Mhm. Najadłem się, jak słowo honoru.

- Nie chcesz więcej?
- Nie chcę. Ja teraz jem inaczej.
- Nauczyłeś się w szkole? - zapytała Jane. Scott z powagą pokręcił głową.

- Nikt mnie nie uczył. Sam to odkryłem. Nauczyłem się używać pluja.

- Wróć - przerwał mu Paradine. - To nie jest właściwe słowo.

- No, tej... śliny, dobrze?

- Mhm. Więcej pepsyny? Jane, czy ślina zawiera pepsynę? Nie pamiętam.

- Moja zawiera truciznę - odparła Jane. - Rosalie znowu niedoładnie utłukła kartofle.

Ale Paradine był naprawdę zaciekawiony.

- Czy chodzi ci o to, Scott, że wydobywasz z pożywienia wszelkie możliwe wartości - żadnych odpadów - dzięki czemu możesz jeść mniej?

Scott zastanowił się chwilę.

- Chyba tak. To nie tylko pl... ślina. Ja jakby odmierzam sobie, ile na raz włożyć do ust i co z czym wymieszać. Tak naprawdę, to nie wiem. Robię i już.

- Hm. - Paradine postanowił, że sprawdzi to później. - Pomysł, rzekłbym, rewolucyjny. - Dzieci często miewają pomysły nie z tej ziemi, ale metoda Scotta wyglądała na wcale dorzeczną. Paradine z namysłem wyduł wargi. - Przypuszczam, że ludzie będą się w przyszłości odżywiać całkiem inaczej, tak w sensie sposobu jedzenia, jak i składu pożywienia. Jane, nasz syn ma wyraźne zadatki na geniusza.

- Nie?!

- Wygłosił właśnie cenną uwagę z zakresu dietytyki. Sam do tego doszedłeś, Scott?

- Pewnie - rzucił chłopiec, wierząc, że to prawda.

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?
- No... - Scott wiercił się niespokojnie. - Sam nie wiem. To w końcu nic takiego.

Paradine był bezpodstawnie zawiedziony.

- Przecież...
- Plll-luj! - pisnęła Emma w nagłym przypływie niegrzeczności.
- Pluj! - Spróbowała zademonstrować pluja, ale skończyło się na tym, że strumyczek śliny wylądował na śliniaku.

Jane z rezygnacją naprawiła szkodę i obsztorcowała córkę, gdy tymczasem Paradine ze świeżym zainteresowaniem obserwował Scotta. Dalszy ciąg miał jednak miejsce dopiero po obiedzie, w salonie.

- Masz coś do odrobienia?
- Nnie... - Zaczerwienił się Scott. Aby pokryć zmieszanie, wydobyl z kieszeni znaleziony w skrzynce przedmiot i zaczął go rozkładać. Po rozłożeniu przedmiot przypominał mozaikową siatkę z nanizanymi koralikami. Paradine z początku nie zwrócił na zabawkę uwagi, za to Emma dostrzegła ją natychmiast. Też chciała się pobawić.

- Łapy przy sobie, Baryła - nakazał Scott. - Możesz najwyżej patrzeć. - Z cichym, pełnym przejęcia posapywaniem zaczął przesuwac koraliki. Emma wyciągnęła tłusty paluszek i pisnęła z bólu.

- Scotty! - mruknął ostrzegawczo Paradine.

- Ja jej nic nie zrobiłem.

- Ugryź. Ten - pożaliła się Emma.

Paradine podniósł wzrok. Spojrzał w kierunku dzieci i unióśł brwi. Co to u diabła...

- Liczydło? - zapytał. - Pokaż.

Z wyraźnym ociąganiem Scott przyniósł urządzenie siedzącemu w fotelu ojcu. Paradine gwałtownie zamrugał oczami. Rozłożone

„liczydło” musiało mieć powyżej stopy kwadratowej powierzchni, zbudowane zaś było z przecinających się tu i ówdzie cienkich sztywnych drucików. Na druciki nanizane były kolorowe korale, które dawały się przesuwać w przód i w tył, a także w pionie, nawet w punktach przecięcia drutów. A przecież - koralik nanizany na drut nie ma prawa przejść przez punkt przecięcia.

Wniosek stąd, że koraliki nie były nanizane. Paradine poddał przedmiot bliższym oględzinom. Każdy koralik miał na obwodzie wydrążony rowek, dzięki czemu można go było zarazem obracać i przesuwać wzdłuż drutu. Paradine spróbował oderwać jedną kulkę. Trzymała się, jakby za sprawą siły magnetycznej. Żelazo? Wyglądało to raczej na plastyk.

A ta ramka - Paradine nie był matematykiem, ale kąty między drucikami szokowały zdumiewającym brakiem logiki euklidesowej. Tworzyły labirynt. Może całe urządzenie było właśnie łamigłówką...

- Skąd to masz?

- Od wujka Harry'ego - odparował Scott pod wpływem nagłego olśnienia. - Dał mi to w tamtą niedzielę, jak u nas był.

Wujek Harry wyjechał na jakiś czas z miasta, o czym Scott doskonale wiedział. Kiedy ma się siedem lat, wie się już dobrze, że dżiwactwa dorosłych mają swoją logikę i że jednym z koronnych dżiwactw jest przesadne zainteresowanie źródłami prezentów, które się otrzymuje. Co więcej, wujek Harry miał być nieobecny przez kilka tygodni: Scott nie był w stanie wyobrazić sobie wygaśnięcia tak odległego terminu, a zresztą, nawet gdyby kłamstwo miało się w końcu wydać, ważniejsze było na razie utrzymanie zabawki.

Im dłużej Paradine manipulował koralikami, tym bardziej czuł się zbity z tropu. Kąty były zdecydowanie nielogiczne, choć trudno byłoby wskazać błąd. Coś jak łamigłówka. Ten, na przykład, czerwony koralik powinien po przesunięciu wzdłuż tej osi trafić tam - a jednak nie trafiał. Jakiś labirynt - dziwaczny, ale niewątpliwie pouczający. Paradine doznał w pełni uzasadnionego uczucia, że nigdy w życiu nie starczyłoby mu cierpliwości do piekielnej zabawki.

Za to Scott miał cierpliwości pod dostatkiem. Przycupnąwszy w kącie, pracowicie przesunął koraliki, sapiąc przy tym i postępując. Koraliki istotnie kasały jak prąd, ilekroć Scott wybrał nie ten, który należało, lub zdecydował się na błędny kierunek ruchu. Wreszcie chłopiec zapiał z przejęciem.

- Udało się! Tata!
- Co? Co się udało? Pokaż.

Paradine nie dostrzegł w urządzeniu żadnej zmiany, ale rozpromieniony Scott z dumą wskazywał na jedno miejsce.

- Sprawilem, że zniknął.
- Przecież jest.
- Niebieski koralik. Nie ma go.

Paradine fuknął z niedowierzaniem. Scott ponownie skupił się nad ramką. Eksperymentował. Tym razem obeszło się bez wstrząsów elektrycznych, choćby najslabszych. Abakus wskazał chłopcu właściwą metodę. Od tej chwili Scott mógł działać sam. Niesamowite kąty przecięcia drucików jakoś znormalniały.

Pouczająca zabawka, nie ma co...

Scott pomyślał sobie, że liczydło działa na podobnej zasadzie jak kryształowa kostka. Skoro już sobie o niej przypomniał, wydobyl kostkę z kieszeni, a liczydło scedował na Emmę, która aż

oniemiała z radości. Natychmiast zabrała się do przesuwania koralików, tym razem nie skarżąc się na elektrowstrząsy - prawdę mówiąc minimalne - a dzięki niezwykłym zdolnościom naśladowczym udało jej się „zniknąć” koralik niemal tak szybko jak Scottowi. Scott nawet nie zauważył zniknięcia błękitnego koralika: wciśnięty w kąt między pluszową kanapą a wyściełanym fotelem, dał się bez reszty pochłoniąć sześcianowi.

Ludziki były w środku, tak jak przedtem, a kryształ, dzięki swym niezwykłym właściwościom, znacznie powiększał ich postacie. Poruszały się, a jakże. Budowały dom. Budowla stanęła nagle w niezwykle realistycznych płomieniach, a ludziki bezradnie sterczały z boku i czekały. „Gasić ogień!”, ponaglił je w duchu przejęty Scott.

I nic. Gdzie się podział ten śmieszny wóz strażacki, który wtedy przyjechał do pożaru? O, jest. Wjechał w pole widzenia i zatrzymał się. Scott włączył go do akcji.

Zabawa była kapitalna. Ludziki naprawdę słuchały tego, co Scott nakazywał im w myślach. Ilekroć popełnił błąd, czekały nieruchome, póki nie trafił na właściwe rozwiązanie. Stawiały mu nawet zupełnie nowe zadania.

Kostka była również wielce pouczającą zabawką. Uczyla Scotta z niepokojącą szybkością - a przy tym nauka była wielką frajdą. Na razie jednak kostka nie przekazywała Scottowi żadnej nowej wiedzy. Jeszcze nie był gotów. Jeszcze czas... jeszcze czas...

Emma znudziła się w końcu liczydłem i ruszyła na poszukiwanie Scotta. Nigdzie nie mogła go znaleźć, nawet w jego własnym pokoju - skoro jednak już tam dotarła, zainteresowała się zawartością

szafki. Odkryła skrzynkę, a w skrzynce niesamowity łup: lalkę, którą Scott pogardliwie zignorował. Popiskując z przejęcia, Emma zeszła z lalką na dół, kucnęła na samym środku pokoju i zabrała się do demontażu znaleziska.

- Córeńko! A to co takiego!

- Pan Misio.

Nie był to w żadnym razie Pan Misio, ślepy i bezuchy, lecz bardzo kochany dla swej miękkości i puchatego futerka. Dla Emmy jednak każda lalka nazywała się Pan Misio.

Jane Paradine zawahała się.

- Zabrałaś jakiejś dziewczynce?

- Nie. Moje.

Scott wychynął z kryjówki upychając kostkę w kieszeni.

- A, to... to od wujka Harry'ego.

- Emmo, wujcio Harry dał ci lalę?

- Dał ją mnie, żebym dał Emmie - wtrącił pośpiesznie Scott, dokładając kolejny kamyczek do piramidy kłamstw. - W tamtą niedzielę.

- Popsujesz ją, córeczko.

Emma podeszła z lalką do matki.

- Rozbiera. Widzi?

- Naprawdę? Jak... fff! - Jane gwałtownie wessała powietrze przez zęby. Paradine spojrzał w jej stronę.

- Co jest?

Wzięła lalkę i zbliżyła się do niego, ale po krótkim wahaniu przeszła do jadalni, rzucając mężowi znaczące spojrzenie. Podążył za nią i zamknął drzwi. Lalka leżała już na uprzątniętym stole.

- Jak ci się to podoba, Denny? Niezbyt piękne, co?

- Hmmmm...

Istotnie, lalka była na pierwszy rzut oka dość obrzydliwa. Model anatomiczny nie dziwiłby w akademii medycznej, ale żeby lalka dla dzieci...

Rozkładała się warstwami: skóra, mięśnie, poszczególne organy - wszystko miniaturowe, ale, jak stwierdził Paradine, doskonale precyzyjne. Paradine był szczerze zaintrygowany.

- Bo ja wiem... Dziecko inaczej odbiera te rzeczy...
- Patrz, wątroba. To na pewno wątroba?
- Jasne. Wiesz co? Ja... a to ci dopiero!
- Co takiego?
- Ona jednak nie jest anatomicznie doskonała - Paradine przysunął sobie krzesło. - Przewód pokarmowy powinien być dłuższy; brak jelita grubego. Ślepej kiszki też nie ma.

- Uważasz, że Emma może się tym bawić?
- Sam bym się pobawił - odparł Paradine. - Skąd ten Harry wytrzasnął taką lalkę? Nie, nie widzę w niej nic zdroźnego. Dorośli przywykli reagować na widok wnętrza obrzydzeniem, ale dziecko nie zna tego uczucia. Wydaje mu się, że jest jednolicie wypchane w środku, coś jak kartofel. Ta lalka może nauczyć Emmę solidnych podstaw fizjologii.

- A to co jest? System nerwowy?
- Nie, system nerwowy będzie tak. A to krwionośny: tętnice, żyły - jaka śmieszna aorta... - Paradine był wyraźnie zakłopotany. - Ta., jak jest siatka po łacinie? Rita? Rata?

- Rales - zaryzykowała Jane.
- To rodzaj oddychania - obciął ją z wyższością Paradine. - Nie mam pojęcia, czemu miałyby służyć ta świetlista siatka. Przenika całe ciało, tak jak nerwy.

- Krew.

- Nie. To nie jest ani układ krążenia, ani system nerwowy. Coś podobnego! Wygląda na to, że łączy się z płucami!

Zagadka dziwacznej lalki całkiem ich pochłoneła. Zdumiewająca perfekcja wykonania klóciła się w niewytłumaczalny sposób z odstępstwami od normy fizjologicznej, jakie prezentował model.

- Zaczekaj, sięgnę po Goulda - powiedział Paradine i już po chwili porównywał lalkę z planszami anatomicznymi. Wyjaśniło mu to niewiele, za to spotęgowało dezorientację.

Ale frajda była jeszcze większa niż przy abakusie.

Tymczasem w pokoju obok Emma przesuwiała w tę i z powrotem koraliki liczydła. Ruchy nie były obecnie tak nieodgadnione, nawet jeśli koralik znikał. Emma już prawie, prawie, znalazła nowy kierunek - prawie...

Scott dysząc wpatrywał się w kryształowy sześcian i w myślach, popełniając wiele falstartów, dyrygował wznoszeniem budowli nieco bardziej skomplikowanej niż ta, którą strawił ogień. On także się uczył - podlegał procesowi uwarunkowania...

Z czysto antropomorficznego punktu widzenia Paradine popełnił gruby błąd nie pozbywając się zabawek natychmiast. Nie uświadamiał sobie ich prawdziwego znaczenia, a gdy ta świadomość wreszcie do niego dotarła, sprawy zabrnęły już za daleko. Wujek Harry był nadal poza miastem, uniemożliwiając tym samym najoczywistsze źródło konsultacji. Poza tym trwały właśnie egzaminy śródmestralne, co oznaczało piekielny wysiłek umysłowy i kompletne wyczerpanie wieczorami. Jane na dodatek przez cały tydzień kiepsko się czuła. Tak więc Emma i Scott mogli korzystać z zabawek do woli.

- Tato - zapytał Scott któregoś wieczora - co to jest gargazon?

- Garnizon?

Scott zawahał się.

- Nie, chyba jednak gargazon. Nie ma takiego słowa ?

- Garnizon to jest miejsce, gdzie stacjonuje wojsko. Zgadza się?

- Nie pasuje - bąknął Scott i z chmurną miną wrócił do zabawy liczydłem. Szło mu już bardzo sprawnie, mimo to właściwy dzieciom instynkt unikania kłopotliwych sytuacji skłaniał go, tak samo jak Emmę, do bawienia się tajemniczymi przedmiotami z dala od dorosłych. Nie kryli się zbyt ostentacyjnie, ale bardziej skomplikowane eksperymenty przeprowadzali poza polem obserwacji rodziców.

Scott uczył się szybko. Sytuacje, które teraz widywał w kryształowej kostce, niewiele miały wspólnego z prościutkimi problemami. Były to jednak fascynujące zadania techniczne. Gdyby Scott wiedział, że ktoś steruje jego edukacją i nadzoruje jej wyniki - choć w sposób czysto mechaniczny - z pewnością zaraz straciłby zainteresowanie zabawą. Ponieważ jednak tego nie wiedział, nic nie tłamsiło jego inicjatywy.

Liczydło, kostka, lalka i cała reszta przedmiotów, które dzieci znalazły w skrzynce...

Paradine'owi i Jane nie śniło się nawet, jak wielki wpływ na ich dzieci ma zawartość maszyny czasu. Bo i skądże mieliby to wiedzieć? Instynkt samozachowawczy dziecka czyni je naturalnym dramaturgiem. Dziecko nie ulega jeszcze częściowo dla siebie niewytłumaczalnym wymogom świata dorosłych, a różnice ludzkich charakterów dodatkowo komplikują mu życie. Ktoś, na przykład, mówi dziecku,

że owszem, zabawa w błocie jest dopuszczalna, pod warunkiem, że podczas ekskawacji nie wrywa się z korzeniami kwiatów i drzewek. Ktoś inny natomiast kwestionuje błoto jako takie. Dziesięciorga przykazań nie wyryto na kamieniu - te przykazania ciągle się zmieniają, a dziecko jest beznadziejnie uzależnione od kaprysów tych, którzy je spłodzili, a teraz karmią i ubierają. No i tyranizują. Młode zwierzę nie odrzuca tyranii „dla twojego dobra”, gdyż jest ona zasadniczą częścią natury. Jednak jako indywidualista, zachowuje swą odrębność dzięki subtelnemu stosowaniu biernego oporu.

W obecności dorosłych zmienia się nie do poznania. Jak aktor, który pamięta o tym, że jest na scenie, robi wszystko, aby przypodobać się publiczności i ściągnąć na siebie jej uwagę. Wiek dojrzały nie oznacza końca takich starań, tylko że dorośli nie traktują się nawzajem z taką oczywistością, z jaką traktują dzieci.

Stwierdzenie, że dzieci są mało subtelne, byłoby wielce ryzykowne. Dzieci różnią się od osobników dorosłych, ponieważ inaczej myślą. Możemy bez trudu przejrzeć ich gierki, ale one też potrafią przejrzeć nasze. Dziecko potrafi bezlitośnie zdemaskować dorosłego. Obrazoburstwo to przywilej dziecka.

Wyfiokowana damulka, lansady i uprzejmości konwersacji, często bliskie absurdu, gładki dandys...

- Ach, ten *savoir-faire!* Cóż za wykwintne maniery!

Majątna wdowa i blond podfruwajka będą zachwycone. Mężczyźni wygłoszą kilka uszczypliwych uwag. A dziecko walnie prosto z mostu:

- Głupi jesteś!

Czy niedojrzała istota ludzka jest w stanie pojąć zawiły system stosunków społecznych? Nie. Dla takiej istoty przesadna kurtuazja to głupota. To rokoko wobec funkcjonalnej struktury wzorców życiowych dziecka. Egotystyczne zwierzątko, jakim jest dziecko, nie potrafi postawić się w sytuacji kogoś innego - a już z pewnością nie dorosłego. Jako samowystarczalny, niemal doskonały twór natury, którego potrzeby zaspokajane są przez innych, dziecko przypomina jednokomórkowca w systemie krwionośnym, któremu strumień krwi dostarcza pożywienia, unosząc z sobą produkty wydalania.

Logicznie rzecz ujmując, dziecko jest przerażająco doskonałe. Jeszcze doskonalsze musi być niemowlę, jest ono jednak tak obce dorosłemu, że podlega tylko najbardziej powierzchownym kryteriom porównawczym. Proces myślowy niemowlęcia jest dla nas czymś absolutnie niepojętym. A jednak małe dzieci myślą; myślą jeszcze przed narodzinami. Kiedy poruszają się i śpią w łonie matki, dzieje się to nie tylko za sprawą instynktu. Przywykliśmy z niechęcią reagować na myśl, że ledwie zdolny do życia embriion może rozumować. Myśl ta budzi nasze zdumienie, szokuje do granic chichotu, rodzi wstręt. Nic, co ludzkie, nie jest obce.

Tyle że niemowlę nie jest ludzkie. A co dopiero embriion.

Prawdopodobnie dlatego zabawki nauczyły Emmę więcej niż Scotta. Scott potrafił, naturalnie, komunikować swoje myśli, a Emma nie, chyba że w zagadkowych wryrywkach. Weźmy sprawę bohomasów.

Jeśli damy małemu dziecku kartkę i ołówek, narysuje coś, co w jego oczach wygląda inaczej niż w oczach dorosłego. Bezsensowne

esy-floresy mogą w niczym nie przypominać wozu strażackiego, a jednak jest to wóz strażacki - w oczach dziecka. Może nawet trójwymiarowy. Dzieci inaczej myślą i inaczej widzą.

O tych właśnie sprawach rozmyślał Paradine któregoś wieczoru, przerzucając gazetę, a jednocześnie podpatrując sposób porozumiewania się Emmy i Scotta. Scott zadawał siostrze pytania. Czasem po angielsku, częściej jednak uciekał się do niezrozumiałych dźwięków i migów. Emma starała się odpowiadać, lecz szło jej to z największym trudem.

W końcu Scott podał jej kartkę i ołówek. Małej bardzo się to spodobało. Z językiem na wierzchu pracowicie nagryzmoła jakąś wiadomość. Scott przestudiował kartkę i zmarszczył brwi.

- Nie zgadza się - orzekł.

Emma z emfazą pokiwała główką. Złapała ołówek i domalowała jeszcze kilka bohomazów. Scott przez chwilę głowił się nad kartką, wreszcie wstał i z niepewnym uśmiechem zniknął w hallu. Emma z powrotem zajęła się liczydłem.

Paradine podniósł się, by rzucić okiem na kartkę, tknięty szaleńczą myślą, że być może Emma ni stąd, ni zowąd opanowała sztukę kaligrafii. A jednak nie. Kartkę pokrywały pozbawione sensu esy-floresy, doskonale znane wszystkim rodzicom. Paradine wyduł wargi.

Mógł to być obraz przemian psychicznych karalucha ogarniętego depresją maniacką, ale chyba nie o to chodziło. A jednak bohomaży bez wątplenia miały swoje znaczenie dla Emmy. Może przedstawiały Pana Misia?

Scott wrócił do pokoju wyraźnie zadowolony. Napotkawszy wzrok Emmy, kiwnął głową. Paradine poczuł ostrogę nieposkromionej ciekawości.

- Sekreciki?

- Nie, tylko, że... Emma chciała, żebym zrobił dla niej jedną rzecz.

- Aha.

Pomny historii o dzieciach, które swobodnie paplały w niepojętych językach, zapędzając uczonych lingwistów w kozi róg, Paradine postanowił zaanektować kartkę, kiedy Emma i Scott zakończą zabawę. Następnego dnia na uniwersytecie pokazał bohomazy Elkinsowi. Elkins, renomowany znawca wielu nieprawdopodobnych języków, aż się zachłysnął na widok prób literackich Emmy.

- Uważaj, Dennis, podaję ci wolny przekład. Cytuję: „Sama nie wiem, co to znaczy, ale zabiłam ojcu solidnego ćwieka”. Koniec cytatu.

Roześmieli się obaj i poszli prowadzić zajęcia. A jednak Paradine miał sobie jeszcze przypomnieć incydent z kartką. Zwłaszcza po spotkaniu z Hollowayem. Zanim jednak do tego doszło, minęły miesiące, a rozwój wypadków dalej dążył do punktu kulminacyjnego.

Być może Paradine i Jane okazali nadmierne zainteresowanie zabawkami: Emma i Scott przywykli trzymać je w ukryciu i bawić się nimi z dala od rodziców. Nie demonstrowali swojej ostrożności, ale konsekwentnie jej przestrzegali. Mimo to rodziców, a zwłaszcza Jane, nie opuszczał niepokój.

- Wiesz, ta lalka, którą Emma dostała od Harry'ego... - zaczęła któregoś wieczoru Jane.

- Co z nią?

- Byłam dzisiaj w mieście i próbowałam się dowiedzieć, gdzie Harry ją kupił. Nie trafiłam na żaden ślad.

- Może kupił ją w Nowym Jorku?

Nie przekonało to Jane.

- Pytałam i o te inne zabawki. Dali mi przejrzeć cały asortyment - a Johnson's to jest jednak spora firma. Nie ma tam rzeczy, która by choć trochę przypominała liczydło Emmy.

- Mhm. - Paradine nie przejął się specjalnie rewelacjami żony. Mieli bilety na wieczór, a robiło się późno, więc temat zabawek został chwilowo zawieszony.

Powrócił niebawem, w związku z telefonem sąsiadki, który odebrała Jane.

- Denny, ze Scottem coś się dzieje. Pani Burns twierdzi, że omal nie wystraszył jej Francisca na śmierć.

- Francis, Francis? Aaa, ten gruby zasmarkaniec. Wykapany ojciec. Staremu Burnsowi złamałem kiedyś nos, jeszcze na drugim roku.

- Przestań się chwalić i słuchaj, co ci mówię - przerwała mu Jane mieszając drinka. - Scott podobno pokazał Francisowi coś przerażającego. Może byś tak...

- Chyba masz rację. - Paradine nadstawił ucha. Po odgłosach z sąsiedniego pokoju rozpoznał miejsce pobytu syna. - Scotty?

- Bababababach! - wrzasnął Scott i uśmiechnięty stanął w drzwiach. - Same trupy. Piraci z kosmosu. Wołałeś mnie, tato?

- Tak. Jeśli możesz odłożyć na chwilę pogrzeb kosmicznych piratów. Coś zrobił Francisowi Burnsowi?

W błękitnych oczach Scotta odmalowało się szczere zdumienie.

- Francisowi? Ja?

- Przypomnij sobie. Na pewno wiesz, o co chodzi.

- Francisowi... Aaa! Nic, nawet go nie tknęłam.
- Tknęłam - poprawiła machinalnie Jane.
- Tknęłam. Jak Boga kocham. Dałam mu tylko popatrzeć w telewizorek, a on... się przestraszył.

- Telewizorek?

Scott wyjął kryształową kostkę.

- To nie jest prawdziwy telewizor, widzisz?

Paradine dokładnie obejrzał zabawkę, zdumiony mocą szkła powiększającego. Wewnątrz widział bezsensowny barwny deseń. Nic poza tym.

- Wujek Harry...

Paradine ujął słuchawkę telefonu. Scotta zatkało.

- Czy wu... wujek Harry już wrócił?

- Tak.

- To ja lecę się wykąpać. - Scott był już w drzwiach. Paradine i Jane wymienili znaczące spojrzenia i oboje kiwnęli głowami.

Harry był w domu, wyparł się jednak jakichkolwiek powiązań z dziwnymi zabawkami. Paradine dość groźnie zażądał od Scotta zniesienia na dół wszystkich inkryminujących przedmiotów. Rozłożyli je rzędem na stole: kostka, liczydło, lalka, czepiec przypominający hełm i jeszcze parę zagadkowych urządzeń. Scott został szczegółowo przesłuchany. Jeszcze przez chwilę łąał z desperackim samozaparciem, w końcu jednak poddał się i wśród szlochów wyrzeszczał całą prawdę.

- Przynies skrzynkę, w której to wszystko było - nakazał Paradine. - I marsz do łóżka.

- Czy teraz - szloch - spotka mnie kara?

- Naturalnie, za wagary i za kłamstwo. Znasz reguły. Na dwa tygodnie koniec z kinem. To samo dotyczy oranżady.

Scott głośno pociągnął nosem.

- Nie oddasz mi tych rzeczy?

- Jeszcze nie wiem.
- No to... dobranoc, tatusiu. Dobranoc, mamusiu.

Kiedy mała figurka zniknęła na piętrze, Paradine przysunął się z krzesłem do stołu i starannie obejrzał skrzynkę. Długo i z namysłem dłużył przy zespolonym napędowym. Jane patrzyła z boku.

- Jak myślisz, Denny, co to może być?
- Nie mam zielonego pojęcia. Po diabła ktoś miałby zostawiać kufer zabawek nad strumieniem?
- Skrzynka mogła wypaść z samochodu.
- Nie w tym miejscu. Szosa nie zbliżyła się do strumienia na północ od nasypu kolejowego. Wszystkie losy puste... - Paradine zapalił papierosa. - Napijesz się?
- Zaraz naleję. - Jane wzięła się do dzieła. Tylko oczy zdradzały jej wielki niepokój. Podążyła mężowi szklanke i stanęła za jego plecami. - Martwisz się? - zapytała mierzwiąc mu włosy.
- Skądże! Tylko... skąd się wzięły te zabawki?
- U Johnsona nikt o nich nie wiedział, a Johnson zaopatruje się w Nowym Jorku.
- Ja też sprawdzałem - przyznał się Paradine. - Ta lalka - dźgnął lalkę palcem - nie przestawała chodzić mi po głowie. Robota na zamówienie, bardzo możliwe, tylko kto ją wykonał?
- - Może jakiś psycholog? To liczydło na przykład - to może być aparat do testów psychologicznych...
- Jasne! - Paradine strzelił palcami. - Wiesz co? W przyszłym tygodniu wykładu u nas gościnnie facet, który nazywa się Holloway, psycholog dziecięcy. Podobno wielka sława. Może będzie coś wiedział na ten temat.

- Holloway? Nie przypominam sobie...
- Rex Holloway. On nawet... hmm, no tak... nawet niedaleko stąd mieszka. Myślisz, że mógłby się zajmować produkcją takich zabawek?

Jane oglądała liczydło. Odsunęła je z niesmakiem.

- Jeżeli tak, to ja już teraz go nie cierpię. Ale spróbuj, Denny, może się czegoś dowiesz.

Paradine kiwnął głową.

- Spróbuję.

Z chmurną miną opróżnił szklanę. Opanował go trudny do zdefiniowania niepokój. Ale jeszcze nie lęk - jeszcze nie.

Rex Holloway był lśniącym grubaskiem o kompletnie łysej czaszce i masywnych okularach, nad którymi jak puszyste gąsienice spoczywały kosmate, czarne brwi. W tydzień po rozmowie z Jane, Paradine przyprowadził go do domu na kolację. Holloway z pozoru nie zwracał większej uwagi na dzieci, a jednak rejestrował każde ich słowo i gest. Jego bystre, życzliwe, szare oczy, nie przegapiły niczego.

Był zafascynowany zabawkami. Trójka dorosłych zebrała się w salonie przy stole, na którym leżały wszystkie tajemnicze przedmioty. Holloway oglądał je z uwagą, sztuka po sztuce, słuchając komentarzy Jane i Paradine'a. Wreszcie i on się odezwał:

- Cieszę się, że mnie państwo zaprosili. Chociaż właściwie nie bardzo jest się z czego cieszyć. To mocno niepokojące.

- Jak? - Paradine wytrzeszczył oczy. Twarz Jane również wyrażała konsternację. Dalszy ciąg monologu Hollowaya bynajmniej ich nie uspokoił.

- Mamy do czynienia z szaleństwem.

Uśmiechnął się widząc ich oniemiałe miny.

- Z punktu widzenia dorosłych, każde dziecko jest szalone. Czytali państwo *Orkan na Jamajce* Hughesa?

- Mam to tutaj. - Paradine zdjął książkę z półki. Holloway wyciągnął rękę, wziął od niego książkę i zaczął ją kartkować, póki nie natrafił na miejsce, o które mu chodziło. Przeczytał na głos:

„...a niemowlęta - jak wiadomo - nie są ludźmi, są zwierzątkami i mają bardzo starą i wielostronną kulturę jak koty czy ryby, czy nawet węże: kulturę tego samego rodzaju, lecz bardziej skomplikowaną i żywszą, ponieważ niemowlęta, ostatecznie, to jeden z najwyższej rozwiniętych gatunków wśród niższych kręgowców.

Krótko mówiąc, umysły niemowląt pracują według własnych prawideł, których nie da się przełożyć na prawidła umysłu ludzkiego”.* [Richard Hughes, *Orkan na Jamajce*, przekład Ariadny Demkowskiej, Czytelnik, 1968.]

Jane starała się zachować spokój, ale zupełnie jej to nie wyszło.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że Emma...

- Potrafi pani myśleć tak jak pani córka? - odpowiedział pytaniem Holloway. - Nie jesteśmy w stanie myśleć jak małe dzieci, zupełnie tak samo jak nie jesteśmy w stanie myśleć jak, dajmy na to, pszczoła.

Paradine szykował alkohole.

- Mówi pan czysto teoretycznie, prawda? - rzucił przez ramię. - Chodzi panu, jeśli dobrze zrozumiałem, o to, że niemowlęta mają własną, odrębną kulturę, i to o wysokim standardzie inteligencji.

- Niezupełnie. W tej dziedzinie, widzi pan, nie ma miar. Chciałem jedynie powiedzieć, że małe dzieci rozumują w sposób odmienny

od naszego. Co nie znaczy, że lepszy - tu już wchodzimy w zakres wartości względnych. Myśl dziecka rozwija się w innej płaszczyźnie...

- Holloway z bolesnym grymasem na twarzy szukał właściwych słów.

- To czysta fantazja - wtrącił niemal niegrzecznie Paradine, zirytowany aluzjami do Emmy. - Zmysły niemowlęcia nie różnią się przecież od naszych.

- A kto mówił, że się różnią? - zdziwił się Holloway. - Dziecko w odmienny sposób wykorzystuje swój umysł, i tylko tyle. Z tym, że to „tylko” najzupełniej wystarczy!

- Usiłuję zrozumieć... - odezwała się z namysłem Jane. - Jedyne, z czym mi się to kojarzy, to mikser kuchenny: trzepie ciasto na naleśniki i tłucze kartofle, ale potrafi również wyciskać sok z pomarańczy.

- Ciepło, ciepło. Mózg jest koloidem, to bardzo skomplikowana maszyna. Niewiele wiemy o jego możliwościach. Nie znamy nawet jego chłonności. Jedno wiemy na pewno: że w miarę dojrzewania zwierzęcia z gatunku homo, mózg stopniowo się uwarunkowuje. Przyjmuje zespół potocznych pewników i odtąd wszelka myśl opiera się na niekwestionowanych wzorcach. Weźmy ten przedmiot. - Holloway dotknął palcem liczydła. - Przymierzał się pan do niego?

- Tak, trochę - odparł Paradine.

- Ale niespecjalnie, co?

- Prawdę mówiąc...

- A czemu nie?

- Bo to kompletnie nie ma sensu - wyznał z goryczą Paradine. - Nawet w łamigłówce powinna być jakaś logika. A te zwariowane kąty...

- Pański umysł został uwarunkowany na Euklidesa - stwierdził Holloway. - Dlatego też... przedmiot... nuży nas i wydaje się pozbawiony

sensu. Dziecko jednak nic nie wie o geometrii euklidesowej. Żaden system geometryczny nie zadziwi go więc brakiem logiki. Dziecko wierzy w to, co widzi.

- Uważa pan, że to urządzenie jest tworem czterowymiarowym?
- zapytał wyzywająco Paradine.

- Nie, przynajmniej nie widać tego - zaprzeczył Holloway. - Twierdzą jedynie, że nasze umysły, nawykłe do Euklidesa, widzą tu jedynie bezsensowną gmatwaninę drutów. Dziecko natomiast, zwłaszcza małe, widzi, być może, coś więcej. Też nie od razu. Z początku i dla dziecka będzie to łamigłówka. Tylko że dziecko nie ma hamulców w postaci licznych schematów myślowych.

- Skleroza arterii rozumowania - wtrąciła Jane.

Paradine wciąż nie dawał się przekonać.

- W takim razie niemowlę powinno sobie radzić z rachunkiem różniczkowym lepiej niż Einstein. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Rozumiem mniej więcej, o co panu chodzi. Tylko że...

- Cierpliwości. Załóżmy, że istnieją dwa systemy geometryczne - upraszczam dla potrzeb rozumowania. Jest geometria nasza, euklidesowa, i ta druga - nazwijmy ją geometrią x . x ma niewiele wspólnego z Euklidesem. Opiera się na innych przesłankach. Dwa plus dwa nie musi się tam równać cztery, lecz, dajmy na to - y_2 ; albo w ogóle może się nie sumować. Umysł małego dziecka nie jest jeszcze uwarunkowany, jeśli nie brać pod uwagę wątpliwych czynników dziedziczności i wpływu środowiska. Wystarczy raz wpoić dziecku teorię Euklidesa...

- Biedne dziecko - westchnęła Jane.

Holloway skarcił ją przelotnym spojrzeniem.

- Podstawy geometrii euklidesowej. Alfabet matematyki. Rachunki, geometria, algebra - to przychodzi znacznie później. Ten

etap rozwoju znamy bardzo dobrze. A teraz - wyłożmy dziecku podstawowe zasady logiki x...

- Zasady? Jakie na przykład?

Holloway spojrział na liczydło.

- Dla nas pewnie bezsensowne. No, ale my mamy nawyk myślenia po euklidesowemu.

Paradine nalał sobie whisky bez rozcieńczania.

- To przerażające, co pan mówi. Pan nie ogranicza zjawiska do matematyki.

- Racja. W ogóle go nie ograniczam. Nie byłbym w stanie. Nie jestem przecież uwarunkowany logiką x.

- Oto mamy odpowiedź - odetchnęła z ulgą Jane. - Kto w takim razie posługuje się logiką x? Bo właśnie tylko ktoś taki mógł wykonać zabawki, których rzekome działanie przed chwilą nam pan opisał.

Holloway pokiwał głową, gwałtownie mrugając oczami spoza grubych szkielec.

- Niewykluczone, że tacy ludzie istnieją.

- Gdzie?

- Może wolą się nie ujawniać.

- Nadludzie?

- Sam chciałbym wiedzieć. Widzi pan, panie Paradine, znowu potykamy się o brak miarki. Wedle naszych standardów, tacy ludzie mogą być dla nas w pewnych sprawach absolutnie niedościgli. W innych za to mogą się nam wydawać kompletnymi debilami. Różnica nie leży w ilości, lecz w jakości. Oni inaczej myślą. I z pewnością są rzeczy, które my potrafimy robić, a oni nie.

- Może dlatego, że im się nie chce - wtrąciła Jane.

Paradine puknął w nadtopiony mechanizm skrzynki.

- A co pan powie na to? Widać tu wyraźnie... Celowe działanie, jasne, że tak.

- A cel - przenoszenie obiektu z miejsca na miejsce?

- To z pewnością pierwsza myśl, jaka się nasuwa. Jeżeli tak, skrzynka mogła przybyć skądkolwiek.

- Skądś, gdzie jest... inaczej? - wycedził wolno Paradine.

- Właśnie. W przestrzeni - a może i w czasie. Ja tego nie wiem, ja jestem psychologiem. I też, na nieszczęście, podlegam Euklidesowi.

- To musi być jakieś zwariowane miejsce - oceniła Jane. - Deny, wyrzuć te zabawki.

- Taki właśnie mam zamiar. Holloway ujął kryształową kostkę.

- Wypytywali państwo dzieci?

- Och, tak - odparł Paradine. - Scott mówił mi, że kiedy po raz pierwszy zajrzał w ten sześcian, zobaczył ludzi. Zapytałem go, co widzi teraz.

- I co odpowiedział? - oczy psychologa zaokrągliły się z ciekawości.

- Ze budują budowlę. Dokładnie tak się wyraził. Zapytałem wtedy, co to za ludzie. Nie umiał odpowiedzieć.

- Spodziewam się - bąknął Holloway. - To musi mieć charakter postępujący. Od jak dawna dzieci mają te zabawki?

- Od jakichś trzech miesięcy.

- Starczy. Widzicie państwo, idealna zabawka jednocześnie uczy i bawi. Powinna zaciekawić dziecko mechanizmem działania, a zarazem powinna czegoś uczyć, możliwie nienachalnie. Z początku są to rzeczy proste. Później natomiast...

- Logika x! - Jane pobladła.

Paradine zaklął pod nosem.

- Emma i Scott są stuprocentowo normalni!
- A skąd pan wie, jak działają ich umysły - teraz?

Holloway nie pociągnął tematu. Od niechcenia bawił się lalką.

- Dobrze byłoby znać warunki, w jakich powstały te przedmioty.

Indukcja, niestety, niewiele tu pomoże. Brakuje nazbyt wielu czynników. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie świata zorganizowanego na zasadzie x - środowiska przystosowanego do umysłów rozumujących według wzorców x . Na przykład ta świetlista siateczka wewnątrz lalki. To może być cokolwiek. Może i nasze ciała zawierają coś podobnego, chociaż jeszcze tego nie odkryliśmy. Gdybyśmy wpadli na właściwy trop... - Wzruszył ramionami. - A co pan myśli o tym?

„To” było karminową galką o średnicy dwóch cali, z wystającą w jednym miejscu naroślą.

- Co w ogóle można o tym myśleć?

- A Scott? Emma?

- Zobaczyłem to u nich dopiero jakieś trzy tygodnie temu. Kiedy Emma zaczęła się tym bawić. - Paradine skubał wargę. - Później Scott też się zainteresował.

- Co oni z tym robią?

- Przesuwają w tę i z powrotem na wysokości oczu. Ruchy nie układają się w żaden wzór.

- Dodajmy: wzór euklidesowy - uściślił Holloway. - Dzieci z początku nie rozumiały celu działania zabawki. Musiały zostać do niej doksztalcone.

- To potworne - szepnęła Jane.

- Nie dla nich. Emma zapewne pojmuje x szybciej niż Scott, ponieważ otoczenie nie zdołało jeszcze uwarunkować jej umysłu.

Paradine zaprotestował.

- Pamiętam przecież masę rzeczy z własnego dzieciństwa. Nawet bardzo wczesnego.

- No i...?

- Czy byłem wówczas... nienormalny?

- Kryterium szaleństwa wyznaczają te rzeczy, których pan nie pamięta - odparł Holloway. - Słowa „nienormalny” używam, proszę pamiętać, jedynie jako wygodnego określenia na odstępstwa od akceptowanej normy. Od standardowego pojęcia zdrowia psychicznego.

Jane odstawiła szklanę.

- Mówił pan, panie Holloway, że metoda indukcyjna w tym przypadku zawodzi. A jednak wydaje mi się, że wyciąga pan daleko idące wnioski z cieniutkich przesłanek. Te zabawki to w końcu...

- Jestem psychologiem, proszę pani, i specjalizuję się w dzieciach. Znam się na tym. Te zabawki mają dla mnie ogromne znaczenie i to właśnie przez swój brak sensu.

- Może się pan mylić.

- Mam szczerą nadzieję, że tak. Chciałbym teraz przebadać dzieci.

- W jaki sposób? - zjeżyła się Jane.

Holloway przedstawił jej swoją metodę i Jane przystała na badanie, jakkolwiek nie bez wahania.

- Niech będzie. Ale uprzedzam: moje dzieci to nie króliki doświadczalne.

Psycholog zamachał w powietrzu pulchną dłoń.

- Moje drogie dziecko, ja naprawdę nie jestem Frankensteinem. Jedyne, co mnie obchodzi, to indywidualny człowiek - chyba oczywiście, skoro pracuję w ludzkich umysłach. Jeżeli z dziećmiakami dzieje się coś złego, chcę je wyleczyć.

Paradine odłożył papierosa i zapatrzył się w siwą spiralę dymu, drżącą

lecko w niewyczuwalnym przeciągu.

- Można wiedzieć, czego się pan spodziewa?

- Moja hipoteza jest następująca: jeśli niewykształcone umysły zostały wprowadzone w kanał x, należy je stamtąd zawrócić. Nie twierdzę, że to najmądrzejsze, co możemy zrobić, ale z naszego punktu widzenia będzie to z pewnością zabieg roztropny. Emma i Scott będą przecież kiedyś musieli funkcjonować w naszym świecie.

- Tak, tak, oczywiście. Nie wydaje mi się jednak, aby coś z nimi było nie tak. Rozwijają się typowo, są na wskroś normalni.

- Z pozoru może to tak wyglądać. Żadne z nich nie ma powodu, by zachowywać się nienormalnie, prawda? Ale skąd może pan wiedzieć, czy... nie myślą inaczej?

- Zawołam je - oświadczył Paradine.

- Proszę to zrobić w miarę niezobowiązująco. Nie chciałbym obudzić ich czujności.

Jane ruchem głowy wskazała zabawki.

- Niech zostaną, dobrze? - zaproponował Holloway.

Psycholog nie spieszył się z bezpośrednim przesłuchaniem Emmy i Scotta. Udało mu się sprytnie wciągnąć Scotta w rozmowę, w której od czasu do czasu padały słowa-klucze. Nic z brutalnych testów skojarzeniowych - do tego trzeba współpracy pytanego.

Najciekawsze wydarzyło się, gdy Holloway wziął w rękę liczydło.

Scott zawahał się.

- Mógłbyś mi pokazać, ja kto działa?

- Tak, proszę pana. O - właśnie w ten sposób.

Zręcznie przeprowadził koralik krętą trasą przez labirynt, a zrobił to tak szybko, że w końcu nikt nie był pewien, czy koralik zniknął

na finiszu, czy też nie. Wyglądało to na jakąś hochsztaplerkę. I drugi raz...

Holloway też spróbował. Scott obserwował jego wysiłki ze zmarszczonym nosem.

- Dobrze?
- Hmm... Teraz musi iść tam.
- Tutaj? Dlaczego?
- Bo inaczej nie wyjdzie.

Holloway jednak myślał Euklidesem. Nie potrafił dostrzec logicznego uzasadnienia dla przesunięcia koralika z jednego konkretnego drucika na drugi konkretny drucik. Wybór drogi wydawał mu się czysto przypadkowy. Holloway zauważył też, że Scott podczas swojej demonstracji prowadził koralik całkiem inną drogą. Przynajmniej tak mu się zdawało.

- Pokażesz mi jeszcze raz?

Scott spełnił życzenie, a następnie powtórzył operację jeszcze dwukrotnie. Holloway mrugał gwałtownie spoza szkieł. Czysty przypadek, to pewne. I ogromna skala wariacji. Scott za każdym razem prowadził koralik inną trasą.

Dziwne, ale nikt z dorosłych nie był na sto procent pewien, czy koralik zniknął, czy nie. Gdyby oczekiwali jego zniknięcia, być może zareagowaliby inaczej.

Demonstracja Scotta nie rozwiązała niczego. Przy pożegnaniu Holloway zdradzał pewien niepokój.

- Czy mógłbym znów państwa odwiedzić?
- Bardzo prosimy - zapewniła Jane. - Kiedy tylko pan zechce.

Czy nadal sądzi pan...

Kiwnął głową.

- Dzieci nie rozumują typowo. Nie jest to, broń Boże, tępota; odniosłem tylko przedziwne wrażenie, że wyciągają wnioski w sposób dla nas niepojęty. Tak jakby posługiwały się algebrą, podczas gdy

my używamy geometrii. Wnioski okazują się w końcu te same, ale różne są sposoby dochodzenia do nich.

- A zabawki? - zapytał zniechęca Paradine.
- Proszę je trzymać z dala od dzieci. Jeśli państwo pozwolą, chciałbym je wypożyczyć.

Paradine źle spał tej nocy. Ta nieszczęsna metafora Hollowaya prowadziła do niepokojących hipotez. Czynniki x... Dzieci posługują się odpowiednikiem myślenia algebraicznego, a dorośli geometrycznego...

Wszystko dobrze, tylko...

Algebra może dać odpowiedź na pytania, wobec których geometria jest bezradna; pewne symbole i terminy nie sposób wyrazić geometrycznie. A jeśli logika x prowadzi do wniosków niepojętych dla dojrzałego umysłu?

- Psiakrew! - szepnął Paradine.

Jane poruszyła się obok niego.

- Kochanie? Ty też nie możesz spać?
- Nie.

Paradine wstał i przeszedł do drugiego pokoju. Emma spała jak aniołek, przygarniając pulchnym ramieniem Pana Misia. Przez otwarte drzwi widać było ciemną głowę Scotta spoczywającą nieruchomo na poduszce.

Jane stanęła obok męża. Objął ją ramieniem.

- Biedne małe ludziki - rzekła półgłosem. - A ten Holloway zrobił z nich szaleńców. Myślę, Dennis, że to my jesteśmy obłąkami.

- Masz rację. Całkiem nam odbiło.

Scott poruszył się i przez sen zawołał coś, co mogło być tylko pytaniem, choć nie przypominało żadnego języka. Emma wydała

z siebie jęklivy pisk, w połowie gwałtownie zmieniając ton.

Nie obudziła się. Nawet nie drgnęła.

Paradine poczuł mdlący ucisk w dołku: wyglądało to dokładnie tak, jakby Scott zadał Emmie jakieś pytanie, a ona odpowiedziała.

Czyżby ich umysły odmieniły się na tyle, że nawet... śpią inaczej?

Pośpiesznie odrzucił tę myśl.

- Przeziębisz się. Wracajmy do łóżka. Chcesz się napić?

- Chyba tak - odparła Jane przyglądając się Emmie. Jej ręka machinalnie powędrowała w stronę dziecka; Jane cofnęła ją w ostatniej chwili. - Lepiej chodźmy stąd. Pobudzimy dzieci.

Wypili po koniaku, ale żadne nie odezwało się oni słowem. Tej nocy Jane płakała przez sen.

Scott nie obudził się, ale jego umysł wolno, precyzyjnie budował myśli. A więc...

- Zabiorą zabawki. Ten grubas - chyba listawa niebezpieczny. Ale nie wpadnie na kierunek goryjski - ewankurus dun tego nie ma. Intransdekja - jasny i świetlisty. Emma. Jest już bardziej kopraniczna niż... Wciąż nie wiem, jak... tawarar liksery dist...

Myśli Scotta były nadal po części zrozumiałe. Emma znacznie szybciej podlegała uwarunkowaniu x.

Ona także myślała przez sen.

Nie jak dorosły, i nie jak dziecko. W ogóle nie jak istota ludzka - chyba że istniałby człowiek szokująco odmienny od gatunku homo.

Nawet Scott chwilami śledził jej myśli z wielkim trudem.

Gdyby nie Holloway, życie Paradine'ow mogłoby wrócić do jakiejś takiej normy. Aktywnie stymulujące zabawki zniknęły z pola widzenia. Emma z całkiem zrozumiałym zachwytem powróciła do lalek i piaskownicy. Scott zajął się grą w baseball i „Małym chemikiem”. Robiły wszystko to, co inne dzieci w ich wieku, nie zdradzając właściwie żadnych odchyłeń od normy. Holloway był chyba jednak pani karze m.

Przetestował wszystkie zabawki, otrzymując w rezultacie idiotyczne oceny. Sporządzał dziesiątki tabel i wykresów, wdał się w korespondencję z matematykami, inżynierami, a także z kolegami po fachu i stopniowo odchodził od zmysłów usiłując dociec w tajemniczych urządzeniach jakiegokolwiek logiki i sensu. Sama skrzynka i jej enigmatyczny mechanizm nie wyjaśniały niczego. Zbyt wielkie partie maszynierii stopiły się w litą bryłę. Ale zabawki...

Intrygujący był zwłaszcza element przypadkowości. I tu problem tkwił w semantyce. Holloway był bowiem święcie przekonany, że to, co wygląda na przypadkowe, wcale takie nie jest. Rzecz w nadmiernej ilości niewiadomych. Żaden dorosły człowiek nie potrafił, dla przykładu, opanować liczydła. A dzieciom Holloway rozmyślnie nie dawał go do zabawy.

Równie tajemnicza była kryształowa kostka. W jej wnętrzu tkwił szalony wielobarwny deseń, który czasem się poruszał. Pod tym względem kostka przypominała kalejdoskop. Tylko że nie ożywiały jej zmiany położenia ani ciężenia. Znow ten element przypadkowości.

Albo raczej niewiadoma. Wzorzec x. Paradine i Jane odzyskali wreszcie spokój ducha, przekonani, że wraz z usunięciem przyczyny dzieci pozbyły się raz na zawsze skrzywienia umysłowego.

Zachowanie Emmy i Scotta na każdym kroku przekonywało ich, że nie ma podstaw do niepokoju.

Dzieci uwielbiały pływanie, wycieczki, kino, gry i funkcjonalne zabawki przeznaczone dla ich grup wiekowych. Fakt, że nie potrafiły opanować pewnych mechanicznych łąmigłówek opartych na kalkulacji matematycznej - na przykład trójwymiarowego globusa do składania, który kupił im Paradine. Ale i on sam miał trudności ze złożeniem zabawki.

A jednak od czasu do czasu szydło wyłaziło z worka. Któregoś sobotniego popołudnia Scott był z ojcem na wycieczce. Przystanęli na szczycie wzgórza. Pod nimi rozciągała się przepiękna dolina.

- Ładnie tu, co? - zauważył Paradine.

Scott z chmurną miną lustrował pejzaż.

- Wszystko pokręcone - oświadczył.

- Jak to?

- Nie wiem.

- Co jest pokręcone?

- Ojejku... - Scott umilkł zakłopotany. - No, nie wiem.

Dzieci odczuły brak zabawek, ale nie trwało to długo. Emma pierwsza pogodziła się z sytuacją, chociaż Scott nadal chodził naburmuszony. Prowadził z siostrą niezrozumiałe dialogi i uważnie studiował bohemy kreślone przez nią na kartkach, które jej podsuwał. Zupełnie, jakby zasięgał fachowej rady w sprawach, które jego samego przerastały.

Jeśli nawet Emma więcej rozumiała, Scott przewyższał ją inteligencją i zdolnościami manualnymi. Posługując się „Małym mechanikiem”, zbudował pewne urządzenie, ale nie był z niego zadowolony.

Jego niezadowolenie wynikało z tej samej dokładnie przyczyny, która natchnęła Paradine'a radosną ulgą, gdy obejrzał konstrukcję syna. Była to konstrukcja typowa dla chłopców w wieku Scotta - przypominała kubistyczną wersję statku.

Dla Scotta była jednak trochę za normalna. Dalej wypytywał Emmę, ale tylko gdy byli sami. Po namyśle Emma dorysowała kilka bohomasów charakterystycznie zaciśniętym w garści ołówkiem.

- Potrafisz to odczytać? - zapytała Jane syna któregoś ranka.
- Odczytać - nie. Wiem, o co jej chodzi. Nie zawsze, ale przeważnie tak.

- Czy to jest jakieś pismo?

- Nnie... To znaczy co innego, niż wygląda.

- Symbolizm - rzucił znad kawy Paradine.

Jane spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Denny...

Mrugnął do niej i pokręcił głową. Nieco później, kiedy zostali sami, powiedział:

- Nie daj się zwariować temu Hollowayowi. Nie twierdzą, że dzieci porozumiewają się w nieznanym języku. Starczy, że Emma narysuje zawijasa i autorytatywnie nazwie go kwiatkiem, a Scott to zapamięta. Kiedy po raz drugi narysuje takiego samego lub podobnego zawijasa... Rozumiesz?

- Tak - przyznała z wahaniem Jane. - Zauważyłeś, jak Scott ostatnio dużo czyta?

- Zauważyłem. Ale nie rusza niczego niezwykłego - na przykład Kanta czy Spinozy.

- Przerzuca i odkłada.

- Ja w jego wieku robiłem dokładnie to samo - zakończył rozmowę Paradine i wyszedł na poranne zajęcia. Lunch zjadł w towarzystwie Hollowaya, co przeszło już w codzienny obyczaj, a przy okazji

opowiedział psychologowi o zapędach literackich Emmy.

- Powiedz mi, Rex, czy miałem rację mówiąc o symbolizmie?

Psycholog kiwnął głową.

- Absolutną. Nasz język też jest na obecnym etapie zbiorem arbitralnie ustalonych symboli. Przynajmniej tak go stosujemy. Popatrz. - Nakreślił na serwetce kształt wydłużonej elipsy. - Co to jest?

- Pytasz, co to przedstawia?

- Tak. Z czym ci się to kojarzy? Jest to uproszczony obraz... no, czego?

- Mnóstwa rzeczy - odparł Paradine. - Brzegu szklanki. Sadzonego jajka. Bułki paryskiej. Cygara.

Holloway dorysował trójkącik, który wierzchołkiem stykał się z jednym końcem elipsy. Podniósł wzrok na Paradine'a.

- Ryba - rzucił bez namysłu Paradine.

- Dobrze nam znany symbol ryby. Czytelny nawet bez płetw, oczu i pyszczka, gdyż przywykliśmy identyfikować ten konkretny kształt z naszym wyobrażeniem o rybie. Podstawa rebusu. Symbol ma dla nas o wiele szersze znaczenie niż to, co widzimy na papierze. Co przychodzi ci na myśl, gdy patrzysz na ten rysunek?

- No... ryba.

- Dalej, dalej. Co sobie wyobrażasz? Mów wszystko.

- Łuski - powiedział wolno Paradine z wzrokiem utkwionym w przestrzeń. - Woda. Piana. Oczy ryby. Płetwy. Kolory.

- A zatem symbol pokrywa znacznie więcej niż proste abstrakcyjne pojęcie ryby? Zwróć też uwagę, że desygнатem jest rzeczownik, nie czasownik. Akcję znacznie trudniej wyrazić symbolem. A teraz

odwróćmy proces. Powiedzmy, że chcesz stworzyć symbole konkretnego rzeczownika - weźmy rzeczownik „ptak”. Narysuj symbol.

Paradine narysował dwa złączone łuki.

- Najniższy wspólny mianownik - pokiwał głową Holloway. - Mamy naturalną skłonność do upraszczania. Zwłaszcza dziecko, jeśli widzi coś po raz pierwszy i dysponuje skromną skalą porównawczą. Usiłuje wówczas naciągnąć nowe zjawisko do tego, co już znane. Zauważyłeś może, jak dzieci rysują ocean? - Nie czekając na odpowiedź, Holloway wygłosił ją sam:

- Rysują takie fałbanki. Jak linie faliste na sejsmografie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Pacyfik, miałem ze trzy lata. Świetnie to pamiętam. Wydawał mi się... przechylony. Gładka płaszczyzna ustawiona ,na bakier. Fale były regularnymi trójkątami z czubkiem, do góry. Nie widziałem ich, oczywiście, w tak stylizowanej formie, tylko potem, myśląc o tamtym obrazie, musiałem przyrównać fale do czegoś znajomego. Jedyne w ten sposób można w ogóle pojmować nowe rzeczy. Przeciętnie rozwinięte dziecko usiłuje odtworzyć na rysunku regularne trójkąty fal, ale że brak mu koordynacji, wychodzi z tego wykres sejsmograficzny.

- Z czego wniosek...?

- Dziecko widzi morze. Stylizuje je. Rysuje konkretny wzór, w jego pojęciu symbolizujący morze. Zawijasy Emmy też mogą być symbolami. Nie twierdzą, że Emma inaczej widzi świat - może trochę jaśniej, ostrzej, bardziej kontrastowo, z ograniczoną percepcją powyżej poziomu wzroku. Twierdzą natomiast, że inne są jej procesy myślowe: że to, co widzi, przekłada na nienormalne symbole.

- Nadal wierzysz...

- Tak jest. Umysł Emmy został w najwyższym stopniu uwarunkowany. Być może wszystko, co dostrzega, rozbija się na najprostsze,

najoczywistsze obrazy, i w nich z kolei dopatruje się znaczeń dla nas niepojętych. Tak jak w liczydło. Odkryła w nim system, choć dla nas liczydło funkcjonuje na zasadzie czystego przypadku.

Paradine zdecydował nagle, że czas przerwać tradycję obiadków z Hollowayem. Facet był panikarzem. Wygłaszał coraz bardziej bałamutne teorie i podciągał pod nie dosłownie wszystko, czy się nadało, czy nie.

- Uważasz, że Emma i Scott porozumiewają się w jakimś tajemniczym języku? - zapytał uszczypliwie.

- Tak, symbolami, dla których ona nie zna słów. Założę się, że Scott rozumie większość tych... bohomazów. Trójkąt równoramienny może dla niego oznaczać cokolwiek - najpewniej jednak jakiś konkretny rzeczownik. Czy ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o chemii, zrozumiałby, co znaczy H₂O? Czy przyszłoby mu do głowy, że symbol ten może się kojarzyć z oceanem?

Paradine nie odpowiedział. Napomknął za to o dziwacznej uwadze Scotta na temat widoku ze wzgórza: że wszystko jest pokręcone. Już po chwili żałował, że nie ugryzł się w język, bo psycholog natychmiast z powrotem wskoczył na swego konika.

- Nawyki myślowe Scotta składają się w sumę, która nie odpowiada temu światu. Scott może podświadomie oczekiwać spotkania ze światem, z którego przybyły zabawki.

Paradine przestał go słuchać. Co za dużo, to niezdrowo. Dzieciaki są w porządku, tylko Holloway wciąż sieje niepokój. Tego samego

wieczoru Scott okazał nagle zainteresowanie węgorzami, które później okazało się brzemiennie w skutki.

Biologia to w końcu nic zdrożnego. Paradine dał się wciągnąć w dyskurs o węgorzach.

- Ale gdzie one składają ikrę? Może w ogóle nie składają?

- To nie jest jeszcze wyjaśnione. Nie wiadomo, gdzie mają swoje tarłowiska. Może na Morzu Sargassowym, a może w głębinach, gdzie wysokie ciśnienie pomaga im rodzić.

- Dziwne - zamyślił się Scott.

- Łososie robią mniej więcej tak samo. W okresie tarła wędrują w górę rzeki. - Paradine wdał się w szczegóły. Scott był zafascynowany.

- No, to wszystko się zgadza. Rodzą się w rzece, a kiedy już umieją pływać, wędrują do morza. A potem wracają na składanie jaj, tak?

- Tak jest.

- Tylko że pewnie nie wracają - uściślił z namysłem Scott. - Odysłają po prostu jaja...

- Musiałyby mieć wyjątkowo długie pokładełka - zauważył Paradine i wdał się w starannie wyważony opis jajorodnych.

Scott nie był w pełni usatysfakcjonowany wywoдем. Przecież kwiaty, zauważył, wysyłają nasiona na wielkie odległości.

- Ale nimi nie sterują. Tylko nieliczne nasiona padają w żyzną glebę.

- No tak, kwiaty nie mają mózgu. Tato, dlaczego ludzie mieszkają właśnie tutaj?

- W Glendale?

- Nie, w ogóle - tutaj. Na całej Ziemi. Założę się, że muszą być inne miejsca.

- Myślisz o innych planetach?

Scott zawahał się.

- To jest tylko... kawałek czegoś wielkiego. Jak rzeka, do której łososie płyną składać ikrę. Dlaczego ludzie, gdy dorosną, nie przenoszą się do oceanu?

Paradine uświadomił sobie, że Scott mówi metaforycznie. Ciarki przeszły mu po plecach. Do... oceanu?

Młode tego gatunku nie są przystosowane do życia w doskonalszym świecie rodziców. Przenoszą się do niego dopiero po osiągnięciu pewnego szczebla dojrzałości. Potem odbywa się tarło. Zapłodnione jaja zagrzebywane są w piasku, w górze rzeki, gdzie po pewnym czasie wykluwają się z nich młode.

Młode uczą się. Sam instynkt działa przeraźliwie wolno, zwłaszcza w przypadku gatunków wyspecjalizowanych, niezdolnych do radzenia sobie nawet z własnym światem, tak w sensie odżywiania, jak i przetrwania, póki ktoś nie zadba o ich potrzeby.

Młode mogą przeżyć, pod warunkiem, że ktoś je nakarmi i otoczy opieką. Rolę tę mogłyby spełniać inkubatory i roboty. Wówczas młode przetrwałyby, nie wiedziałyby jednak, jak płynąć w dół rzeki, w szeroki świat oceanu.

Ktoś musi je tego nauczyć. Muszą przejść trening i serię uwarunkowań.

Bezboleśnie, subtelnie, dyskretnie. Dzieci uwielbiają zabawki, które coś robią - a jeśli te zabawki w dodatku uczą...

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku pewien Anglik siedział na porośniętym trawą brzegu strumienia. Tuż przy nim leżała dziewczynka, zapatrzona w niebo. Dziewczynka odłożyła przed chwilą

dziwaczną zabawkę, którą zajmowała się przez jakiś czas. Leżała nucąc niezrozumiałą mruczankę. Mężczyzna słuchał jej jednym uchem.

- Co to była za piosenka, moja mała? - zapytał w końcu.
- Sama ją ułożyłam, wujku Charlesie.
- Zaśpiewaj jeszcze raz. Wydobył notes.

Dziewczynka zaśpiewała.

- Czy to coś znaczy?

Kiwnęła głową.

- O, tak. Tak samo, jak historie, które ci opowiadam.
- To śliczne historie, kochanie.
- Naprawdę zapiszesz je kiedyś w książce?
- Naprawdę. Tylko muszę sporo pozmieniać inaczej nikt by ich nie zrozumiał. Tej ostatniej pioseneczki chyba jednak nie zmienię.
- Nie wolno. Przestałaby znaczyć.
- Nie zmienię przynajmniej tej zwrotki - obiecał. - Powiedz mi, co ona znaczy.
- Myślę, że to jest wyjście - odparła z wahaniem dziewczynka. - Ale jeszcze nie wiem na pewno. Tyle powiedziały mi zabawki.
- Chciałbym wiedzieć, który to sklep w Londynie sprzedaje takie cudenka.
- Mamusia mi je kupiła. Ona umarła. Tatusia nie obchodzi moje zabawki.

Dziewczynka kłamała. Zabawki znalazła w skrzynce nad Tamizą, kiedy przypadkiem poszła się tam bawić. Były naprawdę zaczarowane.

A jej piosenka - wujek Charles nie doszukał się w niej żadnego znaczenia. (Właściwie nie był nawet jej wujkiem, tak tylko do niego mówiła. Ale był sympatyczny). Piosenka znaczyła bardzo wiele.

To był sposób. Wystarczyło się tylko zastosować do jej słów, a wtedy...

Ale dziewczynka była już za duża. Nie znalazła wyjścia.

Paradine zerwał znajomość z Hollowayem. Jane od początku instynktownie go nie lubiła, co nietrudno zrozumieć, skoro najbardziej w świecie pragnęła, by ktoś rozwiał jej niepokoje. Ponieważ Scott i Emma zachowywali się ostatnio całkiem normalnie, Jane była najzupełniej zadowolona. Jej spokój wspierał się w znacznej mierze na pobożnych życzeniach i Paradine jakoś nie był w stanie się nim zarazić.

Scott przynosił Emmie wciąż nowe urządzenia do inspekcji. Na ogół przecząco kręciła głową. Czasami jakby się wahała. Niezwykle rzadko wyrażała pełną aprobatę. Potem przez godzinę odchodziła pilna, gorączkowa bazgranina na ścinkach papieru, którą Scott z namaszczeniem analizował, po czym zmieniał układ kamieni, części maszynierii, ogarków świecy i innych szpargałów. Gospościa codziennie sprzątała kompozycję i codziennie Scott tworzył nową.

Zgodził się łaskawie wyjaśnić co nieco zdumionemu ojcu, który uważał, że zabawka absolutnie nie trzyma się kupy.

- Dlaczego wsadzasz ten kamyk akurat tutaj?
 - Bo jest twardy i okrągły. Pasuje tutaj.
 - Ten też jest twardy i okrągły.
 - Ale jest posmarowany wazeliną. Na tym etapie nie wystarczy widzieć, że coś jest twarde i okrągłe.
 - A teraz co? Ta świeczka?
- Scott rzucił mu druzgocące spojrzenie.

- Świeczka idzie na końcu. Teraz żelazny pierścień.

Coś jak podchody w lesie, pomyślał Paradine, strzałki w labiryncie. Ale znów o wszystkim decydował przypadek. Logika - przynajmniej logika znana Paradine'owi - nie miała przystępu do motywacji, jaką posługiwał się Scott przy komponowaniu swojej kupy śmieci.

Paradine wyszedł z pokoju. Przez ramię dostrzegł, że Scott wyciąga z kieszeni pomietą kartkę i ołówek, żeby pośpieszyć z nimi do Emmy, która przycupnąwszy w kącie rozważała jakieś istotne sprawy.

Tak...

Co można robić w takie upalne niedzielne popołudnie, zwłaszcza że Jane umówiła się na obiad z wujkiem Harrym. Paradine usadowił się w najchłodniejszym kącie domu z wydawnictwem Collinsa i dał się pochłonąć komiksom.

W godzinę później tupot stóp na górze gwałtownie wyrwał go z drzemki.

- Mam! Baryła! Mam! - wrzeszczał Scott jak opętany. - Chodź tutaj!

Paradine zerwał się zaniepokojony. Gdy mijał hall, rozdzwonił się telefon. Jane obiecywała, że zadzwoni...

Z dłonią na słuchawce usłyszał stłumiony, entuzjastyczny pisk Emmy. Skrzywił się i potrząsnął głową. Co tam się dzieje, do diaska?

- Uważaj! Tędy! - zapiął Scott.

Paradine zapomniał o telefonie i rzucił się na górę. Usta mu dygotały, a napięcie nerwowe sięgało ostatnich granic. Drzwi do pokoju Scotta były otwarte.

Dzieci właśnie znikaly.

Rozpadały się na cząstki jak gęsta mgła na wietrze albo jak odbicie

ruchu w krzywym zwierciadle. Odchodziły, trzymając się za ręce, w kierunku, którego Paradine nie potrafił pojąć. Mrugnął - i już ich nie było.

- Emma! - wykrztusił przez wyschniętą krtani. - Scotty!

Na dywanie dostrzegł deseń utworzony ze ścinków papieru, kamieni, żelaznego pierścienia - śmieci, które już znał. Deseń bez jakiegokolwiek metody. Przeciąg pchnął ku niemu zmiętą kartkę papieru.

Paradine podniósł ją machinalnie.

- Dzieci! Gdzie jesteście? Przestańcie się chować, Emma, SCOTTY!

Telefon w hallu przestał emitować przenikliwe, monotonne brzęczenie. Paradine spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoni.

Była wyrwana z książki. Na marginesie i między wierszami widniały bezsensowne esy-floresy Emmy. Jedna linijka wiersza była prawie nieczytelna z racji licznych podkreśleń i dopisków. Paradine jednak doskonale znał drugą część *Alicji w Krainie Czarów* - Co *Alicja odkryta po drugiej stronie lustra*. Pamięć bezbłędnie podsunęła mu słowa:

Bzdreżyło. Szłapy maślizgajne
Bujowierciły w gargazonach.
Tubylerczykom spełły fajle,
Humpel wyhycnał ponad .

Tylko Humpty Dumpty wiedział, co to znaczy, pomyślał Paradine jak idiota. Gargazon to wianuszek trawy otaczający zegar słoneczny. Zegar słoneczny. Czas. A więc ma to związek z czasem. Kiedyś, dawno,

Scott pytał mnie, co znaczy gargazon. Symbolizm.

Bzdreżyło.

Doskonały wzór matematyczny zawierający wszystkie warunki, ujęty w postać symboliczną, którą dzieci w końcu rozumiały. Rupiecie na podłodze, Szłapy musiały być maślizgajne - wazelina? - musiały też uzyskać taki wzajemny układ, który pozwoliłby im bujowiercić.

To absurd!

Ale nie dla Emmy i Scotta. Oni rozumowali inaczej. Posługiwali się logiką x. Notatki Emmy na kartce książki - Emma przełożyła słowa Carrolla na symbole rozumiały dla siebie i dla Scotta.

Element przypadkowości miał dla dzieci swoją logikę. Spełniły warunki równania przeskoku czasowego. Humpel wyhycnął ponad.

Paradine jęknął upiornie z głębi krtani. Wpatrywał się w obłądny wzór na dywanie. Gdyby udało mu się pójść za nim, jak to zrobiły dzieci... Niemożliwe. Układ nie miał sensu. Element przypadkowości był nie do pokonania. Paradine myślał Euklidesem.

Nawet gdyby popadł w obłąd, nie zdołałby przekroczyć granicy. Nie o ten rodzaj szaleństwa tu chodziło.

Mózg Paradine'a chwilowo nie pracował. Paraliż strachu i niedowierzania wkrótce jednak minął - Paradine zmiął kartkę w garści.

- Emma! Scotty! - zawołał grobowym głosem, bez cienia nadziei na odpowiedź.

Słońce wpadło ukosem przez otwarte okno, rozślacając futerko Pana Misia. Na dole znów zadzwonił telefon.

przełożyła Jolanta Kozak

Spis treści

Nocne starcie	5
Upiór	92
Potrzask	116
Kamuflaż	137
Twonk	189
Chociaż mu się nie przelewa	220
Tubylczykom spelły fajle	246